

# Niebezpieczne związki, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

PIERRE CHODERLOS DE LACLOS

# *Niebezpieczne związki, tom drugi*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# TOM DRUGI

# CZĘŚĆ TRZECIA

## LIST LXXXVIII

*Cecylia Volanges do wicehrabiego de Valmont*

Mimo całej radości, jaką mi sprawiają listy pana kawalera Danceny, i mimo szczerej chęci swobodnego widywania się z nim, nie odważyłam się usłuchać pańskich poleceń. Po pierwsze jest to zbyt niebezpieczne; mama uważa na wszystko, może łatwo się spostrzec, a wówczas byłabym zgubiona na zawsze. A potem, zdawało mi się, że to byłoby bardzo niedobrze; robić sobie tak podwójny klucz, to nie byle co! Prawda, że to pan byłby tak dobry się tym zając; ale mimo to gdyby się wydało, na mnie spadłby również za to wstyd i wina, skoro pan by go kazał robić dla mnie. Słowem, już dwa razy próbowałam go wziąć i na próżno!

Z pewnością, że to byłoby bardzo łatwe, gdyby o co innego chodziło; ale nie wiem dlaczego, za każdym razem mnie jakaś taka drżączka chwyciła i nigdy nie mogłam zdobyć się na odwagę. Sądzę więc, że chyba lepiej, aby wszystko już zostało tak jak dotąd.

Jeżeli pan będzie tak łaskaw, aby nam zechcieć pomagać jak dotąd, to zawsze przecież znajdzie się jakiś sposób oddania mi listu. Nawet z tym ostatnim, gdyby nie to niestety, że pan się odwrócił nagle w stanowczej chwili, byłoby wszystko poszło całkiem gładko. Ja dobrze rozumiem, że pan nie może tak jak ja myśleć jedynie o tym; ale wolę już mieć więcej cierpliwości i nie narażać się tak bardzo. Jestem pewna, że pan Danceny powiedziałby tak jak ja, bo za każdym razem, kiedy on chciał coś takiego, co mi sprawiało za wiele przykrości, zawsze się zgadzał, żeby tego nie robić.

Oddam panu równocześnie z tym listem pański list, list Danceny'ego i pana klucz. Nie mniej przeto wdzięczną panu jestem serdecznie za pańską dobroć i prośbę pana o dalsze względy dla mnie. To prawda, jestem bardzo nieszczęśliwa i gdyby nie pan, byłoby jeszcze gorzej; ale, bądź co bądź, to jest zawsze moja matka; trzeba więc znosić niejedno cierpliwie. I byleby pan Danceny kochał mnie zawsze, a pan mnie nie opuścił, może nadejdzie przecież jakiś czas szczęśliwszy.

Mam zaszczyt być, z głęboką dla pana wdzięcznością, pańską uniżoną i powolną<sup>1</sup> służką.

20 września 17\*\*

## LIST LXXXIX

*Wicehrabia de Valmont do kawalera Danceny*

Jeżeli twoje sprawy, mój drogi, nie idą zawsze tak szybko, jak byś tego pragnął, to nie do mnie powinieneś mieć o to pretensję. Mam tu niejedną przeszkodę do przewalczenia. Czujność i surowość pani de Volanges, to jeszcze nie wszystko; twoja młoda przyjaciółka również nastęrcza mi niemało kłopotu. Czy nie chce, czy też się boi, ale nie zawsze robi to, co jej radzę, a przecież, zdaje mi się, lepiej chyba od niej wiem, co czynić należy.

Znalazłem sposób prosty, dogodny i pewny doręczania jej twoich listów, a nawet ułatwienia w przyszłości widywać się, których tyle pragniesz; otóż nie mogłem jej nakłonić do tego sposobu. Jestem tym więcej zmartwiony, że w istocie nie widzę innego środka, aby cię zbliżyć do niej, a nawet, tak jak dziś rzeczy stoją, nieustannie lękam się, że możemy się zdradzić. Domyślasz się łatwo, że nie mam ochoty ani sam się narażać, ani też wystawiać na to was oboje.

Byłoby mi doprawdy bardzo przykro, gdyby brak ufności ze strony twej młodej przyjaciółki miał udaremnić usługi, z jakimi się ofiarowałem; może byłoby dobrze, gdybyś napisał jej coś o tym. Zastanów się, jak chcesz uczynić, do ciebie należy sądzić o tym: bowiem to nie jest jeszcze dosyć służyć swoim przyjaciółom, trzebaż jeszcze służyć im

<sup>1</sup>powolny (daw.) — tu: posłuszny, podporządkowany czyjejś woli. [przypis edytorski]

wedle ich myśli! To byłby może zarazem sposób upewnienia się o jej uczuciach dla ciebie; bowiem kobieta, która zachowuje własną wolę, nie kocha z pewnością tyle, ile o tym powiada.

To nie znaczy, abym posądzal twoją ukochaną o niestałość: ale to jeszcze bardzo młode stworzenie; boi się bardzo mamy, która, jak wiesz, czyni co może, aby ci zaszkodzić; kto wie zatem, czy byłoby bezpiecznie zostawić panienkę zbyt długo bez przypomnienia o sobie. Proszę cię jednak, abys się nie niepokoil nad miarę tym wszystkim, co ci tu mówię. W gruncie rzeczy nie mam żadnego powodu do nieufności; jest to jedynie może nadmierna troskliwość przyjaźni.

Nie rozpisuję się dłużej, bo jeszcze mam parę swoich spraw do załatwienia. Co do mnie, to jestem w mniej pomyślnym położeniu od ciebie, ale kocham pewno nie mniej, a to jest zawsze pociecha. Gdyby nawet sprawy nie poszły po mojej myśli w tym, co mnie dotyczy, powiem, iż dobrze strawiłem mój czas, jeżeli tylko potrafię stać się tobie użytecznym. Do widzenia, mój drogi.

*Z zamku\*\*\* 26 września 17\*\**

## LIST XC

*Prezydentowa de Tourvel do wicebrabiego de Valmont*

Pragnęłabym bardzo, aby ten list nie sprawił panu przykrości lub jeżeli tego nie da się uniknąć, aby przynajmniej mogła ją złagodzić świadomość, iż szczerze ją podzielam. Powinien mnie pan teraz znać na tyle, aby być pewnym, że nie mam bynajmniej chęci dotknąć pana; ale i pan także z pewnością również nie chciałby mnie pogrzyść w wiekuiestej rozpacz. Zaklinam pana zatem w imię tkliwej przyjaźni, jaką panu przyrzekłam, w imię nawet tych uczuć może żywszych, ale z pewnością nie bardziej szczerych, jakie pan masz dla mnie, nie widujmy się już więcej, niech pan odjedzie; zaś aż do tego czasu unikajmy zwłaszcza tych rozmów ustronnych i nazbyt niebezpiecznych, w których ja, mocą jakiejś niewytłumaczonej siły, nigdy nie zdołam panu powiedzieć tego, co postanowiłam, ale, przeciwnie, słucham jeno tego, czego bym słuchać nie powinna.

Wczoraj jeszcze, kiedy pan spotkał się ze mną w parku, jedynym moim zamiarem było powiedzieć panu to, co dziś piszę w tym liście; i mimo to cóż uczyniłam? Zajmowałam się jedynie pańską miłością... pańską miłością, której nigdy nie będzie wolno mi podzielić! Och, przez litość, oddał się pan ode mnie!

Niech się pan nie lęka, aby oddalenie miało kiedykolwiek zmienić moje uczucia dla pana: jakże zdołałabym je zwyciężyć, kiedy już walczyć z nimi nie mam siły? Widzi pan, mówię panu wszystko; mniej się obawiam wyznać moją słabość niż jej ulec: ale straciwszy władzę nad uczuciami, chcę przynajmniej zachować nad moim postępowaniem; tak, i zachowam ją, poprzysięgłam to sobie, chociażby za cenę życia.

Ach, jakże niedalekim jest czas, w którym czułam się tak pewną, iż nigdy nie przyjdzie mi staczać podobnych walk ze sobą? Byłam z tego szczęśliwa; może czułam się tym nazbyt dumna. Niebo ukarało, okrutnie ukarało tę pychę: ale pełne miłosierdzia nawet w chwili, w której cios zadaje, ostrzegło mnie jeszcze przed upadkiem; byłabym też podwójnie występna, gdybym dalej brnęła w nierozwadze, zyskawszy już świadomość, iż zbywa mi na sile.

Mówił mi pan po sto razy, że nie chciałbyś szczęścia okupionego moimi łzami. Ach, nie mówmy już o szczęściu, ale pozwól mi odzyskać nieco spokoju.

Przychylając się do tej prośby, jakież nowe prawa zdobędziesz sobie w moim sercu! A tych już nie będę potrzebowała zwalczać, ponieważ źródłem ich będzie cnota. Jakież lubować się będę mą wdzięcznością! Będę panu winna słodycz napawania się bez wyrzutów uczuciem pełnym rozkoszy. Teraz, przeciwnie, przerażona mymi uczuciami, moim stanem, lękam się samej myśli o panu; kiedy nie mogę jej uciec, walczę z nią; nie zdołam jej oddalić, ale ją odpycham.

Czyż nie byłoby lepiej dla nas obojga zakończyć to udręczenie? O ty, którego dusza tak wrażliwa, nawet wśród błędów zachowała szacunek dla cnoty, ty będziesz miał wzgląd

na moją niedolę, ty nie odrzucisz mej prośby. Węzeł spokojniejszy może, ale nie mniej tkliwy, zajmie miejsce tych gwałtownych wzruszeń; wówczas ja, oddychając spokojniej dzięki twej dobroci, będę się cieszyła własnym istnieniem, będę sobie mówiła w radości serca: tę słodycz, jakiej doznaję, winna jestem memu przyjacielowi.

Czyniąc mi te drobne ustępstwa, których panu nie narzucam, ale o które proszę, czy sądzisz, iż opłacasz zbyt drogo koniec mych udręczeń? Ach, gdyby pańskie szczęście trzeba było okupić jeno moim nieszczęściem, może mi pan wierzyć, iż nie wahałabym się ani przez chwilę... Ale stać się występłą!... ach nie, nie, raczej umrzeć tysiąc razy!

Dziś już nękana wstydem, zanim stanę się pastwą wyrzutów sumienia, lękam się i innych i lękam się samej siebie; rumienię się w towarzystwie ludzi i drzę w samotności; życie moje jest jedną męczarnią. Spokój mogę osiągnąć jedynie za twoją łaską. Oto twoja przyjaciółka, istota, którą kochasz, pokorna i zawstydzona, żebrze u ciebie spokoju i niewinności. Ach, Boże! Gdyby nie pan, czyż byłaby kiedykolwiek doprowadzona do tej poniżającej prośby? Nie robię panu żadnego wyrzutu: nazbyt czuję sama po sobie, jak trudno jest oprzeć się przemożnemu uczuciu. Skarga wszak nie jest szemraniem. Uczyni przez szlachetność to, co ja czynię z obowiązku, a do wszystkich uczuć, jakimi mnie natchnąłeś, dołączę uczucie wieczystej wdzięczności. Żegnaj, żegnaj pana.

27 września 17\*\*

## LIST XCI

*Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

Oszołomiony twoim listem, nie wiem jeszcze, pani, jak zdołam ci odpowiedzieć. Bez wątpienia, jeżeli trzeba wybierać między twoim nieszczęściem a moim, do mnie należy poświęcić się i nie waham się w tym względzie: jednakże rzeczy tej wagi zasługują chyba, aby je rozważyć i wyjaśnić, a jakżeż to osiągnąć, jeżeli nie mamy już mówić ani widzieć się z sobą?

Jak to! Wówczas gdy uczucia najsłodsze nas łączą, błaha obawa miałaby wystarczyć, aby nas rozdzielić, być może bez powrotu? Na próżno tkliwa przyjaźń, płomienna miłość upominać się będą o swoje prawa; głos ich brzmieć będzie nadaremno; i dlaczego? Gdzież jest to gwałtowne niebezpieczeństwo, które ci zagraża?

Pozwól mi pani powiedzieć, iż poznaję tu ślad niekorzystnych dla mnie sądów i podszeptów. Nie ma się takiego lęku w pobliżu człowieka, którego się szanuje; nie oddała się tego, kogo się uznało godnym odrobiny przyjaźni; w ten sposób drzeć i uciekać można jedynie przed człowiekiem niebezpiecznym.

A przecież byłże kto kiedy bardziej pełnym szacunku i bardziej uległym ode mnie? Oto widzisz to, pani, panuję nawet nad sposobem wysłowienia; nie pozwalam już sobie na te imiona tak słodkie, tak drogie memu sercu, którymi ono w skrytości nie przestaje cię obdarzać. To już nie kochanek nieszczęsny a wierny przyjmuje wskazówki i pocieszenia od przyjaciółki współczującej i tkliwej: to oskarżony przed swoim sędzią niewolnik przed swoim panem! Te nowe tytuły wkładają oczywiście nowe obowiązki; gotów jestem dopełnić wszystkich. Wysłuchaj mnie; jeżeli mnie potępisz, poddaję się wyrokowi i odjeżdżam. Przyrzekam więcej; czy wolisz ten despotyzm, który sędzi bez wysłuchania? Czy czujesz w sobie odwagę takiej niesprawiedliwości? Rozkazuj: także posłucham.

Ale ten wyrok, ten rozkaz, niechaj usłyszę go z twoich ust. „Dlaczego?” — możesz mnie z kolei zapytać. Ach, jeśliś zdolna zadać to pytanie, jakże mało znasz i miłość, i moje serce! Czyż to jest niczym chcieć widzieć cię jeszcze choćby raz ostatni? Kiedy ty wyrokiem swoim pograżasz duszę moją w rozpacz, jedno litościwe spojrzanie z twej strony wystarczy może, by nie dać mi ugiąć się pod nią. Wreszcie, jeżeli mi trzeba wyrzec się miłości, przyjaźni, dla których jedynie istnieję, chcę byś przynajmniej ujrzała swoje dzieło: zostanie mi twoja litość. Wszak ją opłacam dość drogo, aby na nią zastrzyć.

A zatem pragniesz oddalić mnie od siebie! Godzisz się, abyśmy się stali wzajem obcy sobie! Co mówię? Pragniesz tego; zapewniając, iż nieobecność moja nie osłabi twych

uczuc, równocześnie nalegasz na mój odjazd, aby tym łatwiej pracować nad ich zniszczeniem.

Zapominam się: wybac mi, pani. Przebac ten wyraz boleści, jaką zbudziłaś w mym sercu: nie zmieni ona w niczym mojego bezwzględego poddania się twojej woli. Ale zaklinam cię ja z kolei, w imię tych uczuć tak słodkich, do których ty sama się odwołujesz, nie odmawiaj wysłuchania mnie i przez litość bodaj dla śmiertelnych mąk, jakie cierpię przez ciebie, nie odwracaj zbyt długo chwili. Żegnaj cię, pani.

27 września 17\*\* wieczorem

## LIST XCII

*Kawaler Danceney do wicehrabiego de Valmont*

O mój przyjacielu! List twój ściał mi krew z przerażenia. Cecylia... O, Boże! Czy to jest możliwe? Cecylia mnie już nie kocha! Tak, widzę tę okropną prawdę poprzez zasłonę, którą twoja przyjaźń ją okrywa. Chciałeś mnie przygotować na przyjęcie tego śmiertelnego ciosu; dziękuję ci za twoje względy; ale czyż można okłamać serce kochanka? Mów do mnie więc bez osłonek, możesz i proszę cię o to. Odsłoń mi wszystko: to, co zbudziło twoje podejrzenia i to, co je potwierdziło. Zależy mi na najdrobniejszych szczegółach. Staraj się przede wszystkim przypomnieć sobie jej słowa. Jedno słowo powtórzone niedokładnie może zmienić całe zdanie; jedno i to samo ma niekiedy dwojakie znaczenie... Mogłeś się omylić: niestety, jeszcze próbuję się ludzi! Co ci powiedziała? Czy czyniła mi jakie zarzuty? czy nie tłumaczy się bodaj ze swojej winy? Powinienem był domyśleć się tej zmiany z trudności, jakich ona od pewnego czasu dopatruje się we wszystkim. Miłość nie zna tylu przeszkód.

Co ja mam teraz zrobić? Co mi radzisz? Gdybym spróbował się z nią widzieć? Czyż to jest zupełnie niemożliwe? Rozłączenie to jest rzecz tak straszna, tak okrutna... i ona odrzuciła środek zobaczenia mnie! Nie mówisz mi, co to był za środek; jeżeli był w istocie zbyt niebezpieczny, ona wie dobrze, że nie chcę, aby się zbyt długo narażała. Ale znam również twoją przezorność i, na moje nieszczęście, nie mogę o niej wątpić.

Co teraz zrobić? Jak pisać do niej? Jeżeli jej dam uczuć moje podejrzenia, zrobię jej może przykrość: zaś nie zniósłbym myśli, iż jestem powodem jej zmartwienia. Ukrywać je znowu przed nią, to znaczyłoby oszukiwać ją, a ja nie umiem być z nią nieszczerzy.

Och, gdyby mogła wiedzieć, co ja cierpię, wzruszyłaby się moją niedolą. Znam jej tkliwość, jej serce, mam tysiąc dowodów jej przywiązania. Może to tylko zbytek nieśmiałości, trwożliwości: jest tak młoda! matka obchodzi się z nią tak surowo! Napiszę do niej, będę panował nad sobą, poproszę ją tylko, aby się najzupełniej zdała na ciebie. Gdyby odmówiła nawet, nie będzie mogła w każdym razie pogńiewać się o moją prośbę, a może się zgodzi.

Ciebie, drogi przyjacielu, przepraszam po tysiąc razy i za nią, i za siebie. Upewniam cię, że ona czuje wartość twego poświęcenia, że ma za nią pełną wdzięczność. To nie jest nieufność, to tylko nieśmiałość. Bądź pobłażliwy: to najpiękniejsze zadanie przyjaźni. Do widzenia; napiszę do niej natychmiast.

Czuję, że wszystkie moje obawy opadają mnie na nowo; czyż mogłem kiedy przypuszczać, że tyle mnie kosztować będzie pisać do niej! Ach, wczoraj jeszcze było to moją najslodsza rozkoszą!

Do widzenia, mój przyjacielu, nie wypuszczaj mnie z twojej opieki i użal się nade mną.

Paryż, 7 września 17\*\*

## LIST XCIII

*Kawaler Danceney do Cecylii Volanges*

(dołączony do poprzedzającego)

Nie umiem ukryć przed tobą, do jakiego stopnia zmartwiłem się, dowiadując się od Valmonta o twoim braku zaufania do niego. Wiesz chyba, że jest moim przyjacielem, że jest jedynym człowiekiem, który może nas zbliżyć do siebie: mniemałem, że te pobudki wystarczą; widzę z przykrością, że się omyliłem. Czy mogę mieć nadzieję, abyś przynajmniej zechciała wyjaśnić mi swoje przyczyny? Czy i w tym zajdą może jakie nowe trudności? Nie zdołam odgadnąć bez twojej pomocy tajemnicy tego postępowania. Nie śmiem podejrzewać twojej miłości dla mnie... Ach! Cecylio!...

Więc to prawda, że odrzuciłaś sposób zobaczenia mnie! Sposób *prosty, łatwy i pewny*? I to się nazywa, że mnie kochasz! To krótkie rozłączenie snadź<sup>3</sup> bardzo zdołało wpłynąć na twoje uczucia!

Ale po cóż mnie zwodzić? Po cóż mówić, że kochasz zawsze, że kochasz więcej jeszcze? Matka, niwecząc twą miłość, czyż zniweczyła zarazem i twoją prostotę?

Powiedz mi więc, czy twoje serce zamknięte już dla mnie bez powrotu? Czy zupełnie o mnie zapomniałaś? Dzięki twej odmowie, nie wiem, ani kiedy otrzymasz moje skargi, ani kiedy na nie odpowiesz. Odpowiedz mi przecież, czy to prawda, że mnie już nie kochasz? Nie, to być nie może, ty łudzisz się tylko, spotwarzasz własne serce! Przemijająca obawa, chwila zniechęcenia, którą miłość zdołała już rozproszyc, nieprawdaż, Cesium moja? Ach, tak, z pewnością, zawiniłem, iż śmiałem cię oskarżać. Jakiż szczęśliwy byłbym, gdybym się mylił! Jakżeżbym pragnął obsypywać cię najczulszymi przeprosinami, naprawić tę chwilę krzywdy wiekuiłą miłością! Cesium, Cesium, miej litość nade mną! Zgódź się na widzenie się nasze, zgódź się na wszystkie środki! Widzisz oto, jakie są skutki rozłączenia! Obawy, podejrzenia, może chłód! Jedno spojrzenie, jedno słowo i będziemy szczęśliwi. Ale cóż! Czyliż wolno mi jeszcze mówić o szczęściu? Kto wie, może ono już stracone dla mnie, stracone na zawsze. Dręczony obawą, boleśnie szarpiący się pomiędzy niesprawiedliwym podejrzeniem a okrutną rzeczywistością, nie mogę znaleźć oparcia w żadnej myśli; zostało mi z mego istnienia tylko tyle, abym mógł cierpieć i kochać ciebie. Ach, Cecylio, ty jedna masz władzę pogodzić mnie znów z życiem; jedno twoje słowo stanie się dla mnie hasłem szczęścia albo też wróżbą wiekuiestą rozpacz.

Paryż, 27 września 17\*\*

## LIST XCIV

*Cecylia Volanges do kawalera Danceny*

Nie rozumiem nic z pana listu prócz tego, że zrobił mi wielką przykrość. Co panu takiego doniósł pan de Valmont i co mogło panu nasunąć przypuszczenie, że ja już pana nie kocham? To byłoby może bardzo szczęśliwe dla mnie, bo z pewnością mniej bym się wtedy dręczyła, i ciężko jest, doprawdy, kochając pana tak, jak ja kocham, widzieć, że pan ma tylko żal do mnie, że zamiast żeby mnie pan pocieszył, od pana właśnie spadają na mnie najcięższe przykrości! Myśli pan, że ja pana okłamuję i że panu mówię to, co nie jest! Ładne ma pan doprawdy wyobrażenie o mnie! Ale gdybym była taką kłamczynią, jak pan mi to wymawia, to i cóż bym tutaj miała za przyczyny kłamać? Z pewnością, że gdybym pana nie kochała, to potrzebowałabym tylko powiedzieć i wszyscy chwaliliby mnie jeszcze za to; ale, na nieszczęście, to jest nad moje siły: i to wszystko muszę znosić dla kogoś, kto tego zupełnie nie ocenia.

Ale cóżem ja takiego zrobiła, żeby się tak gniewać na mnie? Nie odważyłam się wziąć klucza, bo się bałam, żeby się mama nie spostrzegła i żeby z tego znowu nie miała przykrości i pan także za mnie, a potem jeszcze dlatego, bo mi się wydawało, że to nie jest dobrze. Ale to dopiero pan de Valmont mówił mi o tym; nie mogłam wiedzieć, czy

<sup>2</sup>odrzuciłaś sposób (...) *prosty, łatwy i pewny* — Danceny nie wie, co to za sposób; powtarza jedynie wyrażenie Valmonta. [przypis tłumacza]

<sup>3</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]



pan sobie tego życzy czy nie, skoro pan przecież nic nie wiedział. Teraz, kiedy wiem, że pan tego pragnie, czyż ja się zarzekam, że nie wezmę tego klucza? Wezmę go zaraz jutro, a potem zobaczymy, o co pan jeszcze będzie mi robił wymówki.

Pan de Valmont może być sobie pana przyjacielem, ale zdaje mi się, że ja pana co najmniej tyle kocham co on, a mimo to on zawsze ma rację u pana, a ja nigdy. To, to mi jest bardzo przykro. Panu to wszystko jedno, bo pan wie, że ja się dam zaraz ułagodzić, ale teraz, kiedy będę miała klucz i będę pana mogła widywać, kiedy zechcę, zaręczam panu, że nie będę chciała, jeżeli pan będzie postępował w ten sposób. Może pan być pewny, że gdybym była swoją panią, nigdy by pan nie miał powodu uskarżać się na mnie, ale jeżeli pan mi nie będzie wierzył, będziemy zawsze bardzo nieszczęśliwi i to nie będzie moja wina.

Gdybym była mogła to przewidzieć, byłabym wzięła ten klucz od razu, ale, doprawdy, myślałam, że dobrze robię. Niechże się pan na mnie już nie gniewa, proszę pana o to. Proszę już nie być smutnym i kochać mnie tak, jak ja pana kocham, wtedy będę bardzo rada. Do widzenia, mój drogi panie.

*Z zamku\*\*\*, 28 września 17\*\**

## LIST XCV

*Cecylia Volanges do wicehrabiego de Valmont*

Proszę pana, aby pan zechciał być tak dobrym i dać mi z powrotem ten klucz, który mi pan wtedy przysłał. Skoro wszyscy sobie tego życzą, muszę się wreszcie i ja na to zgodzić.

Nie wiem, dlaczego pan doniósł panu Danceny, że ja go już nie kocham? Nie rozumiem doprawdy, z czego pan mógł to wywnioskować, a to zrobiło wielką przykrość nam obojgu. Wiem dobrze, że pan jest jego przyjacielem, ale to nie powód, żeby go martwić, i mnie także. Będę panu bardzo obowiązana, jeżeli mu pan napisze za najbliższym razem, że jest całkiem przeciwnie i że pan jest tego pewny, bo on do pana ma największe zaufanie, a ja, kiedy coś mówię, a ktoś temu nie wierzy, to już nie wiem, co mam robić.

Co się tyczy klucza, to może pan być zupełnie spokojny, zapamiętałam dobrze wszystko, co mi pan zalecił. Gdyby mi go pan mógł dać jutro, idąc do obiadu, doręczyłabym panu tamten klucz pojutrze rano przy śniadaniu, a pan by mi go oddał w ten sam sposób, co pierwszy.

Później, kiedy już pan będzie miał ten klucz, zechce pan być tak dobry posługiwać się nim także, aby odbierać moje listy: w ten sposób p. Danceny będzie mógł mieć częściej wiadomość ode mnie. To prawda, że to będzie o wiele wygodniej niż teraz, ale z początku mnie to bardzo przestraszyło: proszę pana, niech mi pan to wybaczy. Mam nadzieję, że pan nie przestanie mimo to być tak dobry i uczynny dla nas jak poprzednio. Będę również za to panu niezmiernie wdzięczna.

Mam zaszczyt pozostać pańską bardzo uniżoną i bardzo powolną<sup>4</sup> służką.

*28 września 17\*\**

## LIST XCVI

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Założę się, markizo, że od czasu twojej przygody oczekujesz każdego dnia moich powinszowań i komplementów; nie wątpię nawet, iż musisz się nawet czuć nieco urażona moim długim milczeniem; ale cóż chcesz? Zawsze byłem zdania, że gdy kobieta zasługuje tylko na same pochwały, można się już pod tym względem spuścić na nią i zająć się czym innym. Mimo to dziękuję ci, markizo, za siebie, a wiesz za ciebie. Chętnie nawet, aby już dopełnić miary twego ukontentowania, przyznam, że tym razem przeszłaś wszelkie

<sup>4</sup>powolny (daw.) — tu: posłuszny; podporządkowany czyjejś woli. [przypis edytorski]

moje oczekiwanie. A teraz, zobaczmy, czy z mej strony ja bodaj w części odpowiedziałem twojemu.

Nie o pani de Tourvel mam zamiar ci dziś mówić: nazbyt powolny bieg tej miłości drażni cię, markizo; ty lubisz tylko sprawy ubite. Te scenki nizane powoli, jedna za drugą, nudzą cię, a ja, przeciwnie, nigdy nie zaznałem tylu rozkoszy, ile ich czerpię w tej pozornej opieszałości.

Tak jest, lubię przyglądać się tej świętej kobiecie, jak się zapuszcza, sama nie wiedząc o tym, na ścieżkę, z której już nie ma powrotu; której spadek, szybki i niebezpieczny, pociąga ją mimo jej woli i każe jej podążać tam, gdzie ja zechcę. Wówczas przerażona niebezpieczeństwem, jakie nad nią wisi, chciałaby się cofnąć i nie ma siły po temu. Wszystkie jej wysiłki i starania mogą zaledwie zwolnić nieco jej kroki; zatrzymać ich nie mają mocy. Niekiedy, nie śmiejąc spojrzeć w twarz niebezpieczeństwa, zamyka oczy i, na wpół bezwładna, u mnie próbuje szukać opieki i schronienia. Częściej jeszcze nowy lęk ożywia jej wysiłki: w śmiertelnym przestrachu chciałaby jeszcze nawrócić wstecz, wyczerpuje siły, aby z największym trudem przebyć nieznaczną przestrzeń i wkrótce magiczna siła sprowadza ją bliżej jeszcze niebezpieczeństwa, przed którym chciała uciekać. Wówczas, mając przy sobie mnie za jedyne przewodnika i podporę, nie próbując mi już czynić wyrzutów za swój nieunikniony upadek, żebrze u mnie bodaj zwłoki. Żarliwe modły, prośby, nieśmiałe błagania, jakie śmiertelni w momentach trwogi ofiarują bóstwu, to wszystko ja otrzymuję od niej: i ty chcesz, abym głuchy na jej zaklęcia i niszcząc sam kult, jaki mi oddaje, użył na jej pograżenie tej potęgi, od której ona oczekuje ratunku? Och, zostaw mi przynajmniej czas, abym się napatrzył tym wspaniałym zapasom pomiędzy miłością a cnotą.

Jak to! To samo widowisko, które każe ci pędzić z całą skwapliwością do teatru, które tam oklaskujesz z takim zapalem, czyż mniemasz, że mniej przykuwa naszą uwagę w rzeczywistości? Uczucia duszy czystej i tkliwej, która lęka się tak upragnionego szczęścia i nie przestaje się bronić nawet wówczas, kiedy przestaje się opierać, te uczucia śledzisz na scenie z całym napięciem: czyżby miały nie mieć wartości tylko dla tego, z kogo wzięły swój początek? A to właśnie rozkosze, jakich ta niebiańska kobieta dostarcza mi codziennie i ty mi wyrzucasz, że ja napawam się ich słodyczą! Och, wszak nazbyt szybko nadejdzie ten czas, w którym ona, strącona ze swego piedestału, stanie się dla mnie jedynie zwyczajną kobietą.

Ale zapominam, mówiąc ci o niej, że nie chciałem ci o niej mówić. Nie wiem, co za potęga przywiązuje mnie do myśli o niej, chociażby po to, aby urągać jej w tych myślach. Trzeba uprzętnąć ten niebezpieczny przedmiot z mej pamięci; niechaj znów stanę się samym sobą, aby pomówić o weselszym temacie. Chodzi o twoją pupilkę, która teraz stała się i moją; mam nadzieję, że tutaj poznasz moją rękę.

Od kilku dni lepiej traktowany przez moją świętoszkę i co za tym idzie, mniej nią pochłonięty, zauważyłem, że mała Volanges jest istotnie bardzo ładna i że jeżeli głupstwem jest kochać się w niej tak, jak to robi Danceny, nie mniejszym może byłoby z mej strony nie poszukać u niej rozrywki, która w moim zamknięciu tutaj była mi dość potrzebna. Ładna twarzyczka młodej osobki, jej uścieszka tak świeża, dziecinna minka, jej niezręczność nawet, wszystko to umocniło moje roztropne rozważania; postanowiłem zatem rozwinąć odpowiednie działanie po temu, a powodzenie uwierzyło podjęte zamiary.

Już starasz się odgadnąć, jakimi środkami odsadziłem tak prędko ubóstwianego kochanka, jakie sztuczki uwodzicielskie okazały się najwłaściwsze dla jej wieku i naiwności. Oszczędź sobie trudu, markizo: nie użyłem w ogóle żadnej. Podczas gdy ty, władając tak szczęśliwie orężem twojej płci, zwyciężyłaś przebiegłością, ja, przywracając mężczyźnie jego nigdy nieprzedawnione prawa, ujarzmiłem powagą władzy. Pewny ujęcia mej ofiary, jeśli tylko zdołam ją osiągnąć, potrzebowałem podstępny jedynie po to, aby się do niej przybliżyć; a nawet ten, którego użyłem, zaledwie że zasługuje na nazwę podstępny.

Młoda istotka zamieszkuje pokój, którego drzwi wychodzą na korytarz, ale, jak możesz się domyśleć, matka zagarnęła klucz w swoje ręce. Chodziło tylko, aby nim zawładnąć. Nic łatwiejszego do wykonania: dostać ów klucz do rąk na dwie godziny, a byłem pewny, że będę mógł mieć zupełnie podobny. Wówczas korespondencja, rozmowy, schadzki nocne wszystko stawało się pewnym i dogodnym: ale czy uwierzyłabyś? Trwożliwe dzieciątko uległo się i odmówiło. Inny na moim miejscu opuściłby ręce; ja

dostrzegłem w tym tylko sposobność zaostżenia jeszcze przyjemności. Napisałem do Danceny'ego ze skargą na tę odmowę i sprawiłem się tak dobrze, że nasz zapaleniec nie spoczął, dopóki nie uzyskał, nie wymusił nawet na swej trwożliwej kochance, aby zgodziła się na moje żądanie i wydała mi się całkowicie w ręce.

Bardzo byłem rad, wyznaję, z owej zamiany ról, dzięki której ten młody człowiek uczynił dla mnie to, co spodziewał się, iż ja uczynię dla niego. Ta myśl zdwoiła w moich oczach wartość całej przygody, toteż skoro tylko stałem się posiadaczem cennego klucza, pospieszyłem bezzwłocznie zrobić z niego użytek: było to ubiegłej nocy.

Upewniwszy się, że spokój panuje w całym zamku, uzbrojony w ślełą latarkę i w stroju usprawiedliwionym spóźnioną porą, a dostosowanym do okoliczności, oddałem pierwszą wizytę twojej wychowance. Wszystko było przygotowane (i to przez nią samą), aby ułatwić mi wejście bez hałasu. Mała spoczywała pogrążona w pierwszym śnie, i to tak głębokim, iż mogłem przybliżyć się aż do samego łóżka, nie obudziwszy jej. Miałem zrazu pokusę posunąć się dalej i odegrać rolę sennego widziadła, ale obawiając się, aby przestraszona nagle nie uczyniła hałasu, wołałem ostrożnie obudzić miluchnego śpioszka.

Uśmierzyłem jej pierwsze obawy; ponieważ zaś nie przybyłem tam w celu bawienia się rozmową, przeszedłem natychmiast w pozycję z lekka zaczepną. To pewna, że nie dość dobrze wytłumaczono jej w klasztorze, na ile różnych niebezpieczeństwach narażona jest trwożliwa niewinność i czego wszystkiego trzeba jej strzec, aby nie zostać schwytaną w zasadzkę; bowiem skupiając całą uwagę i wszystkie siły na obronę przed pocałunkiem, który był jeno fałszywym atakiem, całą resztę pozostawiła bez żadnej opieki: i jakżeż było z tego nie korzystać? Zmieniłem tedy marszrutę i w jednej chwili opanowałem placówkę. Przez chwilę myślałem już, że będziemy zgubieni oboje, gdyż dziewczynka, cała oburzona, chciała naprawdę krzyknąć; na szczęście, głos jej załamał się w płaczu. Rzuciła się również do taśmy od dzwonka, ale udało mi się w porę zatrzymać jej ramię.

„Co ty robisz, dziewczyno — rzekłem jej wówczas — chcesz zgubić się na zawsze? Niech przyjdą, i cóż mnie to szkodzi? Kogo zdołasz przekonać, że nie jestem tutaj za twoim przyzwoleniem? Któż inny, jak nie ty, mógł mi dostarczyć środków dostania się tutaj? A ten klucz, który mam od ciebie, który mogłem mieć od ciebie tylko? Czy podejmiesz się wytłumaczyć jego przeznaczenie?” Ta krótka przemowa nie uśmierzyła jej boleści ani gniewu, ale sprowadziła przynajmniej uległość.

Mała, cała pogrążona w rozpacz, czuła przecież, że trzeba pogodzić się z położeniem i wdać się w układy. Ponieważ prośby nie miały na mnie żadnego wpływu, należało przejść do ofiar. Mniemasz, iż bardzo drogo sprzedałem to ważne stanowisko? Gdzież tam! Zobowiązałem się do wszystkiego za jeden pocałunek. To prawda, że uszczknąwszy ten pocałunek, nie dotrzymałem obietnicy, ale miałem powody po temu. Czyśmy się umówili, że ja ją mam pocałować, czy ona mnie? Targ w targ, zgodziliśmy się na drugi, w którym już ona była zobowiązana do współdziałania. Wówczas, owinąwszy jej trwożliwe ramiona naokoło siebie i przyciskając ją moim najbardziej miłośnie, sprawiłem, iż słodki pocałunek w istocie został przyjęty i to dobrze, szczerze przyjęty, tak, że Miłość sama nie umiałaby zrobić lepiej.

Tyle ufności zasługiwało na nagrodę, toteż spełniłem natychmiast żądanie. Ręka została usunięta, ale, nie wiem jakim przypadkiem, ja sam znalazłem się na jej miejscu. Wyobrażasz sobie, iż teraz rozwinąłem już cały pośpiech i energię, nieprawdaż? Wcale nie. Powtarzam ci, markizo, że nabrałem upodobania w tych powolnych etapach. Skoro raz się jest pewnym przybycia do celu, i po cóż tak naglić z podróżą?

W istocie, jakąż niezmierną potęgą jest *sposobność*! A oto mogłem ją śledzić w najczystszej postaci, wyzutą z wszelkiej obcej przymieszki. Miałem tutaj przecież do zwalczania miłość i to miłość wspomagana uczuciem obawy i wstydu, i gniewu: sposobność była sama jedna po mojej stronie, ale była tuż, ciągle gotowa, ciągle przytomna, a Miłość była daleko...

Aby wzmocnić moje spostrzeżenia, byłem na tyle złośliwy, iż prawie zupełnie nie używałem siły. Jedynie gdy uroczą nieprzyjacielką, nadużywając mojej ustępliwości, już miała mi się wymknąć, wówczas powstrzymałem ją tą samą obawą, która już raz osiągnęła tak szczęśliwy skutek. Otóż bez żadnych innych starań, udało mi się doprowadzić tę tkliwą kochankę do tego, iż zapominając swoich przysięg, zrazu ustąpiła, następnie zaś i poddała się swemu losowi. Wprawdzie po tej pierwszej chwili łzy i wyrzekania — nie wiem, czy

szczerze, czy udane — wróciły jak na zawołanie, ale, jak to zawsze bywa, ustąpiły rychło, skoro tylko spróbowałem dostarczyć im nowej przyczyny. Wreszcie, przeplatając chwile słabości wymówkami, a wymówki nową słabością, rozstaliśmy się zupełnie zadowoleni z siebie nawzajem, umówiwszy wprzód za wspólną zgodą nowe spotkanie na dziś wieczór.

Wróciłem do siebie dopiero o świcie, upadając ze znużenia i senności, pokonałem jednak i jedno, i drugie dla przyjemności zjawienia się dziś rano przy śniadaniu. Lubię, namiętnie lubię te minki „nazajutrz”. Nie masz pojęcia, jak ten malec wyglądał! Cóż za zakłopotanie! Co za niepewność w chodzie! Oczy spuszczone bez ustanku, a duże, a podkrążone! Ta buzia tak okrągła jakżeż się wyciągnęła! Nie wyobrażasz sobie nic zabawniejszego. Pierwszy raz matka, zaniepokojona tą nadzwyczajną zmianą, zwracała się do niej z troskliwą czułością; toż samo prezydentowa, jakżeż się koło niej krzątała! Och, co do tej, to mam nadzieję, że przyjdzie dzień, w którym i ona z kolei stanie się godną takich samych starań i opieki: i ten dzień już jest niedaleko. Do widzenia, moja piękna przyjaciółko.

*Z zamku\*\*\*, 1 października 17\*\**

## LIST XCVII

*Cecylia Volanges do markizy de Merteuil*

Och, mój Boże, pani złota, jaka ja jestem zmartwiona! Jaka ja jestem nieszczęśliwa! Kto mnie pocieszy w moim strapieniu? Kto mi poradzi w tym strasznym kłopotcie? Ten pan de Valmont... i Danceney! Nie, myśl o Dancenym doprowadza mnie do rozpacz... Jak to pani opowiedzieć? Jak pani się przyznać?... Nie wiem, jak to zrobić. Ale muszę, muszę powiedzieć to komuś, a pani jest jedyna, której mogę, której ośmielę się zwierzyć. Pani jest zawsze taka dobra dla mnie! Ale w tej chwili niech pani nie będzie dobra, nie jestem warta tego, nie chciałabym nawet tego. Wszyscy dziś byli dla mnie tacy dobrzy, tacy troskliwi... i jeszcze cięższe z tym mi było na sercu. Tak, czułam, że nie zasługuję na to! Owszem, niech mnie pani łaje, niech mnie pani mocno łaje, bo jestem bardzo niegodziwa, ale potem niech mnie pani ratuje; jeżeli pani nie zlituje się nade mną i nie poradzi mi co, umrę chyba ze zmartwienia.

Powiem więc pani... ręka mi drży, jak pani widzi, nie mogę prawie pisać, czuję, że twarz mam całą w ogniu... Och, to rumieniec wstydu! Dobrze więc, zniosę ten wstyd; to będzie pierwsza kara za mój występki. Tak, powiem pani wszystko.

Powiem pani zatem, że pan de Valmont, który dotąd doręczał mi wszystkie listy pana Danceney'ego, dopatrywał się w tym nagle ogromnych trudności i koniecznie chciał mieć klucz od mego pokoju. Mogę panią zapewnić, że ja nie chciałam: ale on o tym napisał do Danceney'ego i Danceney także tego żądał. Mnie tak jest ciężko, kiedy mu muszę coś odmówić, zwłaszcza od czasu naszego rozstania, przez które on jest taki nieszczęśliwy, że nareszcie musiałam się zgodzić. Nie przewidywałam, co z tego strasznego wyniknie.

Za pomocą tego klucza pan de Valmont wszedł wczoraj do mego pokoju w czasie, kiedy spałam. Nie spodziewałam się tego ani trochę i strasznie przelęknłam się, kiedy mnie się zbudziła: ale ponieważ zaraz zagadał do mnie, poznałam go i nie krzyczałam; a potem przyszło mi na myśl, że on może przyszedł, aby mi oddać list od Danceney'ego. To wcale nie było po to. W chwileczkę potem chciał mnie pocałować; ja się oczywiście broniałam; wtedy on tak zrobił, że za żadne skarby świata bym nie chciała... ale on żądał, żeby go przedtem pocałować. Nie było innej rady, bo cóż miałam robić? Próbowałam wołać o pomoc: ale po pierwsze nie mogłam, a potem on mi powiedział, że gdyby ktoś przyszedł, to on potrafi zrzucić całą winę na mnie i mógłby naprawdę z powodu tego klucza. A potem on też się jeszcze nie usunął. Chciał, żeby go jeszcze pocałować: i tym razem nie wiem, co to było takiego, ale tak mi się jakoś dziwnie zrobiło; a potem to było jeszcze gorzej przedtem. O, to, to było bardzo niedobrze. Słowem... niech pani złota nie żąda, aby pani mówić to wszystko, jak było; ale jestem tak strasznie nieszczęśliwa, że już nie wiem, co począć.

Najwięcej sobie wyrzucam, (do tego koniecznie muszę się pani przyznać), że ja może nie broniałam się tak mocno, jak tylko miałam siły. Nie wiem, jak się to działo: to pewna,

że nie kocham pana de Valmont, całkiem przeciwnie; a były chwile, w których tak mi się działo, jak gdybym go kochała. Wyobraża pani sobie, że mimo to ciągle mówiłam mu, że nie; ale sama czułam, że nie robiłam tak, jak mówiłam; to było tak, jakby mimo mojej woli; a potem znowu tak mi się dziwnie robiło! Jeżeli to zawsze jest tak trudno się bronić, to trzeba bardzo wprawioną być do tego! To prawda, że pan de Valmont ma takie sposoby mówienia, że nie wie się, jak zrobić, żeby mu odpowiedzieć; czy pani uwierzy, że kiedy już odchodził, miałam takie uczucie, jak gdybym z tego była zmartwiona, i tak jakoś nie umiałam się wymówić, że zgodziłam się, aby znów przyszedł dziś wieczór: i to mnie gryzie bardziej jeszcze niżeli wszystko inne.

Och, mimo to przyrzekam pani święcie, że nie pozwolę mu przyjść dzisiaj. Zaledwie poszedł, to ja już uczułam, że bardzo źle zrobiłam, że mu to przyrzekłam. Toteż płakałam potem calutki czas. Zwłaszcza za każdym razem, kiedy pomyślałam o Dancenym, płacz mnie chwycił na nowo, tak że dławiałam się po prostu; a ciągle o nim myślałam... I teraz jeszcze widzi pani skutki: o, papier jest całkiem mokry. Nie, nie pocieszę się nigdy, chociażby tylko przez niego... Wreszcie nie miałam już siły do płakania, a mimo to nie mogłam spać ani minuty. Dziś rano przy wstawaniu, kiedy popatrzyłam w lustro, aż się przeleżałam, taka byłam zmieniona.

Mama zauważyła to, jak tylko mnie zobaczyła i pytała się, co mi jest. Zaczęłam znowu zaraz płakać. Myślałam, że mnie wyłaje i może by mi to zrobiło mniej przykrości: ale przeciwnie. Mówiła do mnie tak łagodnie jak nigdy. Nie warta byłam tego. Mówiła mi, żebym się nie martwiła. Bo ona nie wiedziała, dlaczego ja się martwię. Że jeszcze się doprowadzę do choroby! Są chwile, w których bym chciała, żeby już umrzeć. Nie mogłam dłużej wytrzymać. Rzuciłam się jej w ramiona, szlochając i mówiąc: „Och, mamo, twoja córka jest bardzo nieszczęśliwa!” Mama też nie mogła się prawie powstrzymać od płaczu: a mnie coraz gorzej się od tego robiło na sercu. Na szczęście nie zapytała się mnie, z czego jestem taka nieszczęśliwa, bo nie wiedziałabym, co jej odpowiedzieć.

Błagam panią, moja złota pani, niech mi pani odpisze najprędzej, jak pani będzie mogła, i niech mi pani powie, co ja mam robić: bo nie mam odwagi myśleć o niczym i tylko się martwię ciągle. Niech pani będzie tak dobra przesłać mi swój list za pośrednictwem pana de Valmont; ale proszę panią bardzo, jeżeli będzie pani równocześnie pisała do niego, niech mu pani nic nie zdradzi, że ja pani coś powiedziałam.

Mam zaszczyt być, wraz z całą serdeczną przyjaźnią, pani bardzo uniżoną i bardzo powolną służką.

Nie śmiem podpisać tego listu.

*Z zamku \*\*\*, 1 października 17\*\**

## LIST XCVIII

*Pani de Volanges do markizy de Merteuil*

Niewiele dni, moja urocza przyjaciółko, upłynęło od czasu, jak ty zwracałaś się do mnie z prośbą o słowa pociechy i rady: dzisiaj na mnie przyszła kolej i dziś ja znowu udaję się do ciebie z podobną prośbą. Mam ciężką zgryzotę, a obawiam się, czy dobrą obrałam drogę dla zaradzenia złemu.

Niespokojna jestem o córkę. Od czasu naszego wyjazdu widziałam, co prawda, że jest ciągle smutna i zgnębiona, ale byłam na to przygotowana i uzbroiłam serce matki całą konieczną, wedle mnie, surowością. Miałam nadzieję, że oddalenie, rozrywki zniweczą wkrótce tę miłość, którą uważałam raczej za wybryk dzieciństwa niż za prawdziwą namiętność. Tymczasem nie tylko nasz pobyt tutaj nic nie poprawił, ale, przeciwnie, widzę, że to dziecko pogrąża się coraz to głębiej w nader niebezpiecznej melancholii; słowem, obawiam się na dobre, aby jej zdrowie na tym nie ucierpiało. Od kilku dni zmieniała się wprost w oczach. Wczoraj zwłaszcza mnie to uderzyło i nie tylko mnie: cały dom był tym zaniepokojony.

Do jakiego stopnia smutek jej jest głęboki, widzę stąd, iż chwilami bierze górę nad trwożliwością, jaką ona zwykle okazuje ze mną. Wczoraj rano na proste zapytanie moje,

czy nie jest chora, rzuciła mi się w ramiona, mówiąc, że jest bardzo nieszczęśliwa: zanosila się przy tym od płaczu. Nie umiem ci opisać, jaką mi to przykrość zrobiło; mnie samej łzy napłynęły do oczu i ledwo zdążyłam się odwrócić, aby przed nią tego nie okazać. Na szczęście miałam na tyle rozważli, iż nie zapytałam jej o nic, a ona też nie śmiała powiedzieć mi więcej: ale nie ma wątpliwości, że to ta nieszczęśliwa miłość tak ją dręczy.

Co począć tedy, jeżeli to będzie trwało? Czyż mam unieszczęśliwiać własną córkę? Czyż mam przeciw niej samej obracać te najcenniejsze przymioty duszy, jakimi są tkliwość i stałość? Czyż na to jestem jej matką? A gdybym nawet zdusiła to tak naturalne uczucie, które nam każe pragnąć szczęścia naszych dzieci; gdybym uważała za nierozumną słabość to, co mam przeciwnie za najpierwszy, najświętszy z naszych obowiązków; jeśli zniewolę jej wybór, czyż nie przyjdzie mi odpowiadać za fatalne następstwa, jakie mogą zeń wyniknąć? Godziż się używać powagi matki na to, aby stawiać swą córkę między nieszczęściem i zbrodnią?

Pojmujesz, droga przyjaciółko, że nie chciałabym popaść w to, co potępiałam tak często. Zapewne, mogłam próbować pokierować wyborem mojej córki; przychodziłam jej w tym jedynie z pomocą moim doświadczeniem; nie korzystałam z praw, ale dopełniałam obowiązku. Natomiast postąpiłabym wbrew moim obowiązkom, gdybym chciała dziś niewolić ją przemocą, deprecując skłonność, której obudzeniu się nie umiałam zapobiec, a z której głębi i trwałości ani ona, ani ja nie możemy sobie zdać sprawy dzisiaj. Nie, nie dopuszczę tego, aby moja córka miała wstąpić w dom męża, kochając innego; wolę raczej narazić na szwank moją powagę niżeli jej cnotę.

Sądzę tedy, że najrozsądniejszą rzeczą, jaką mogę uczynić, będzie po prostu cofnąć słowo dane panu de Gercourt. Odsłoniłam ci moje pobudki; wydają mi się one większej wagi niż to zobowiązanie. Powiem więcej; w obecnym stanie rzeczy dopełnić moich zobowiązań znaczyłoby w istocie je pogwałcić. Przypuściwszy bowiem, iż winna jestem mojej córce, aby nie odsłaniać jej tajemnic wobec p. de Gercourt, to winna jestem znów jemu co najmniej tyle, by nie nadużywać jego nieświadomości w tym względzie i uczynić za niego wszystko to, co miemam, że sam by uczynił, gdyby był świadomy tych okoliczności. Czy mam, przeciwnie, zdradzić jego zaufanie wówczas, kiedy on zdaje się na moją dobrą wiarę? Te skrupuły i refleksje, którym nie mogę się opędzić, niepokoją mnie bardziej, niżbym umiała ci powiedzieć.

Z tymi nieszczęściami, których obrazu nie mogę wygnać z moich myśli, zestawiam z kolei szczęście córki przy boku małżonka, którego serce jej wybrało, w pożyciu, którego obowiązki stałyby się dla niej jedynie słodyczą; w którym każde z nich dwojga szukałoby własnego szczęścia jedynie w szczęściu drugiego, mnożąc zarazem radość ich kochającej matki! Czyż godzi się dla jakichś czczych względów poświęcać nadzieję tak jasnej przyszłości? I jakież względy mogą tutaj grać rolę? Jedynie materialne. Jakąż korzyść miałyby moja córka stąd, iż urodziła się bogatą, gdyby mimo to miała pozostać niewolnicą majątku!

Przyznaję, że pan de Gercourt jest dla mojej córki partią świetną nad wszelkie spodziewanie; przyznaję nawet, iż wybór, jakim ją zaszczycił, pochlebił mi niezmiernie. Ale wszakże Danceny pochodzi z równie dobrej rodziny, nie ustępuje mu w niczym pod względem wartości osobistej; posiada nadto nad panem de Gercourt tę przewagę, że kocha i jest kochany. Nie jest bogaty, to prawda; ale czyż moja córka nie posiada dosyć na dwoje? Ach, czemuż jej wydzierać szczęście tak słodkie, aby mogła otoczyć dostatkiem tego, którego kocha!

Te małżeństwa, które oblicza się zamiast je dobierać, te tak zwane małżeństwa z rozsądku, gdzie wszystko istotnie jest, czego rozsądek wymaga, z wyjątkiem zgodności uczuć i charakterów, czyliż nie one właśnie są najobfitszym źródłem owych gorszących wydarzeń, które stają się z każdym dniem coraz częstsze? Wolę raczej rzecz odłożyć; obrócę ten czas na głębsze poznanie mojej córki, czego może dotąd nieco zaniedbałam. Czuję w sobie odwagę narażenia jej na chwilową przykrość, jeżeli w zamian ma otrzymać szczęście pewniejsze i trwalsze: ale rzucać ją na pastwę wieczystej może rozpaczy, nie, nie mam serca po temu.

Oto, droga przyjaciółko, myśli, jakie mnie dręczą i co do których proszę cię o radę. Powaga tego przedmiotu odbija bardzo od twojej milej pustoty i na pozór nie bardzo licuje z twoim wiekiem: ale twój rozum wyprzedził wszak o tyle twoje lata! Zresztą przyjaźń dla

mnie przyjdzie z pomocą twojej roztropności; i wiem, że nie zechcesz odmówić pomocy strapionej matce, która się zwraca do ciebie z całym zaufaniem.

Do widzenia, uroczą przyjaciółko; nie wąż nigdy o szczerości moich uczuć.

Z zamku \*\*\*, 2 września 17\*\*

## LIST XCIX

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Znowu same drobiazgi, moja piękna przyjaciółko; uzbrój się tedy w cierpliwość, nawet w wiele cierpliwości: bowiem podczas gdy piękna prezydentowa postępuje ledwo krok za krokiem, twoja pupilka cofa się, a to jeszcze gorzej. Z tym wszystkim bawię się doskonale tymi głupstwami; włożyłem się zupełnie do pobytu tutaj i mogę powiedzieć, że w tym smutnym zamku nieśmiertelnej ciotki nie znalazłem dotąd ani chwili nudów. W istocie, czyliż nie przeżywam tu uciech, zawodów, nadziei, niepewności? Cóż więcej mieć można na wielkiej arenie? Widzów? Ech, pozwól mi tylko działać, a i tych nie zbraknie. Jeśli nie oglądają mnie przy robocie, pokażę im skończone dzieło; pozostanie im jedynie podziwiać mnie i oklaskiwać. Tak, oklaskiwać; dziś bowiem jestem już mocen przepowiedzieć z całą pewnością chwilę upadku surowej świętoszki. Tęgo wieczora patrzyłem na agonię jej cnoty. Resztki jej ustąpią niebawem miejsca słodkiemu poddaniu. Mniemam, iż moment ów nastąpi za najbliższym naszym spotkaniem: ale stąd słyszę już, markizo, jak powstajesz na moją zarozumiałość... Zapowiadać swoje zwycięstwo, chełpić się tak z góry! No, no, proszę, uspokój się! Aby udowodnić ci moją skromność, zacznę najpierw od skreślenia dziejów mej porażki.

Doprawdy, że twoja pupilka to strasznie pocieszna istota! To prawdziwe dziecko, z którym trzeba by postępować jak z dzieckiem, stawiając je po prostu w razie nieposłuszeństwa na pokucie! Czy uwierzyłabyś, że po tym, co zaszło przedwczoraj między nami i po rozstaniu najbardziej przyjacielskim w świecie, dziś wieczorem, kiedy chciałem znów zajrzeć do niej tak, jak to było umówione, zastałem drzwi zamknięte od wewnątrz? Cóż ty na to? Trafiają się niekiedy takie dzieciństwa w *przededniu*; ale nazajutrz! To już zbyt śmieszne!

Mimo to nie śmiałem się zrazu; nigdy nie czułem tak jak wówczas, do jakiego stopnia charakter mój nie znosi żadnej zapory. Szedłem na tę schadzkę bez wielkiej ochoty, jedynie przez uprzejmość. Własne łóżko było mi w tej chwili o wiele bardziej pożądane niż czyjekolwiek inne i oddaliłem się od niego niemal z żalem. Ale kiedy spotkałem na drodze przeszkodę, byłbym nie wiem co zrobił, aby ją pokonać; upokarzało mnie zwłaszcza, aby takie dziecko ośmieliło się igrać sobie ze mną. Wróciłem do siebie bardzo podrażniony. W postanowieniu nie zajmowania się więcej tym głupim bębniem ani jego głupimi sprawami, napisałem do niej na poczekaniu bilecik, który miałem zamiar doręczyć jej dzisiaj, a w którym obszedłem się z nią tak, jak na to zasługuje. Ale, jak to mówią, noc przynosi z sobą dobrą radę; otóż rozmyśliłem się dziś rano, doszedłszy do przekonania, iż wobec szczupłego wyboru rozrywek, jakimi tu rozporządzam, nie trzeba wyrzekać się tej, którą mam pod ręką: zniszczyłem tedy ów zbyt surowy bilecik. Zastanowiwszy się głębiej, nie mogę pojąć, jak mogłem doprawdy chcieć skończyć tę przygodę, zanim będę miał w ręku wszystko, co potrzeba, aby zgubić jej bohaterkę. Na jakie bezdroża może nas zawieść pierwsze uniesienie! Szczęśliwy, moja piękna przyjaciółko, kto jak ty nauczył się nigdy mu nie ulegać! Słowem, odwlokłem mą zemstę; uczyniłem to poświęcenie ze względu na twoje zamiary odnośnie do Gercourta.

Teraz, kiedy już gniew przeminął, postępowanie małej wydaje mi się jedynie śmiesznym. Chciałbym wiedzieć doprawdy, co ona chce przez to osiągnąć! Wyznaję, iż na próżno silę się odgadnąć: jeżeli chodzi o obronę, to trzeba przyznać, że wzięła się do niej trochę późno. Któregoś dnia będzie mi musiała wyjaśnić słowo zagadki! Wielką miałbym ochotę się dowiedzieć. Czy może po prostu czuła się tylko zmęczona? To nie jest niemożliwe, bowiem nie wie z pewnością jeszcze, że groty miłości, jak lanca Achillea, mają władzę gojenia ran, które zadają. Ale nie; sądząc z jej grymasików przez cały dzień, założyłbym

się, że tu chodzi o jakieś wyrzuty... ot... coś takiego... coś jak gdyby cnota... Cnota!... i jej to przystało się w nią stroić? Ach, niechże ją zostawi kobiecie naprawdę dla cnoty stworzonej, jedynej, która umie ją przystroić wdziękiem, która każe ją uwielbiać niemal!... Daruj mi, piękna przyjaciółko, ale właśnie tego wieczoru rozegrała się pomiędzy panią de Tourvel a mną scena, z której mam ci zdać sprawę i po której jeszcze dotąd jestem nieco wzruszony. Siłą muszę się niewolić do tego, aby ochłonąć z wrażenia, jakiego doznałem; dlatego nawet, aby w tym sobie dopomóc, zabrałem się do pisania do ciebie. Bądź więc wyrozumiałą, markizo.

Już od kilku dni nastąpiło zupełne porozumienie pomiędzy panią de Tourvel a mną co do jednomyślności naszych uczuć; spieramy się już tylko o słowa. Dotychczas na moją *miłość* odpowiadała ze swej strony *przyjaźnią*; ale ta konwencja czysto słowna nie zmieniała istoty samej rzeczy; i ta droga byłaby nas może mniej szybko, ale nie mniej pewnie zawiodła do celu. Już nie było mowy nawet o oddaleniu mnie, tak jak tego zrazu żądała; zaś co się tyczy rozmów sam na sam, jakie miewamy z sobą codziennie, to jeżeli ja dokładam starań, aby dostarczyć po temu sposobności, ona ze swojej strony chwyta tę sposobność wcale skwapliwie.

Ponieważ zazwyczaj nasze niewinne spotkania odbywają się pod pozorem przechadzki, dzisiejszy szkaradny czas nie pozwalał mi się niczego spodziewać w tym względzie: byłem nawet tym mocno podrażniony, nie przewidując zgoła, ile miałem zyskać na tej mniemanej przeszkodzie.

Po obiedzie, nie mogąc udać się na przechadzkę, zabrano się do gry; że zaś ja grywam bez zapалу, a obecnie nie jestem niezbędny do złożenia partii, udałem się na tę chwilę do siebie.

Właśnie wracałem, aby odszukać całe towarzystwo, kiedy spotkałem tę uroczą kobietę w chwili, gdy wchodziła do swego pokoju. Nie wiem, czy była to nierozwaga czy słabość, ale rzekła do mnie słodkim głosem: „Gdzież pan idzie? Nie ma nikogo w salonie”. Domyślasz się, markizo, iż spróbowałem dostać się do jej pokoju; napotkałem na mniej oporu, niż mogłem być przypuszczać. To prawda, że miałem tę ostrożność, aby rozpocząć przy drzwiach rozmowę i to w najniewinniejszym tonie; ale zaledwie znaleźliśmy się wewnątrz, kiedy natychmiast powróciłem do prawdziwego jej wątku i zacząłem mówić *mej przyjaciółce o mojej miłości*. Pierwsza jej odpowiedź, jakkolwiek prosta, wydała mi się dość wymowną: „Och, proszę, nie mówmy o tym tutaj” — rzekła; przy czym drżała na całym ciele. Biedna kobieta! Czuje, iż nadchodzi ostatnia jej godzina.

Mimo to obawy jej były płonne. Od niejakiego czasu, pewny zwycięstwa dziś lub jutro i widząc, ile ona zużywa sił na bezcelowe utarczki, postanowiłem oszczędzać się i czekać bez wysiłków, aż się sama podda ze znużenia. Pojmujesz, że tutaj potrzeba mi, aby tryumf był zupełny i że nie chcę nic zawdzięczać sposobności. Zgodnie z tym planem, aby utrzymać się w pozycji zaczepnej, nie posuwając się jednak zbyt daleko, wróciłem umyślnie do słowa *miłość*, odtrącanego z takim oporem: pewny zaś, iż nie wątpi o zapale moich uczuć, uderzyłem w ton bardziej tkliwy. Opór ten nie gniewał mnie już, ale mnie zasmucał; czyż moja tkliwa przyjaciółka nie była mi winna nieco pociechy?

Wśród tego dzieła pocieszenia, jedna ręka zaplątała się w moich, wdzięczne ciało oparło się o moje ramię i znaleźliśmy się niezmiernie blisko siebie. Zauważyłaś z pewnością nieraz, jak w tym położeniu, w miarę jak obrona słabnie, prośby i odmowa wymieniają się bardziej z bliska; jak głowa się odwraca i spojrzenia kierują się w dół, podczas gdy słowa, szeptane zaledwie omdlewającym głosem, stają się rzadkie i przerywane. Te szacowne objawy zwiastują, w sposób bardzo niedwuznaczny, przyzwolenie duszy: to nie znaczy jednak, aby już przedostało się ono aż do zmysłów; sądzę nawet, że bardzo jest niebezpiecznie podejmować wówczas jakieś wyraźniejsze usiłowania; bowiem, ponieważ ten stan pół-oddania się połączony jest zawsze z uczuciem niezmiernej błogości, wyrывая z niego kobietę niejako przemocą, budzi się zawsze żal, który znowu dodaje siły do obrony. Dlatego też nie nacierałem, nie błagałem o nic: nie żądałem nawet, by usta jej wyrzekły tak lube wyznanie; gotów byłem zadowolić się spojrzeniem: jedno spojrzenie, a byłbym szczęśliwy.

Jakoż, moja piękna przyjaciółko, słodkie jej oczy istotnie podniosły się na mnie; niebiańskie usta wymówiły nawet: „Więc dobrze! Tak, ja...”. Ale nagle wzrok się zamglął, głos załamał się w pół słowa i anielska kobieta osunęła mi się w ramiona. Zaledwie mia-



lem czas ją podtrzymać, kiedy wyzwalając się z moich objęć z konwulsyjną siłą, z błędnym spojrzeniem i rękami wzniesionymi ku niebu: „O Boże — wykrzyknęła — o mój Boże, ocal mnie!” i natychmiast, szybsza od błyskawicy, znalazła się na kolanach, o dziesięć kroków ode mnie. Widziałem, że bliską jest omdlenia.

Podbiegłem, aby ją ratować, ale ona, ujmując moje ręce, które oblewała łzami, chwilaami nawet obejmując moje kolana, wołała; „Tak, ty, ty sam, ty mnie ocalisz! Nie chcesz jednak mojej śmierci, zostaw mnie; ratuj mnie; zostaw mnie, na miłość boską, zostaw mnie”. Te bezładne słowa zaledwie dobywały się jej z piersi, tłumione wzmagającym się łkaniem. Mimo to trzymała mnie z mocą, która nie pozwalała mi się ruszyć z miejsca; wówczas, zbierając siły, podniosłem ją w ramionach. W tej samej chwili płacz ustał; nie mówiła już nic, członki jej zeszywniały i gwałtowne konwulsje nastąpiły po tej burzy.

Wyznaję, iż byłem żywo wzruszony, i mniemam, że byłbym ustąpił jej prośbom, gdyby nawet okoliczności nie zmuszały mnie do tego. Ułożywszy ją spokojnie, zostawiłem ją, jak mnie o to prosiła i szczerze sobie tego wieszając. Już teraz zebrałem owoce tej wspaniałomyślności.

Przypuszczałem, iż zarówno jak w dniu pierwszego mego wyznania, moja pani nie pojawi się wcale wieczorem w salonie. Ale około ósmej godziny zeszła do nas i oznajmiła jedynie towarzystwu, że czuła się popołudniu bardzo niezdrowa. Twarz miała zmęczoną, głos słaby, a w objęciu czuć było zakłopotanie; ale spojrzenie jej było pełne słodyczy i nieraz zwracało się ku mnie. Ponieważ prezydentowa nie chciała wzięć udziału w grze, ja musiałem tym samym zająć jej miejsce; ona usiadła tuż koło mnie. Podczas kolacji została w salonie sama. Za powrotem spostrzegłem, iż płakała: aby upewnić się o tym, powiedziałem jej, iż, jak się zdaje, nie przyszła jeszcze zupełnie do siebie po swojej niedyspozycji; na co odpowiedziała mi bez gniewu: „To cierpienie nie mija tak prędko, jak przychodzi”. Wreszcie kiedy wszyscy się rozchodzili, podałem jej rękę, którą, wchodząc do swego pokoju, uściśnęła z całej siły. To prawda, że było to jakby mimowiednie; ale tym lepiej; to jedna próba więcej mojej władzy nad nią.

Założyłbym się, że w tej chwili bardzo jest rada, iż dotarła już do tego punktu; wszystkie trudy już przebyte, pozostaje tylko cieszyć się ich owocem. Może podczas gdy ja ci to piszę, ona już zaprzęta się tą rozkoszną myślą; a gdyby nawet zajmowała się, przeciwnie, nowym zamiarem obrony, czyż nie wiemy dobrze, dokąd prowadzą wszystkie takie zamiary? Sama powiedz, markizo, czy przełom nie jest tu nieunikniony, i to za najbliższym naszym spotkaniem? Domyślam się, oczywiście, że ostateczne przyzwolenie nie obejdzie się bez jakichś historii; ale, z tym wszystkim, skoro taka cnotka zdecyduje się już na pierwszy krok, nic nie jest w stanie jej zatrzymać. U nich miłość to istny wybuch prochu; opór pomnaża jedynie siłę. Moja płochliwa świętoszka popędziłaby za mną, gdybym ja przestał upędząć się za nią.

Słowem, moja piękna przyjaciółko, tuż, tuż, a zjawię się u ciebie, aby cię zmusić do dotrzymania słowa. Nie zapomnialiś jeszcze może o tym, co mi przyrzekłaś po moim tryumfie? Małą niewierność swojemu kawalerowi; czyś gotowa, markizo? Co do mnie, pragnę tego tak, jak gdybyśmy się nigdy nie byli znali. Zresztą znać ciebie, markizo, czyż to nie jest przyczyną, aby cię pragnąć tym więcej:

Nie dwornym jestem, pani, sprawiedliwym jeno<sup>5</sup>.

Toteż będzie to pierwsza niewierność, jakiej dopuszczę się względem mojej cnotliwej zdobyczy: przyrzekam ci skorzystać z pierwszego pozoru, aby się wymknąć bodaj na dwadzieścia cztery godziny. Będzie to dla niej kara za to, iż mnie trzymała tak długo daleko od ciebie. Czy wiesz, że już przeszło dwa miesiące, jak mnie zaprzęta ta przygoda? Tak: dwa miesiące i trzy dni; to prawda, że liczę już jutrzejszy dzień, bo jutro dopiero spełni się wreszcie zupełnie ta ofiara. To mi przypomina, że panna de B\*\*\* opierała się całutkie trzy miesiące. Bardzo rad będę stwierdzić, że prosta zalotność umie się zdobyć na więcej siły w swej obronie niżeli surowa cnota.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; trzeba się rozstać z tobą, bo już późno. Ten list wytrzymał mnie dłużej niż przypuszczałem; ale ponieważ posyłam jutro rano umyślnego

<sup>5</sup>Nie dwornym (...) jeno — Voltaire, *Comédie de Nanine*. [przypis tłumacza]

do Paryża, chciałem skorzystać z tego, abys mogła podzielić o dzień wcześniej radość twego przyjaciela.

*Z zamku de \*\*\*, 2 października 17\*\**

## LIST C

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Markizo, jestem oszukany, zdradzony, zgubiony; jestem w rozpacz: pani de Tourvel wyjechała. Wyjechała i ja nic o tym nie wiedziałem! I nie było mnie, aby sprzeciwić się tej ucieczce, aby jej rzucić w oczy jej niegodną zdradę! Ach, nie sądz, że byłbym pozwolił jej wyjechać; byłaby została; tak, byłaby została, choćby mi było przyszło użyć nawet przemocy. Ale cóż! W mojej spokojnej łatwowierności spałem sobie spokojnie: ja spałem, a piorun ugodził mnie we śnie. Nie, nie rozumiem nic z tego wyjazdu; w ogóle to są daremne wysiłki chcieć coś rozumieć z kobiety!

Kiedy sobie przypominam ten wczorajszy dzień! Co mówię, wieczór nawet! To spojrzenie tak słodkie, ten głos tak tkliwy! To ściśnięcie ręki! I przez ten czas ona układała zamiar ucieczki! O kobiety! Kobiety! I wy się skarżycie, skoro się was zwodzi!

Z jakąż rozkoszą mścić się będę na niej! Bo ja ją znajduję, tę przewrotną, odzyskam władzę nad nią. Jeżeli sama miłość umiała znaleźć środki po temu, i czegoż nie dokona wspomagana zemstą? Ujrzę ją jeszcze na kolanach, drżącą i zalaną łzami, błagającą mnie o łaskę swoim kłamliwym głosem; ale ja, ja będę bez litości.

Co ona robi teraz? Co ona myśli? Może dumną się czuje, iż zdołała mnie oszukać. To, czego nie mogła zdziałać cnota tyle wysławiana, tego dokonał bez wysiłku instykt zdrady. I być zmuszonym łykać to upokorzenie! Móc okazywać jedynie tkliwą boleść, gdy serce kipi od wściekłości! Musieć jeszcze błagać zuchwałą kobietę, która wyłamała się spod mej władzy! I ja miałbym to znieść! Nie, moja przyjaciółko, nie myślisz chyba tego, ty nie masz o mnie tak poniżającego mniemania!

Ale jakaż fatalność przywiązuje mnie do tej kobiety? Czyliż sto innych nie czeka z upragnieniem moich względów? Po cóż gonić za tym, co ucieka przed nami, a gardzić tym, co wchodzi nam w ręce? Tak, po cóż?... Nie wiem po co, lecz czuję to tym mocniej.

Nie ma już dla mnie szczęścia, nie ma spokoju, jak tylko w posiadaniu tej kobiety, której nienawidzę i którą kocham z jednaką zaciekleścią. Życie stanie mi się znośnym dopiero z tą chwilą, kiedy jej losy będę dzierzył w moim ręku. Wówczas, spokojny i zadowolony, ja będę patrzył z kolei, jak nią miotają burze, których ja doznaję w tej chwili; tysiąc innych jeszcze w niej rozniecę. Nadzieja i obawa, zaufanie i niepokój, wszystkie cierpienia wymyślone przez nienawiść, wszystkie rozkosze zesłane przez miłość chcę, aby napełniały jej serce, aby gościły w nim kolejno wedle mojej woli. Ten czas przyjdzie... Ale ileż trudów jeszcze! Jakżeż blisko byłem wczoraj! A dzisiaj jakżeż znów jestem daleko! Jak przebyć tę drogę? Nie śmiem próbować żadnego kroku; czuję, że aby powziąć jakieś postanowienie, trzeba by być spokojniejszym, a tymczasem krew gotuje mi się w żyłach.

Udręczenia moje podwaja jeszcze ta obojętność, z jaką każdy odpowiada na moje zapytania. Nikt nic nie wie, nikt nie chce nic wiedzieć: zaledwie mówiono by o tym, gdybym dopuścił, aby mówiono o czym innym. Pani de Rosemonde, do której pobiegłem zaraz rano, odpowiedziała mi ze spokojem godnym swojego wieku, że wyjazd ten jest naturalnym następstwem niedomagania, którego pani de Tourvel doświadczyła wczoraj: obawiała się choroby i wołała znaleźć się u siebie. Pani de Volanges, którą zrazu podejrzewałem o współnictwo, zdaje się dotknięta jedynie tym, iż nie zasięgnięto jej zdania co do tego kroku. To mi dowodzi, że ona nie posiada w tym stopniu, jak się obawiałem, zaufania tej kobiety. Jak ona by tryumfowała, gdyby wiedziała, że to mnie miała dosięgnąć ta ucieczka! Jak by się nadymała pychą, gdyby się to stało z jej dorady! Mój Boże! Jak ja jej nienawidzę! Och, zajmę się, zajmę na nowo jej córeczką; chcę ją urobić wedle mojej woli; toteż zdaje mi się, że zabawię tu jeszcze czas jakiś, o ile w ogóle teraz jestem zdolny cośkolwiek postanawiać.

Czy nie przypuszczasz, w istocie, że po tym kroku tak zuchwałym tamta niewdzięczna musi się lękać mojej obecności? Gdyby więc spodziewała się, iż ja mógłbym podążyć za nią, nie omieszkałaby mi zamknąć drzwi swego domu; ja zaś nie mam ochoty ani przyzwyczajać ją do tego sposobu, ani też znosić podobne upokorzenie. Wolę jej oznajmić, przeciwnie, że pozostaję tutaj: będę ją nawet błagał, aby powróciła, i dopiero kiedy będzie zupełnie uspokojona w tym względzie, zjawię się nagle u niej: zobaczymy, jak zniesie to spotkanie! Ale trzeba je odwlec, aby spotęgować wrażenie, i nie wiem jeszcze, czy zdobędę się na cierpliwość: dwadzieścia razy w ciągu dnia otwierałem już usta, aby wołać o konie. Mimo to zapanuję nad sobą; zobowiązuję się odebrać tu jeszcze twoją odpowiedź; proszę cię jedynie, piękna przyjaciółko, nie każ mi zbyt długo na nią czekać.

Co by mnie najbardziej drażniło, to gdybym miał nie wiedzieć, co się dzieje; ale mój strzelec jest w Paryżu i posiada pewne prawa wstępu u panny służącej; będzie tedy mógł mi w tym usłużyć. Poślam mu odpowiednie zlecenia i pieniądze. Proszę cię, markizo, nie bierz mi za złe, że jedne i drugie dołączę do tego listu i bądź tak dobra, każ mu je doręczyć przez kogoś z twoich ludzi. Zachowuję tę ostrożność, ponieważ hultaj ma zwyczaj nigdy nie otrzymywać listów, które do niego piszę, o ile mu się nie chce wykonać zawartych w nim poleceń.

Do widzenia, droga przyjaciółko; jeżeli ci przyjdzie jaka szczęśliwa myśl, jaka zba-wienna rada, donieś mi o tym. Przekonałem się o tym nie jeden raz, jak cenną może być twoja przyjaźń; doświadczam tego jeszcze i w tej chwili, bo czuję się spokojniejszym, odkąd piszę do ciebie. Przynajmniej mówię do kogoś, kto mnie rozumie, a nie do auto-matów, jakie koło mnie snują się od rana. Doprawdy, im dłużej żyję, tym więcej skłonny jestem do mniemania, że tylko my dwoje, ty i ja, warci coś jesteśmy na świecie.

*Z zamku \*\*\*, 3 września 17\*\**

## LIST CI

*Wicebrabia de Valmont do swego strzelca Azolana*

*(dołączony do poprzedzającego)*

Jesteś koronnym cymbałem, skoro mogłeś odjechać stąd dzisiaj rano i nic o tym nie wiedzieć, że pani de Tourvel wyjeżdża także, lub też, jeżeliś wiedział, nie przyjąć uwiadomić mnie o tym. Cóż mi więc z tego, że wydajesz moje pieniądze na upijanie się ze służbą; że czas, przez który powinienś mnie obsługiwać, trawisz na gruchaniu z pokojówką, jeżeli za to wszystko w ten sposób jestem powiadomiony o tym, co się dzieje? Oto są skutki twojego niedbalstwa! Ale uprzedzam cię, że jeżeli ci się przytrafi jeszcze choć jedno w ciągu tej sprawy, będzie to ostatnie, na jakie sobie pozwolisz w mojej służbie.

Masz mi najrychlej dostarczyć wiadomości o wszystkim, co się dzieje u pani de Tourvel; o jej zdrowiu; czy sypia, czy jest smutna czy wesola; czy często wychodzi i u kogo bywa; czy przyjmuje u siebie i kto ją odwiedza; jak spędza czas; co robi, kiedy jest sama; czy kiedy czyta, czyta bez przerwy, czy też odkłada książkę, ażeby pogрузić się w marzeniu; tak samo gdy pisze. Postaraj się również zaprzyjaźnić ze służącym, który nosi listy na pocztę. Ofiaruj mu się kiedy z gotowością wypełnienia tego obowiązku za niego; a jeśli się zgodzi, wypraw tylko te listy, które ci się będą wydawały obojętne, zaś mnie odeślij inne, zwłaszcza listy do pani de Volanges, jeśli będą.

Postaraj się jeszcze przez jakiś czas zostać szczęśliwym kochankiem swojej Julii. Jeśli ma kogo innego, tak jak to przypuszczałeś, staraj się ją nakłonić do podziału i nie unoś się żadnymi śmiesznymi skrupułami: znajdziesz się w położeniu wielu osób, które więcej są warte od ciebie. Jeśli mimo to twój partner byłby zbyt niewygodny lub gdybyś spostrzegł na przykład, że zanadto zajmuje Julię w ciągu dnia i że przez to ona mniej często jest przy swojej pani, usuń go jakim sposobem albo poszukaj z nim zwady; nie lękaj się o następstwa, ja cię obronię. Przede wszystkim nie opuszczaj tego domu. Jedynie przy wytrwałości można widzieć wszystko i dobrze. Gdyby szczęśliwym przypadkiem który

z jej ludzi porzucal tę służbę, zgłoś się na jego miejsce, mówiąc, że nie jesteś już u mnie w obowiązku. Powiedz, że opuściłeś mnie, aby poszukać domu o bardziej spokojnym i regularnym trybie. Słowem, staraj się, abys został przyjęty. Mimo to zachowam cię przez cały czas w mojej służbie; to będzie tak jak u księżnej de \*\*\*; a w następstwie pani de Tourvel również cię wynagrodzi tak samo.

Dla podtrzymania twojej gorliwości i zręczności, których ci czasem nie staje, posyłam ci pieniądze. Bilet tu dołączony upoważnia cię do podjęcia dwudziestu pięciu ludwików u mojego bankiera, bowiem nie wątpię, że jesteś bez grosza. Użyjesz z tej sumy tyle, ile będzie potrzeba, aby skłonić Julię do stałego porozumiewania się ze mną. Reszta posłuży na napitki z ludźmi. Staraj się, o ile to będzie możliwe, aby się to odbywało u szwajcara tego domu: w ten sposób będzie miłym okiem patrzył na twoje odwiedziny. Ale nie zapominaj, że ja nie mam zamiaru opłacać twoich przyjemności, ale twoje usługi.

Przyzwyczaj Julię do obserwowania i notowania wszystkiego: nawet tego, co by się jej wydało drobiazgiem. Lepiej, by napisała dziesięć zdań niepotrzebnych, niż gdyby opuściła jedno ważne; często zaś najważniejsze bywa to, co się wydaje obojętnym.

Nie waż się zgubić tego listu. Odczytuj go codziennie, aby się przekonać, żeś nic nie zapomniał, jak również dla upewnienia się, że go masz jeszcze. Wreszcie rób wszystko, co należy robić, skoro się jest zaszczyconym moim zaufaniem. Wiesz, że jeżeli ja będę zadowolony z ciebie i ty na mnie nie będziesz miał powodu się uskarżać.

*Z zamku \*\*\*, 3 października 17\*\**

## LIST CII

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde*

Będzie pani bardzo zdziwiona, dowiadując się, że opuszczam twój dom tak pośpiesznie. Ten krok wyda się pani bardzo niezwykłym: ale jakżeż spotęguje się jeszcze twoje zdziwienie, skoro dowiesz się o przyczynach! Być może, pomyślisz, pani, iż powierzając je tobie, nie dość szanuję spokój potrzebny twojemu wiekowi, że uchybiam nawet względem szacunku, które ci się należą z tak wielu tytułów? Ach, pani, daruj mi: zbyt wiele cierpię; serce moje potrzebuje wylać swą boleść na łono przyjaciółki równie mądrej jak wyrozumiałej: kogóż zatem mogło wybrać, jeśli nie ciebie? Uważaj mnie za swoje dziecko. Okaż mi tkliwość matki; błagam cię o to. Mam do niej może pewne prawa przez moje uczucia dla ciebie.

I cóż ci powiem, pani? Kocham; tak, kocham bez pamięci. Niestety! Jakże często on błagał mnie o to słowo, nie mogąc go uzyskać! Zapłaciłabym chętnie życiem moim tę słodycz, by raz tylko móc je dać usłyszeć temu, który tchnął je we mnie; a mimo to trzeba mu go odmawiać bez przerwy! Znowu będzie wątpił o moich uczuciach: ach, czemuż nie przychodzi mu tak łatwo czytać w moim sercu, jak w nim władać! Tak, mniej bym cierpiała, gdyby on wiedział wszystko, co ja cierpię: ale ty sama, której to mówię, ty będziesz mieć o tym zaledwie słabe wyobrażenie.

Za kilka chwil ucieknę od niego i zasmucę go. Podczas gdy on będzie mniemał, iż jest jeszcze blisko mnie, ja będę już od niego daleko; o godzinie, w której przyzwyczajona byłam widywać go codziennie, będę już tam, gdzie on nigdy nie był, gdzie nie mogę pozwolić, aby był kiedykolwiek... Wszystko już przygotowane; patrzę na wszystko; nie mogę wzroku oprzeć na niczym, co by mi nie zwiastowało tego okrutnego wyjazdu. Wszystko gotowe, wyjąwszy mnie! A im bardziej serce się wzdraga przed tym krokiem, tym więcej czuję, jak on jest konieczny.

Spełnię go, to pewna; lepiej jest umrzeć, niżeli żyć występłą. Już dzisiaj, czuję to sama, jestem nią aż nadto! Mamże ci wyznać? To, co mi pozostało jeszcze, to zawdzięczać jego szlachetności. Upojona rozkoszą widzenia go, słyszenia, słodyczą odczuwania go w pobliżu siebie, szczęściem najwyższym w świecie, iż jemu mogę dać szczęście, byłam bez władzy i bez siły; zaledwie potrafiłam walczyć, ale nie opierać się; drżałam przed niebezpieczeństwem, nie mając siły uciec przed nim. On widział moje cierpienia, ulitował się nade mną. Jakżeżbym go miała nie kochać? Winna mu jestem więcej niż życie.

Och! Gdyby zostając przy nim, o życie jedynie drzeć mi było trzeba, nie sądz, iż kiedykolwiek zgodziłabym się na to rozłączenie! Czymże mi życie bez niego! Postradać je, czyliż nie byłoby szczęściem dla mnie? Czyż nie jestem skazana, by nieustannie dręczyć jego i siebie; nie śmieć ani się uskarżać, ani jego pocieszać; bronić się każdego dnia przeciw niemu, przeciw sobie samej; dobywać całej mocy, aby mu czynić przykrość, kiedy pragnęłabym wszystkie siły poświęcić dla jego szczęścia: żyć tak, czyż to nie znaczy umierać tysiąc razy? A oto, jaki los mnie czeka! Zniosę go jednakże, będę miała tę odwagę. O ty, którą biorę sobie za matkę, odbierz moją przysięgę.

Przyjmij również ślub, jaki ci czynię, iż nie ukryję przed tobą żadnego postępkę; przyjmij go, zaklinam cię; błagam cię o to, jako o pomoc, której mi tak potrzeba: w ten sposób, zobowiązana wyznać Tobie wszystko, przyzwyczaję się do uczucia, iż zawsze jestem w twojej obecności. Twoja cnota zastąpi mi moją własną. Nigdy, to pewna, nie zgodziłabym się rumienić przed twoim wzrokiem; powściągnięta tym potężnym hamulcem, kochając w tobie najpobłażliwszą przyjaciółkę, powiernicę mojej słabości, będę czciła zarazem opiekuńczego Anioła, który mnie ocali od sromu<sup>6</sup>.

Dosyć go już odczuwam, zanosząc do ciebie tę prośbę. Jakież nieszczęsne następstwa zbytńego zaufania w siebie! Czemuż nie wcześniej ulęknęłam się tej skłonności, gdy czułam w sobie budzące się jej złowrogie oznaki? Czemuż łudziłam się, iż potrafię wedle mej woli opanować ją lub zwyciężyć? Szalona! Jakże mało znałam wówczas miłość! I dziś wszystko tracić naraz! I na zawsze! O, moja przyjaciółko!... Lecz co czynię? Nawet pisząc do ciebie, jeszcze daję folgę występnyim pragnieniom! Och, trzeba jechać, trzeba jechać.

Zegnam Cię, czcigodna przyjaciółko; kochaj mnie jak córkę, przyjmij mnie za swoje dziecko i bądź pewna, że mimo mej słabości wołałabym raczej umrzeć niż stać się niegodną twojego wyboru.

3 października 17\*\* o godzinie 1 w nocy.

## LIST CIII

*Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel*

Moje drogie dziecko, bardziej zmartwiłam się twoim wyjazdem, niż zdziwiłam jego przyczyną; doświadczenie wielu lat i sympatia, jaką budzisz we mnie, wystarczyły, aby mnie objaśnić o stanie twego serca; i jeżeli mam być zupełnie szczerą, list twój nie powiedział mi nic albo też prawie nic nowego. Gdybym jedynie z niego miała czerpać moje wiadomości, nie wiedziałabym jeszcze, kto jest tym, którego kochasz; bowiem mówiąc mi o nim cały czas, nie wymieniłaś ani razu jego imienia. Nie potrzebowałam tego; wiem dobrze, kto to taki. Ale podnoszę to, ponieważ przypominałam sobie, że to jest odwieczny styl miłości. Widzę, że wszystko pozostało tak samo jak za dawnych czasów.

Nie sądziłam zgoła, iż znajdę się kiedy w konieczności wskrzeszania wspomnień tak odległych ode mnie i tak obcych mojemu wiekowi. Mimo to od wczoraj wiele nad tym rozmyślałam w chęci znalezienia czegoś, co by mogło ci być użyteczne. Ale cóż poradzę? Mogę tylko podziwiać ciebie i litować się nad tobą. Pochwalam zacne postanowienie, jakie powzięłaś: ale przeraża mnie ono, ponieważ wnoszę z tego, że musiałaś je uznać za konieczne, a kiedy się już zajdzie tak daleko, bardzo jest trudno nakazać sobie wieczną rozłąkę z tym, do którego serce zbliża nas bez ustanku.

Mimo to nie trać odwagi. Nic nie jest niepodobnym dla twojej pięknej duszy; i gdybyś kiedy miała to nieszczęście ulec (od czego niech Bóg ustrzeże!) wierzaj mi, moje drogie dziecko, zachowaj sobie przynajmniej tę pociechę, iż walczyłaś z całej twej mocy. A wreszcie, czego nie zdoła ludzka roztropność, to sprawia łaska niebios, jeżeli taka jest jej wola. Ufaj, iż ona pospieszy ci z pomocą; i że cnota twoja, wypróbowana w tych ciężkich zapasach, wyjdzie z nich czystsza jeszcze i świetniejsza.

Zostawiając Opatrzności troskę wspomżenia cię w niebezpieczeństwie, przeciw któremu nic nie mogę zaradzić, gotowa jestem podtrzymywać cię i pocieszać tyle, ile tylko

<sup>6</sup>srom (daw.) — wstyd, hańba. [przypis edytorski]

będę zdolna. Nie uśmierzę twoich cierpień, ale podzielę je z tobą. Z chęcią gotowa jestem być ci powiernicą. Czuję, że twoje serce musi tego łaknąć. Otwieram ci moje własne; wiek nie oziębził go do tego stopnia, iżby miało być obce uczuciom przyjaźni. Znajdziesz je zawsze gotowe, ażeby cię wysłuchać. Słabą to będzie ulgą dla twojej boleści, ale przynajmniej nie będziesz płakała sama; i skoro ta nieszczęśliwa miłość, wezbrana zbyt silnie w twym sercu, zmusi cię, byś mówiła o niej, lepiej, aby to stało się ze mną, niżeli z *nim*. Oto i ja zaczynam używać twojego języka: zdaje mi się, że obie razem nie zdobędziemy się, aby *go* nazwać: zresztą rozumiemy się.

Nie wiem, czy dobrze robię, mówiąc ci, iż on zdawał się żywo dotknięty twoim wyjazdem: byłoby może roztropniej nie mówić ci o tym: ale ja nie lubię tej roztropności, która sprawia przykrość tym, których kocham. Jednakże nie będę mogła dziś mówić o tym dłużej. Słaby wzrok i drżąca ręka nie pozwalają mi na długie listy, kiedy je muszę pisać sama.

Do widzenia zatem, moja śliczna, do widzenia, moje drogie dziecko: tak, przyjmuję cię chętnie za córkę, posiadasz wszak wszystko, czego trzeba, aby być dumą i rozkoszą swej przybranej matki.

*Z zamku \*\*\*, 3 października 17\*\**

## LIST CIV

*Markiza de Merteuil do pani de Volanges*

W istocie, moja droga i dobra przyjaciółko, z trudnością przychodzi mi się bronić od uczucia dumy, kiedy czytam twój list. Jak to! Ty zaszczycasz mnie swoim całkowitym zaufaniem! Posuwasz się nawet aż do szukania u mnie dobrej rady! Ach, jakże szczęśliwa jestem, jeżeli zasługuję na mniemanie tak pochlebne z twej strony: jeżeli nie zawdzięczam go jedynie zaślepieniu przyjaźni. Zresztą jakikolwiek jest jej powód, ufność ta nie mniej cenną jest mojemu sercu; a to, iż umiałam ją pozyskać, jest w mych oczach tylko jedną przyczyną więcej, aby się starać istotnie na nią zasłużyć. Powiem ci zatem (nie ośmielając się wszelako udzielać ci wskazówek), powiem ci otwarcie, jaki jest mój sposób myślenia w tym względzie. Nie polegam zbyttnio na nim, ponieważ różni się od twego: ale gdy ci przedstawię moje przyczyny, będziesz mogła je osądzić; a jeśli je potępisz, przychyłam się już z góry do twego wyroku. Zachowam przynajmniej tę roztropność, iż nie będę się uważała za roztropniejszą od ciebie.

Jeżeli jednak moje mniemanie wyjątkowo okazałoby się trafniejsze, przyczyn tego należałoby szukać w złudzeniach miłości macierzyńskiej. Ponieważ jest to uczucie ze wszech miar chwalebne, nie mogło tedy na ciebie nie oddziaływać. Jakżeż znać jego wpływy w zamiarze, o którym mi wspominasz! Tak więc jeżeli ci się zdarza kiedykolwiek błędzić, to jedynie w wyborze cnót.

Ze wszystkich cnót wydaje mi się najważniejszą przezorność, wówczas gdy ma się rozrządzać losem drugich osób; a zwłaszcza gdy chodzi o ustalenie tego losu przez węzeł nierozzerwalny i święty, jak węzeł małżeństwa. Wówczas matka, zarówno roztropna jak czuła, ma obowiązek, jak słusznie to powiedziałaś, *wesprzeć córkę swoim doświadczeniem*. Otóż zapytuję ciebie, co mieści się w tym pojęciu? Zdaje mi się, że przede wszystkim obowiązek ścisłego rozróżnienia między tym, na co się ma ochotę, a tym, co się powinno.

Czyż to nie byłoby poniżeniem powagi macierzyńskiej, nie byłoby unicestwieniem jej pełnym, gdyby się miało podporządkowywać ją pod złudną potęgę przelotnego upodobania? Co do mnie, wyznaję, nie wierzyłam nigdy w owe namiętności porywające i nieodparte, których ludzie tak chętnie używają za płaszczyk dla wszelkich swoich kaprysów. Nie pojmuję zgoła, w jaki sposób skłonność, która się w jednej chwili rodzi, a w następnej zamiera, miałyby posiadać więcej siły od niewzruszonych zasad skromności, uczciwości i wstydu: również nie pojmuję, aby kobieta, która się sprzeniewierza tym cnotom, mogła znaleźć usprawiedliwienie w swojej namiętności, podobnie jak złodziej nie może się uniewinnić pożądaniem pieniędzy, ani też morderca pragnieniem zemsty.

Ach, któż może powiedzieć, że nie musiał nigdy walczyć z sobą? Jednak, co do mnie, zawsze starałam się przekonać siebie, że aby oprzeć się, wystarczy chcieć; i aż do tej chwili przynajmniej doświadczenie potwierdziło to moje przekonanie. Czymże byłaby cnota bez obowiązków, jakie nam nakłada? Świadczenie jej mieści się w poświęceniach, jej nagroda w naszym sercu. Zaprzeczyć takim prawdom zdolni są tylko ci, którzy mają swój interes w tym, aby je zapoznawać, i którzy, już skażeni jadem zepsucia, próbują usprawiedliwić swoje błędne postęпки za pomocą błędnych rozumowań.

Ale czy można się obawiać tego ze strony dziecka prostodusznego i nieśmiałego; ze strony dziecka urodzonego z ciebie i w którym wychowanie skromne i czyste mogło jedynie wzmocnić szczęśliwe dary przyrody? A dla takich to właśnie obaw, które ośmielę się nazwać poniżającymi dla twej córki, pragniesz poświęcić zaszczytne małżeństwo, z całą roztropnością przez ciebie obmyślane! Lubię bardzo Dancenego; od dawna zaś, jak wiesz, mało utrzymuję stosunków z panem de Gercourt: ale mimo iż dla jednego mam przyjaźń, drugi zaś jest mi obojętny, nie mogę nie zdawać sobie sprawy z ogromnej różnicy, jaka dzieli te dwie partie.

Urodzenie ich jest równe, przynaję; ale jeden jest bez majątku, drugiego zaś majątek jest taki, że nawet bez urodzenia byłby już poważnym atutem życiowym. Przynaję chętnie, że pieniąż nie daje szczęścia; ale trzeba przyznać także, że bardzo je ułatwia. Panna de Volanges jest, jak powiadasz, dość bogata za dwoje: mimo to sześćdziesiąt tysięcy funtów renty, jakie jej przypadną, to nie jest tak wiele, skoro ma się nosić nazwisko Dancenego, skoro ma się postawić i utrzymać dom na wysokości związanych z tym wymagań. Nie żyjemy już w czasach pani de Sévigné. Zbytek życia pochłania dziś wszystko: gani się go, ale trzeba go naśladować, nieraz choćby kosztem najcięższych ofiar.

Co do przymiotów osobistych, którym przypisujesz taką wagę i to z całą słusnością, to pewna, że pod tym względem pan de Gercourt jest bez zarzutu i miał sposobność złożyć już tego dowody. Chętnie gotowa jestem wierzyć i wierzę w istocie, że Dancenego nie ustępuje mu w niczym; ale czy możemy być tego równie pewne? To prawda, że wydawał się dotąd wolny od przywar swojego wieku i że wbrew panującym dzisiaj obyczajom okazuje skłonność do towarzystwa ludzi szanownych i zacnych: skłonność, która każe pomyślnie rokować o jego przyszłości: ale kto wie, czy ta pozorna roztropność nie jest właśnie wynikiem jego skromnej sytuacji materialnej. O ile ktoś nie chce zostać wątpliwą i podejrzaną figurą, musi mieć pieniądze, aby grać lub oddawać się zbyt wesołym zabawom, co nie przeszkadza, że ktoś może mimo to mieć pociąg do tych błędów. Słowem, nie on byłby pierwszym spośród tych, którzy ciągną do uczciwego towarzystwa jedynie z braku możności miłszego spędzenia czasu.

Nie mówię wcale (niechże mnie Bóg bron!), że ja mam o nim to przekonanie: ale w każdym razie jest w tym pewne ryzyko; na jakież zaś wymówki mogłabyś się narażić, gdyby rezultat nie wypadł szczęśliwie! Cóż odpowiedziałabyś córce, gdyby ci kiedyś rzekła: „Byłam, matko, młoda i niedoświadczona; byłam nawet pod wpływem omamienia zrozumiałego w moim wieku: ale niebo, które przewidywało moją słabość, obdarzyło mnie rozumną matką, aby zaradzić złemu i uchronić mnie od niebezpieczeństwa. Cemuż więc, zbaczając z drogi roztropności, zezwoliłaś na moje nieszczęście? Czy do mnie należało wybierać sobie małżonka, skoro sama istota małżeństwa była dla mnie tajemnicą? Gdybym nawet objawiła to zachcenie, czyliż nie twoją rzeczą było sprzeciwić się temu? Ale w mej głowie nigdy nie powstała ochota tak szalona. Gotowa być ci we wszystkim posłuszną, oczekiwałam twego wyboru z pełnym szacunku poddaniem; nigdy nie wykroczyłam przeciw uległości, jaką ci byłam winna, a mimo to dźwigam dzisiaj karę, na którą zasłużyły jedynie dzieci nieposłuszne. Och, matko, słabość twoja zgubiła mnie”... Może szacunek jej przytłumiłby te skargi; ale miłość macierzyńska odgadłaby je: i lzy córki, mimo że tajone przed tobą, nie mniej przeto spadałyby na twoje serce. Gdzie szukałabyś wówczas pociechy? Czy w tej szalonej miłości, przeciw której powinnaś była ją uzbroić, a której, przeciwnie, sama się dałaś pociągnąć?

Nie wiem, droga przyjaciółka, czy uprzedzenie moje przeciwko tej namiętności nie idzie zbyt daleko; ale wydaje mi się ona zbyt niebezpieczną nawet w małżeństwie. Nie, iżbym była przeciwną temu, by uczucie zacne i tkliwe miało przystroić węzeł małżeński i złagodzić do pewnego stopnia obowiązki, jakie on nakłada; ale nie takiemu uczuciu

przystało tworzyć te węzły i nie może być rzeczą złudzeń jednej chwili, by miały kierować wyborem naszego życia. Aby *wybrać*, trzeba *porównywać*; a jakżeż to uczynić, skoro jeden przedmiot nas pochłania: kiedy jego samego nawet nie możemy poznać, zanurzeni w szale i zaślepieniu?

Spotkałam w życiu, jak możesz przypuszczać, wiele kobiet dotkniętych tą niebezpieczną chorobą: słuchałam nawet zwierzeń niejednej z nich. Gdyby im wierzyć, nie ma ani jednej, której przedmiot miłości nie byłby istotą na wskroś doskonałą; ale te urojone doskonałości istnieją jedynie w wyobraźni. W ich rozpalonych głowach roją się same rozkosze i powaby; stroją w nie do syta tego, który im jest miły; to szaty niemal boskie wkładane nieraz na przedmiot pełen ohydy: ale bez względu na to, jakim przedmiot ów jest w istocie, zaledwie go tak przystroją, już omamione swoim własnym dziełem upadają przed nim na twarz w uwielbieniu.

Albo twoja córka nie kocha Danceny'ego, albo też ulega temu samemu złudzeniu: jest ono wspólne im obojgu, jeżeli miłość jest wzajemna. Tak więc wszystko, co można by powiedzieć w tej mierze, sprowadza się do pewności, że oni się nie znają, że wprost nie mogą się znać. „Ale — powiesz mi — czyż pan de Gercourt i moja córka znają się lepiej?”. Nie, z pewnością; ale przynajmniej nie ludzą się co do siebie, po prostu nic o sobie nie wiedzą. Cóż dzieje się w takim wypadku pomiędzy dwojgiem małżonków, o których przypuszczam, że są zacni oboje? To, iż każdy z nich przygląda się drugiemu, śledzi samego siebie w stosunku do drugiej strony, szuka i odkrywa wkrótce, ile należy mu ustąpić ze swej woli na rzecz wspólnego spokoju. Te lekkie poświęcenia przychodzą bez trudu, ponieważ są obustronne i ponieważ są przewidziane: wkrótce stają się one źródłem wzajemnej życzliwości; za nią w ślad idzie owa słodka przyjaźń, to tkliwe zaufanie, które połączone z szacunkiem tworzy, o ile mi się zdaje, prawdziwe szczęście w małżeństwie.

Złudzenia miłości mogą być ponętniejsze; ale dla kogóż jest tajemnicą, że są zarazem mniej trwałe? I jakież niebezpieczeństwa sprowadza chwila, która je niweczy! Wówczas to najmniejsze wady wydają się rażące i nie do zniesienia przez sprzeczność, jaką tworzą z pojęciem doskonałości, które nas uwiodło. Każde z dwojga małżonków mniema jednakże, że tylko drugie się zmieniło i że ono samo jest warte zawsze tyle, ile mu ceny nadała krótka chwila złudzenia. Mimo iż samo nie doświadcza już dawnego czaru, dziwi się, iż nie umie go wzbudzić; czuje się tym upokorzone; zraniona próżność rozdrażnia umysły, powiększa błędy, wywołuje niezadowolenie, hoduje nienawiść: i przelotne uciechy przychodzi opłacić w następstwie przez długą niedolę.

Oto, droga przyjaciółko, mój sposób myślenia w przedmiocie, który nas zajmuje; nie upieram się przy nim, przedstawiam go jedynie; twoją rzeczą będzie postanowić. Ale jeżeli trwasz w swoim zamiarze, proszę cię, byś zechciała objawić mi pobudki, które przewalczą moje; bardzo będę rada oświecić się twoim zdaniem, a zwłaszcza upewnić się o losie tego uroczonego dziecka, którego szczęścia pragnę nader gorąco, tak przez przyjaźń dla niej, jak i przez tę, która wiąże mnie do ciebie na całe życie.

*Paryż, 4 października 17\*\**

## LIST CV

*Markiza de Merteuil do Cecylii Volanges*

I cóż, mała, widzę, bardzo zagniewana, bardzo zawstydzona! Ten pan de Valmont to strasznie zły człowiek, nieprawdaż? Jak to, ośmiela się postępować z tobą jak z kobietą, którą by kochał! Uczy cię tego, czego tak chciałaś się dowiedzieć, że aż umierałaś z ochoty! Doprawdy, to nie do darowania! A ty, ze swojej strony, pragniesz zachować swą cnotę dla kochanka (który jej nie wodzi na pokuszenie, to prawda); pociągają cię w miłości tylko umartwienia, a nie rozkosze! To ślicznie; doskonale wyglądałabyś doprawdy w jakimś romansie. Namietność, nieszczęście, cnota ponad wszystko, ileż tu pięknych rzeczy! W tym wspaniałym orszaku można się czasem znudzić, co prawda, ale za to innym oddaje się tę nudę z nawiązką.



Widzicie to biedne dziecko, jaka ona nieszczęśliwa! Miała oczy podkrążone nazajutrz! I cóż dopiero powiesz, jak to nieszczęście przyjdzie na twego kochanka! Nie bój się, aniołku, nie zawsze ci się to zdarzy; nie każdy mężczyzna jest Valmontem. A do tego nie śmiało biedactwo podnieść tych oczków! Och, co do tego, to może miałaś słusność; każdy wyczytałby w nich twoją przygodę. Wierz mi jednakże, że gdyby tak było, nasze panie, a nawet nasze panny chodziłyby stale ze skromnie spuszczonej oczyma.

Mimo tych pochwał, których ci nie szczędzę, jak widzisz, trzeba przyznać jednak, że nie dopełniłaś swego arcydzieła: trzeba było wszystko opowiedzieć mamie! Tak dobrze już zaczęłaś! Już rzuciłaś się w jej ramiona, szlochałaś, ona popłakiwała także: cóż za wzruszająca scena! Jaka szkoda, że jej nie doprowadziłaś do końca! Twoja czuła matka, uszczęśliwiona tą skrucą, pragnąc dopomóc twej cnocie, zapakowałaby cię do klasztoru na całe życie; tam mogłabyś kochać Dancenego, ile byś sama chciała, bez rywali i bez grzechu: mogłabyś sobie rozpaczać do syta; i Valmont, to pewna, nie zjawiłby się, aby zamącać twoją boleść tak niepożądaną pociechą.

Poważnie mówiąc, czy można, mając skończonych piętnaście lat, być takim dzieckiem jak ty? Masz zupełną słusność, gdy mówisz, że niewarta jesteś mojej dobroci. Chciałam mimo to być twoją przyjaciółką: przydałoby ci się to może przy takiej matce i przy mężu, jakiego ci przeznacza! Ale jeżeli ty choć trochę nie dorośniesz i cóż chcesz, abym mogła zrobić z ciebie? Czego można się spodziewać, jeżeli to, co zwykle dodaje rozumu dziewczętom, tobie zdaje się, przeciwnie, go odbierać?

Gdybyś była zdolna zastanowić się choć chwilę, doszłabyś wkrótce do przekonania, że powinnaś wieszować sobie tylko, zamiast się uskarżać. Ale ty się wstydzisz i to cię kłopotuje! Ech, uspokój się; z wstydem, o jaki przyprawia miłość, to jest tak samo jak z bólem: to tylko pierwszy raz. Można go potem jeszcze udawać, ale już się go nie czuje. Natomiast przyjemność zostaje, a to też jest coś warte. Zdaje mi się nawet, iż mogłam rozeznac, poprzez twoją paplaninę, że ona w twojej przygodzie wcale nie mała odegrała rolę. No, mała, bądź ze mną troszkę szczerą! Ejże! To pomieszenie, które nie pozwalało ci *robić tak, jak mówiłaś*, które sprawiło, iż tak trudno było ci się bronić, że byłaś jak *gdyby zmartwioną*, kiedy Valmont już odszedł — czy to wstyd je powodował czy też przyjemność? I jego sposób mówienia, na który nie wie się, co odpowiedzieć, czy to nie pochodziło przypadkiem z jego sposobu działania? Ejże, dziewczuszko mała, kłamiesz i to kłamiesz swojej przyjaciółce! To niedobrze, bardzo niedobrze. Ale dość żartów.

To, co dla każdej innej byłoby przyjemnością i niczym więcej, to w twoim położeniu staje się prawdziwym szczęściem. Zaiste, postawiona pomiędzy matką, której miłość pragnęłaś zachować, i kochankiem, do którego pragniesz należeć na zawsze, jakżeż możesz nie widzieć tego, że jedynym sposobem połączenia tych dwóch sprzecznych sobie celów jest zająć się kimś trzecim? Zaprzątnięta tą nową przygodą, zyskasz w oczach mamy zasługę, iż wyrzekasz się przez posłuszeństwo skłonności, której ona jest przeciwną, zaś w oczach kochanka przystroisz się w powaby niezłomnej cnoty. Zapewniając go bezustannie o swojej miłości, będziesz się bronić przed udzieleniem ostatnich jej dowodów. Tę odmowę, tak mało uciążliwą w twoim obecnym położeniu, on położy niewątpliwie na karb twojej świętości: będzie się może na nią użalał, ale kochać będzie cię za to tym więcej. I ty, aby zdobyć tę podwójną zasługę, potrzebujesz się jedynie oddać tym uciechom, których w oczach obojga wyrzekasz się na pozór! Och, ileż kobiet pielęgnowałyby z całą gorliwością swoją dobrą sławę, gdyby mogły jej bronić za pomocą tak miłych środków!

Czy ten sposób, jaki ci podsuwam, nie wydaje ci się najrozsądniejszym i najśladzszym zarazem? A czy wiesz, co zyskałaś na tym, do którego ty się chciałaś uciec? To, że mama wnosi z twego rosnącego smutku, iż miłość twoja potęguje się, nie słabnie, że jest tym oburzona i że czeka tylko, aż się o tym upewni, aby cię za to ukarać. Właśnie pisała mi o tym: będzie robiła wszystko, aby wydobyć od ciebie samej to wyznanie. Posunie się może, zwierzyła mi się z tym, aż do tego, aby ci ofiarować Dancenego za męża; a to by cię tym łatwiej nakłonić do zwierzeń. I jeżeli dając się uwieść tej podstępnej czułości, odpowiesz wedle swego serca, wkrótce, zamknięta w klasztorze na czas bardzo długi, może na zawsze, będziesz mogła do woli oplakiwać skutki ślepej łatwowierności.

Ten podstęp, którego ona chce użyć względem ciebie, ty powinnaś starać się zwalczyć innym znowu podstępem. Zaczynaj tedy, okazując mniej przygnębienia, umacniać ją w przypuszczeniu, że mniej już myślisz o Dancenym. Matka da się przekonać o tym bar-

dzo łatwo, ile że to jest zwykły skutek oddalenia, i tym więcej, iż będzie w tym widziała tryumf swej przezorności. Ale gdyby mając jakieś podejrzenia, mimo to wystawiała cię na próbę i zaczęła z tobą mówić o małżeństwie, ty zamknij się, jak panienka dobrze wychowana, w najdoskonalszym posłuszeństwie. Ostatecznie, cóż na tym tracisz? Na to, do czego potrzebny jest mąż, tyle wart jest jeden co i drugi, a najbardziej przykry jest jeszcze mniej nieznośny jak matka.

Skoro raz matka uspokoi się co do ciebie, wyda cię wreszcie za mąż. Wówczas, swobodniejsza w swoich postanowieniach, możesz wedle upodobania rzucić Valmonta, aby wziąć Danceny'ego, albo też, gdy zechcesz, zachować ich obu. Bowiem nie ma co ukrywać przed tobą, twój Danceny jest bardzo miły chłopiec: ale to jeden z tych mężczyzn, których ma się, kiedy się chce i póki się chce: można więc sobie nie robić z nim wielkich zachodów. Inaczej zupełnie z Valmontem: zachować go jest trudno, rzucić niebezpiecznie. Z nim trzeba wiele sprytu, a jeżeli się go nie ma, wiele uległości. Ale też, gdyby ci się udało przywiązać go do siebie jako przyjaciela, to byłoby dla ciebie prawdziwe szczęście: postawiłby cię od razu w pierwszym rzędzie naszych modnych piękności. W ten sposób się zdobywa zachowanie<sup>7</sup> w świecie, a nie czerwienieniem się i płakaniem, tak jak wówczas, kiedy zakonnice kazały wam jeść obiad na klęczkach.

Postarasz się przeto, jeżeli jesteś rozsądna, pogodzić się z Valmontem, który musi być bardzo na ciebie rozniewany. Masz oto po temu dobry pozór, ponieważ nie byłoby ci bezpiecznie zatrzymać ten list przy sobie, oddaj go Valmontowi natychmiast po przeczytaniu. Nie zapomnij jednak przedtem zapieczętować go z powrotem. Po pierwsze trzeba, abyś zachowała w jego oczach zasługę kroku, jaki ku niemu uczynisz, a nie żeby to wyglądało na coś, co ci ktoś doradził; po wtóre, że ty jesteś jedyna na świecie, dla której mam tyle przyjaźni, aby mówić tak otwarcie, jak to czynię w tym liście.

Do widzenia, mój aniołku; idź za moimi radami i doniesiesz mi, czy czujesz się z tym dobrze.

PS Poczekaj jeszcze, zapomniałam... jedno słówko. Staraj się popracować nieco nad stylem. Piszesz ciągle jeszcze zupełnie jak dziecko. Wiem, skąd to pochodzi: stąd, że mówisz wszystko, co myślisz, a nic z tego, czego nie myślisz. To może tak ująć między nami dwiema, ponieważ nie mamy nic ukrytego dla siebie; ale z innymi! Zwłaszcza w oczach twego kochanka uchodziłabyś za głupią gąskę. Rozumiesz przecie, że kiedy piszesz do kogoś, to dla niego, a nie dla siebie: powinnaś zatem starać się mówić nie tyle to, co myślisz, ale to, co mu sprawi większą przyjemność.

Do widzenia, moje serduszko: ściskam cię zamiast cię łąjąc, w nadziei, że na przyszłość będziesz rozsądniejsza.

*Paryż, 4 października 17\*\**

## LIST CVI

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Brawo, wicehrabio, za to coś zdziałał, wart jesteś doprawdy, aby cię pokochać! Zresztą po pierwszym z twoich dwóch listów można się było spodziewać drugiego: toteż nie zdziwił mnie ani trochę; podczas gdy ty, dumny z przeszłych zwycięstw, domagałeś się już za nie nagrody i pytałeś się mnie, czy jestem gotowa, ja wiedziałam dobrze, że nie ma powodu tak bardzo znów się spieszyć. Daję ci słowo: czytając piękny opis tej tkliwej sceny, którą uczuleś się tak *żywo wzruszony*, widząc twoją wstrzeźliwość, godną pięknych czasów naszego rycerstwa, powiedziałam sobie po dwadzieścia razy: „Oto sprawa chybiona!”

Ale bo też czy mogło być inaczej! Cóż chcesz, aby zrobiła biedna kobieta, która się poddaje, a której się nie bierze? Nie pozostaje jej nic innego, jak tylko ratować honor; i to właśnie zrobiła twoja prezydentowa. Co do mnie, umiałam ocenić drogę, jaką ona obrała, i obiecuję sobie zrobić z niej użytek na swój rachunek przy pierwszej poważniejszej sposobności, jaka się nastarczy: ale to sobie przyrzekam, że jeżeli ten, dla kogo zadam sobie

<sup>7</sup>zachowanie (daw.) — szacunek, poważanie, pozycja. [przypis edytorski]

tyłe trudów, nie skorzysta z nich lepiej od ciebie, może z pewnością wyrzec się mnie na zawsze.

Otóż więc i zostałeś zupełnie na lodzie! I to pośród dwóch kobiet, z których jedna już doszła, jak mówisz, do *nazajutrz*, a druga niczego tak nie pragnęła, jak właśnie tam dopłynąć. Możesz sobie myśleć, że się chwałę i że łatwo jest bawić się w prorocтва po fakcie; ale przysięgam ci, że spodziewałam się tego. Bo też w istocie ty nie posiadłeś ducha swojego zawodu; wiesz tylko to, czegoś się nauczył, ale pomysłowości nie masz żadnej. Toteż skoro tylko okoliczności nie pokrywają się z twymi zwyczajnymi formułkami i kiedy trzeba ci wyjść z ubitej koleji, nie umiesz sobie rady dać jak student. Ot, zwykle dzieciństwo z jednej strony, powrotny napad skrupułów z drugiej, ponieważ nie zdarza się z nimi spotykać codziennie, wystarczają, aby cię zbić z tropu; nie umiesz ani ich uprzedzić, ani im zaradzić. A kiedy spiętrzyłeś doprawdy głupstwo na głupstwo, wtedy uciekasz się do mnie, tak jakbym ja nie miała nic innego do roboty, jak tylko je naprawiać. To prawda, że to już dawałoby dosyć do czynienia.

Ostatecznie rzeczy stoją tak: z tych dwóch przygód jedną podjąłeś bez mego udziału i wbrew mojej chęci i do tej się nie mieszam; co do drugiej, ponieważ okazałeś w niej nieco względów dla mnie, podejmuję się tym zająć. Mam nadzieję, iż załączony list, który przeczytasz najpierw, a następnie oddasz małej Volanges, jest bardziej niż wystarczający, aby ją do ciebie nawrócić: ale, proszę cię o to, zadaj sobie nieco pracy nad tym dzieckiem tak, abyśmy z niej we dwoje razem zrobili przedmiot rozpaczy matki i Gercourta. Nie ma obawy o przesadzenie dawek. Widzę jasno, że młoda osóbką wcale się tym nie wystraszy! A skoro nasze widoki na nią zostaną już zniszczone, niech się inni troszczą o dalsze jej losy.

Co do mnie, to zraziłam się do niej zupełnie. Miałam zrazu nieco ochoty coś z niej zrobić i użyć bodaj do grywania komparsów pod moim kierunkiem; ale widzę, że nie ma tu materiału; jest w niej jakaś głupia naiwność, która nie ustąpiła nawet pod działaniem użytego przez ciebie, a zazwyczaj niezawodnego specyfiku: a to jest, moim zdaniem, najniebezpieczniejsza choroba, jaką kobieta może być obciążona. Przede wszystkim wada taka jest oznaką słabości charakteru prawie zawsze nieuleczalną i udaremniającą wszystko tak, że podczas gdy my byśmy się wysilali, aby ułożyć tę dziewczynę do przygód w większym stylu, zrobilibyśmy z niej tylko kobietę łatwą. Otóż nie znam nic bardziej płaskiego nad tę łatwość płynącą z głupoty, która się poddaje, nie wiedząc ani jak, ani dlaczego, jedynie ponieważ ją ktoś atakuje i ponieważ nie umie się opierać. Ten rodzaj kobiet to bezwarunkowo tylko przyrzędy dla męskich przyjemności.

Powiesz mi, że wystarczy z niej zrobić tylko to właśnie i że to dosyć dla naszych zamiarów. Wybornie! Ale nie zapominajmy, że w takich przyrzędach sprężyny i motory stają się rychło widoczne dla całego świata: toteż jeżeli się chce nimi posłużyć bez niebezpieczeństwa, trzeba się spieszyć, zatrzymać się w porę i zniszczyć następnie. Co prawda, to na środkach pozbycia się jej nam nie braknie i Gercourt zawsze w porę ją zamknie, kiedy nam się spodoba. Bo też skoro już nie będzie mógł wątpić o swojej katastrofie, skoro już rzecz stanie się publiczną i należycie rozgłosną, cóż nam to szkodzi, że on się zemści, byleby sam wyszedł z tego z niezatartą plamą? To, co ja mówię o mężu, ty myślisz z pewnością o matce; schodzimy się więc najzupełniej w tym punkcie.

W tej myśli, którą uważam za najlepszą i przy której ostatecznie stanęłam, zdecydowałam się poprowadzić młodą osóbkę w nieco szybkim tempie, jak to zobaczysz z mego listu; dlatego też bardzo ważne jest, aby nic nie pozostało w jej rękach, co by nas mogło skompromitować i proszę cię, zechciej o tym pamiętać. Skoro będziemy zabezpieczeni z tej strony, podejmuję się zająć stroną moralną panienki, do ciebie zaś należy reszta.

Czy ty wiesz, że mało brakowało, a starania moje byłyby stracone i że szczęśliwa gwiazda Gercourta o włos nie udaremniła wszystkich kombinacji? Pani de Volanges, wystaw sobie, dostała napadu słabości macierzyńskiej! Była już niemal gotowa oddać córkę Danceny'emu! To to właśnie przebiegało się w owym czułym zainteresowaniu, które zauważyłeś *nazajutrz*. Jeszcze ty byłbyś twórcą tego pięknego arcydzieła! Na szczęście, czuła matka rozpisala się do mnie o tym i mam nadzieję, że moja odpowiedź zbrzydzi jej te plany. Tak dużo mówię o cnocie, a przede wszystkim tak obficie przeplatam list pochlebstwami, że z pewnością uzna, iż słuszność jest po mojej stronie.

Żałuję szczerze, że nie mam czasu sporządzić odpisu z tego listu, aby cię zbudować surowością moich zasad moralnych. Zobaczyłbyś, z jaką pogardą odnoszę się do kobiet,

które „zapomniały o swoich obowiązkach”. Ta niezłomna surowość w słowach, to jest rzecz tak wygodna!... Szkodzi jedynie drugim, a nas nie krępuje w niczym... A potem, nie jest dla mnie tajemnicą, że zacna damulka, jak każda inna, miała swoje słabostki w czasie pięknej młodości i miło mi było upokorzyć ją nieco przynajmniej w jej sumieniu; to mi zaciera nieco trochę tych pochwał, jakimi muszę ją racyć wbrew własnemu mniemaniu.

Do widzenia, wicehrabio; pochwałam bardzo zamiar pozostania w zamku jeszcze przez czas jakiś. Nie mam środków po temu, aby przyspieszyć twoje postępy: ale radzę ci, byś urozmaicił nieco czas pokuty zabawą z naszą wspólną pupilką. Co zaś do mojej osoby, to mimo uprzejmego wezwania, widzisz dobrze, że jeszcze trzeba zaczekać; a przyznasz chyba, że nie z mojej winy.

*Paryż, 4 października 17\*\**

## LIST CVII

*Azolan do wicehrabiego de Valmont*

Jaśnie Panie!

Stosownie do pańskich rozkazów pospieszyłem bezzwłocznie po odebraniu listu do pana Bertrand, który mi wypłacił dwadzieścia pięć ludwików, tak jak mu to polecono.

Natychmiast potem udałem się do pani prezydentowej, aby zobaczyć się z Julią, ale wyszła, i widziałem się jedynie ze służącym La Fleur, od którego nic się nie mogłem dowiedzieć, ponieważ od czasu przybycia tutaj bywał w domu jedynie w godzinach posiłku. Młodszy pomocnik pełnił przez cały ten czas służbę, a jaśnie pan wie dobrze, że jego nie znam. Ale zacząłem już dzisiaj wstępne kroki.

Powróciłem rano do panny Julii, która wydała się bardzo rada z tego spotkania. Chciałem ją wy badać co do przyczyny wyjazdu jej pani; ale powiedziała mi, że nic o tym nie wie, i zdaje się, że mówi prawdę. Wyrzuciłem jej, że nie uprzedziła mnie o wyjeździe: zaręczała, że otrzymała rozkazy dopiero ostatniego wieczoru, układając panią na spoczynek; tak iż cała noc zeszła jej na pakowaniu rzeczy; biedna dziewczyna spała zaledwie dwie godziny. Opuściła pokój swojej pani dopiero o pierwszej, zaś kiedy odchodziła, pani de Tourvel zasiadała dopiero do pisania.

Rano, wyjeżdżając, pani prezydentowa oddała list odźwiernemu zamku. Panna Julia nie wie, do kogo było to pisanie: mówi, że może do jaśnie pana; ale jaśnie pan nic mi o tym nie wspomina.

W ciągu podróży pani miała twarz osłoniętą dużym kapturem, wskutek tego nie można było jej widzieć: ale zdaje się, że płakała prawie przez całą drogę. Znalazłszy się w domu, pani położyła się do łóżka, ale tylko na dwie godziny. Skoro wstała, kazała przywołać szwajcara i wydała rozkaz, aby nikogo nie wpuszczał do domu. Wcale nie robiła toalety. Zeszła do obiadu; ale zjadła jedynie trochę rosołu i zaraz opuściła jadalnię. Kawę podano do pokoju pani. Panna Julia zastała wówczas panią prezydentową porządkującą papiery w sekretarzyku; o ile mogła spostrzec, były to listy. Założyłbym się, że to listy jaśnie pana. Z trzech listów, które przyszły do niej popołudniu, jeden miała przed sobą jeszcze nad samym wieczorem! Jestem pewny, że to też był list od pana. Ale czemuż właściwie ona wyjechała tak nagle? Nie rozumiem tego, doprawdy! Zresztą jaśnie pan może to najlepiej wiedzieć i to nie moja sprawa.

Pani prezydentowa udała się popołudniu do biblioteki i wzięła stamtąd dwie książki, które zabrała z sobą do buduaru; ale panna Julia zapewnia, że w ciągu całego dnia, czytała je zaledwie kwadrans, a tylko cały czas odczytywała ten list i dumiała wsparta na rękę. Ponieważ pomyślałem sobie, że jaśnie pan będzie pewno rad wiedzieć, co to były za książki, a panna Julia nie wiedziała, kazałem się zaprowadzić sam dzisiaj do biblioteki pod pozorem, że chcę ją obejrzyć. Jest puste miejsce tylko po dwóch książkach: jedna to drugi tom *Mysli chrześcijańskich*; a druga pierwszy tom książki, która ma za tytuł *Klarysa*. Piszę tak, jak jest; jaśnie panu będzie zapewne wiadomo, co to takiego.

Wczoraj wieczorem pani nie wieczerzała wcale: piła tylko herbatę.

Dziś rano zadzwoniła bardzo wcześnie; kazała zaraz zaprzęgać i przed dziewiątą była już w kościele, gdzie wysłuchała mszy świętej. Chciała się spowiadać; ale jej spowiednik wyjechał i nie wróci aż za jaki tydzień. Sądziłem, że dobrze będzie powiadomić o tym jaśnie pana.

Następnie pani wróciła, spożyła śniadanie i zasiadła do pisania, które trwało blisko godzinę. Miałem sposobność zrobić to, czego jaśnie pan życzył sobie najwięcej: postarałem się o to, aby odnieść listy na pocztę. Listu do pani de Volanges nie było; ale posyłam jaśnie panu inny, do pana prezydenta: wydało mi się, że to musi być najciekawszy. Był także jeden dla pani de Rosemonde; pomyślałem sobie, że ten jaśnie pan i tak przeczyta, jeśli będzie miał ochotę i oddałem go na pocztę. Zresztą jaśnie pan dowie się sam o wszystkim, skoro pani prezydentowa i do niego pisała. Będę mógł mieć i nadal wszystkie listy, jakich pan zapragnie, bowiem prawie zawsze panna Julia odbiera je od pani. Upewniła mnie, że przez przyjaźń dla mnie, a także dla pana, zrobi chętnie wszystko, czego zażądam.

Nie chciała nawet przyjąć pieniędzy, które jej ofiarowałem; ale myślę, że jaśnie pan zechce jej zrobić jaki mały prezencik; i gdyby taka była jego wola, może bym ja się tym zajął: wiedziałbym dobrze, co jej zrobi największą przyjemność.

Mam nadzieję, że jaśnie pan nie będzie uważał, że pełnię służbę zbyt opieszale: bardzo leży mi na sercu, aby się usprawiedliwić z wymówek, jakie mnie spotkały. Co do tego, co jaśnie pan mi wyrzuca, że zwykle jestem bez pieniędzy, to najpierw dlatego, że lubię być czysto i przyzwoicie ubrany, jak jaśnie pan sam to widzi; a po wtóre trzeba podtrzymywać honor barwy, którą się nosi. Wiem dobrze, że powinien bym nieco zaoszczędzić na starość; ale polegam w zupełności na szlachetności jaśnie pana, który jest taki dobry dla swoich ludzi.

Co się tyczy wstąpienia w służbę pani de Tourvel, pozostając równocześnie w służbie jaśnie pana, mam nadzieję, że jaśnie pan nie będzie tego wymagał ode mnie. To było zupełnie co innego u księżnej; ale to pewna, że nie włożę na siebie liberii, i to jeszcze liberii domu urzędniczego, kiedy miałem zaszczyt być strzelcem u jaśnie pana. Co się tyczy reszty, jaśnie pan może rozporządzać tym, który ma zaszczyt być równie powolnym jak przywiązany, najniższym jego sługą.

*Roux Azolan, strzelec.*

*Paryż, dnia 5. października 17\*\* , o godz. 11 wieczorem*

## LIST CVIII

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde*

O moja najpobłażliwsza matko! Jakież ci mam składać dzięki! Jakże bardzo potrzebowałam twojego listu! Czytałam go i odczytywałam bez przerwy; nie mogłam się od niego oderwać.

Jaka Ty jesteś dobra! Zatem cały twój rozum, cnota, nie przeszkadzają ci współczuć ze słabością! Litujesz się moich udręczeń! Ach, gdybyś je znała!... Są straszne. Mniemałam, iż przeżyłam wszystkie cierpienia miłości; ale męczarnia niewypowiedziana, ta, którą trzeba przejść samemu, aby mieć o niej pojęcie, to rozłączać się z tym, kogo się kocha, i to rozłączać się na zawsze!... Tak, cierpienie, które mnie gnębi dzisiaj, powróci jutro, pojutrze, i tak całe życie! Mój Boże! Jakaż ja młoda jestem i ileż czasu pozostaje mi na tę mękę!

Być samej sprawczynią swego nieszczęścia; rozdzierać sobie serce własnymi rękami: i podczas gdy się cierpi te nieopisane męczarnie, czuć w każdej chwili, że można by im koniec położyć jednym słowem i że to słowo jest zbrodnią!

Kiedy powzięłam to tak ciężkie postanowienie, by uciec od niego, spodziewałam się, że nieobecność wzmocni moją odwagę i siły. Jakżeż się omyliłam! Wprzód miałam więcej do walczenia, to prawda; ale nawet wówczas, gdym się opierała, nie wszystkiego musiałam się wyrzekać; przynajmniej widywałam go od czasu do czasu; często nawet nie śmiejąc

podnieść na niego oczu, czułam, że jego spojrzenia spoczywały na mnie: tak, czułam je, zdawało mi się, że rozgrzewają mi duszę; mimo iż nie przechodziły przez moje oczy, wnikały wprost do serca. Teraz, w okropnej samotności, oderwana od wszystkiego, co mi jest drogim, sam na sam z moim nieszczęściem, każdą chwilę istnienia znacę łzami i nic nie łagodzi ich goryczy!

Nie dalej jak wczoraj uczułam to aż nazbyt żywo. Wśród listów, które mi oddano, był również list jego: jeszcze nie miałam go w rękach, a już z daleka poznałam wśród innych. Podniosłam się mimo woli: drżałam, trudno mi było ukryć moje wzruszenie; czułam jakby jakąś błogość. Skoro w chwilę później pozostałam sama, rozwiła się ta zwodnicza słodycz, zostawiając mi tylko jedno więcej poświęcenie do spełnienia. Zaiste, czyliż wolno mi było otworzyć ten list tak upragniony? Tak, więc, przez tę fatalność, jaka mnie prześladowa, w tym nawet, w czym mogłabym znaleźć jakiś cień pociechy, spotykać muszę jeno niedole nowych wyrzeczeń; a ranią mnie one tym boleśniej, że i pan de Valmont przypłaca je cierpieniem.

Oto wreszcie padło imię, które zajmuje mnie bez przerwy, a które z takim trudem przyszło mi napisać; cień wymówki, jaki z tego powodu przebija się w pani liście, poruszył mnie prawdziwie do głębi. Błagam panią, byś zechciała wierzyć, że uczucie fałszywego wstydu nie zaćmiło bynajmniej mego zaufania do ciebie; i czemuż miałabym wstydzić się go nazwać? Ach, ja rumienię się za moje uczucia, a nie za przedmiot, który jest ich powodem. Któż w świecie godniejszy byłby je obudzić! Mimo to nie wiem, dlaczego to imię nie nasuwa mi się w naturalny sposób pod pióro; i teraz nawet potrzebowałam pewnego wysiłku, aby je wymienić. Wracam do *niego*.

Donosisz mi, pani, że zdawał się *żywo poruszony moim wyjazdem*. Jak się zachował? Co powiedział? Czy mówił co o powrocie do Paryża? Proszę panią, byś zechciała odwozдить go od tego, o ile tylko to będzie w twojej mocy. Jeżeli mnie dobrze poznał, nie powinien mieć do mnie żalu za ten postępek: ale powinien czuć, że postanowienie moje jest nieodwołalne. Największym udręczeniem dla mnie jest nie wiedzieć, co on myśli. Mam wprawdzie jeszcze przed sobą jego list... ale ty sama, pani, jesteś z pewnością mego zdania, że nie powinnam go otworzyć.

Przez ciebie jedynie, droga i dobra przyjaciółko, mogę nie być zupełnie odcięta od niego. Nie chcę nadużywać twojej dobroci; czuję to doskonale, że listy twoje nie mogą być długie, ale nie odmówisz wszak dwóch słów swojemu dziecku: jedno, aby podtrzymać jego odwagę, a drugie, żeby je pocieszyć.

Do widzenia, czcigodna przyjaciółko.

*Paryż, 5 października 17\*\**

## LIST CIX

*Cecylia Volanges do markizy de Merteuil*

Dzisiaj dopiero oddałam panu de Valmont list, którym mnie pani zaszczyciła. Przetrzytałam go przez cztery dni mimo całej obawy, aby go u mnie nie odkryto, ale cho- wałam bardzo troskliwie to pismo i kiedy strapienie chwytalo mnie na nowo, zamykałam się, aby je odczytać.

Widzę dobrze, że to, co uważałam za okropne nieszczęście, to znów nic tak strasznego, i trzeba przyznać, że ma się przy tym dużo przyjemności: tak że już się nie martwię prawie wcale. Jedynie myśl o Dancenym dręczy mnie od czasu do czasu. Ale coraz częściej już się zdarza, że nie myślę o nim ani troszkę, bo też pan de Valmont strasznie umie być miły!

Pogodziłam się z nim od dwóch dni i bardzo mi to łatwo przyszło; jeszcze nie wy- rzekłam dwóch słów, kiedy on mi powiedział, że jeżeli mam mu co do powiedzenia, to przyjdzie wieczór do mojego pokoju: więc rzekłam tylko, że bardzo chętnie. A potem, kiedy już był u mnie, ani trochę nie wydawał się rozgniewany, tak jak gdybym mu nigdy nic nie była zrobiła. Połajał mię dopiero potem i to jeszcze bardzo łagodnie; i to w taki sposób... tak samo jak pani; co mnie upewniło, że ma wiele przyjaciół dla mnie.

Nie umiałabym pani powtórzyć, ile on mi opowiedział zabawnych rzeczy, takich, że bym nigdy nie była myślała; szczególnie o mamie. Bardzo byłabym pani wdzięczna, żeby mi pani doniosła, czy to prawda? Nie mogłam po prostu wstrzymać się od śmiechu, słuchając tego wszystkiego; raz nawet pękałam tak, żeśmy się aż przestraszyli, żeby mama nie usłyszała; no, gdyby jej przyszła ochota zajrzeć do mnie, ojoj, co by to było! Więcej niż pewne, że byłaby mnie oddała do klasztoru!

Dla większej ostrożności i ponieważ pan de Valmont powiedział mi sam, że za nic w świecie nie chciałby narażać mnie na niebezpieczeństwo, umówiliśmy się, że odtąd on będzie przychodził jedynie otworzyć drzwi, a potem pójdziemy do jego pokoju. W ten sposób już nie ma najmniejszej obawy; byłam tam już wczoraj i teraz nawet, pisząc do pani, czekam właśnie, aż on przyjdzie. Mam nadzieję, że mnie już pani chyba nie będzie lajała.

Jedna tylko rzecz bardzo mnie zdziwiła w pani liście; to co pani mi pisze, niby o wtedy, jak już wyjdę za mąż, co do p. Danceny'ego i pana de Valmont. Zdawało mi się, że kiedyś w operze pani mi mówiła przeciwnie, że gdy już raz wyjdę za mąż, będę mogła kochać tylko męża i że trzeba mi będzie zapomnieć nawet o Dancenym; zresztą być może, że ja źle rozumiałam i nawet wołę to, bo teraz nie będę miała takiego strachu przed małżeństwem. Owszem, cieszę się na nie, bo będę miała więcej swobody; mam nadzieję, że wówczas będę się mogła urządzać w taki sposób, aby myśleć tylko o Dancenym. Zdaje mi się, że naprawdę to mogłabym być szczęśliwa tylko z nim: teraz myśl o nim nęka mnie ciągle, i mogę się czuć dobrze jedynie wtedy, kiedy potrafię nie myśleć o nim całkiem, a to jest bardzo trudno; a jak tylko zacznę, zaraz się martwię na nowo.

Pociesza mnie trochę to, co pani mówi, że Danceny będzie mnie tym więcej kochał za to; ale czy pani pewna jest tego?... Och, tak! Pani nie chciałaby mnie zwodzić! Z tym wszystkim, to jest zabawne, że ja kocham Danceny'ego, a że pan de Valmont... Ale, jak pani mówi, może to właśnie bardzo szczęśliwie! Zresztą, zobaczymy.

Nie bardzo rozumiałam to, co mi pani mówi o moim sposobie pisania. Zdaje mi się, że Danceny'emu podobają się moje listy tak, jak są. Czuję jednak dobrze, że nie powinnam mu nic mówić o tym, co się dzieje między mną a panem de Valmont; co do tego zatem może pani być bez obawy.

Mama mi jeszcze nic nie mówiła o moim małżeństwie, ale niech pani będzie spokojna; teraz, kiedy wiem, że to tylko po to, aby mnie złapać, przyrzekam pani, że będę umiała kłamać.

Do widzenia, moja dobra przyjaciółko; dziękuję pani bardzo i obiecuję, że nie zapomnę nigdy jej całej dobroci dla mnie. Muszę kończyć, bo już blisko pierwsza i pan de Valmont powinien lada chwila nadejść.

*Z zamku\*\*\*, 10 października 17\*\**

## LIST CX

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

*Potęgi niebios, dajcie mi duszę dla cierpienia, dajcież mi ją również dla szczęśliwości!*<sup>8</sup> Zdaje mi się, iż to czuły Saint-Preux wyraża się w ten sposób. Ja, lepiej od niego wyposażony przez losy, przeżywam równocześnie obydwie te istnienia. Tak, droga przyjaciółko, jestem równocześnie bardzo szczęśliwy i bardzo nieszczęśliwy; i skoro posiadasz moje zupełne zaufanie, winien ci jestem podwójne zdanie sprawy z mych smutków i rozkoszy.

Wiedz więc, że moja niewdzięczna świętoszka ciągle jest nieubłagana. Już czwarty z kolei list otrzymałem z powrotem. Może niesłusznie wyrażam się *czwarty*; bowiem domyśliwszy się z łatwością po pierwszym zwrocie, że po nim nastąpi wiele innych, i nie chcąc w ten sposób tracić czasu nadaremnie, wpadłem na pomysł skreślenia moich lamentacji w samych ogólnikach i bez daty: tak że od drugiej poczty już ciągle ten sam list wędruje i wraca; zmieniam jedynie kopertę. Jeżeli moja piękność skończy tak, jak kończą zazwyczaj wszystkie, i zmiękczy się któregoś dnia, bodaj ze znużenia, wówczas przyjmie

<sup>8</sup>*Potęgi niebios (...)* dla szczęśliwości — [J.J. Rousseau], *Nowa Heloiza*. [przypis tłumacza]

nareszcie mój list i wtedy będzie czas nadrobienia drogi. Pojmujesz, że przy tym nowym sposobie korespondowania nie mogę mieć bardzo dokładnych informacji.

Odkryłem mimo to, że płocha osóбка zmieniła powiernicę: przynajmniej przekonałem się, że od czasu jej wyjazdu z zamku pani de Volanges nie odebrała ani jednego listu, natomiast przysły aż dwa do starej Rosemonde; że zaś ta nie powiedziała nam ani słowa i w ogóle nie wspomina o *swojej pieszczotce*, o której przedtem mówiła bez przerwy, wywnioskowałem stąd, że to ona stała się obecnie powiernicą. Przypuszczam, że z jednej strony potrzeba mówienia o mnie, z drugiej zaś nieco wstydu przyznania się wobec pani de Volanges do uczucia, którego się tak długo wypierała, sprowadziły tę zmianę gabinetu. Obawiam się, iż jeszcze straciłem na tej zamianie: bowiem im bardziej kobiety się starzeją, tym bardziej stają się surowe i nieprzejednane. Tamta by jej powiedziała więcej złego o mnie: ale ta jej powie więcej złego o miłości; zaś tkliwa skromnisa o wiele więcej drży przed uczuciem niżeli przed osobą.

Jedynym sposobem przekonania się o tym jest, jak sama widzisz, przejąc te tajemne konszachty: wysłałem już odpowiednie rozkazy do mojego strzelca. Zanim będę cokolwiek wiedział, mógłbym działać jedynie na los szczęścia; toteż od tygodnia przechodzę w myśli bezużytecznie wszystkie znane środki opisane bądź w romansach, bądź w moich sekretnych pamiętnikach; ale nie znajduję wśród nich ani jednego, który by się nadawał do warunków obecnej przygody lub też do charakteru jej bohaterki. Ostatecznie mógłbym zakraść się do niej, bodaj w nocy, a nawet uspić ją wreszcie i zrobić z niej nową Klarysę: ale po przeszło dwóch miesiącach starań i trudów uciekać się do środków nie mojej inwencji! Wlec się niewolniczo śladami innych i odnieść zwycięstwo bez chwały!... Nie, nie będzie miała *upojeń występku, a zaszczytów cnoty*<sup>9</sup>. To nie dosyć dla mnie osiąść ją, musi się sama oddać. Tak; na to trzeba nie tylko dotrzeć do niej, ale trzeba znaleźć się tam za jej zezwoleniem; zastać ją samą i skłonną do wysłuchania mnie: przede wszystkim zamknąć jej oczy na niebezpieczeństwo, bo jeżeli je spostrzeże, będzie umiała zwyciężyć je lub umrzeć. Ale im bardziej wiem, co trzeba robić, tym trudniejszym mi się zdaje wykonanie i choćbyś miała znowu wyśmiewać się ze mnie, wyznam ci, iż im więcej o tym myślę, tym bardziej wzrasta moja niepewność i wahanie.

W głowie by mi się pomieszało od tego, jak sądzę, gdyby nie błogie chwile wytchnienia, jakich mi dostarcza nasza wspólna pupilka; jej doprawdy zawdzięczam, że życie moje nie płynie na samych elegiach.

Czy uwierzyłybyś, że dziewczynka była tak spłoszona, iż upłynęły aż całe trzy dni, zanim twój list zrobił swoje? Oto jak jeden niedorzeczny przesąd może spacyć najlepsze naturalne skłonności!

Słowem, dopiero w sobotę zaczęła panienka krążyć koło mnie i bąkać mi coś niecoś; i to jeszcze tak cichutko i wstydliwie, że niepodobieństwem było ją zrozumieć. Ale rumieniec towarzyszący tym nieśmiałym słówkom pozwolił mi się domyśleć ich znaczenia. Aż dotąd trzymałem się w wyniosłej dumie: ale zmiękczony tak zabawną skruchą chętnie przyrzekłem pięknej pokutnicy odwiedziny jeszcze tego samego wieczora; laskawość ta została przyjęta z całą wdzięcznością, na jaką zasługiwała.

Ponieważ nie tracę nigdy z oczu twoich ani moich zamiarów, postanowiłem skorzystać z tej sposobności, aby ściślej zdać sobie sprawę, co można sobie obiecywać po tej małej, a zarazem zużyć ten czas dla jej edukacji. Aby móc oddać się tej pracy z nieco większą swobodą, musiałem zmienić miejsce schadzek: tu bowiem, w sąsiedztwie pokojów matki, nie mogła się czuć dość bezpiecznie i swobodnie rozwinąć skrzydełek. Postanowiłem zatem wywołać jakiś nieszkodliwy hałas i przestraszyć ją na tyle, aby wykazać niezbicie konieczność bezpieczniejszego schronienia na przyszłość; ona sama oszczędziła mi tego trudu.

Młoda osóбка jest wielka śmieszka; aby pobudzić jej wesołość, zrobiłem sobie uciechę i w antraktach zacząłem jej opowiadać wszystkie pieprzne historyjki, jakie tylko przeszły mi przez głowę; chcąc im zaś dodać jeszcze więcej smaku i lepiej utrwalić je w pamięci małej, kładłem wszystko na rachunek mamy, ze szczerą przyjemnością strojąc ją we wszystkie śmieszności i bezecenstwa.

<sup>9</sup>*upojeń (...) cnoty* — [J.J. Rousseau], *Nowa Heloiza*. [przypis tłumacza]



Nie bez przyczyny zresztą uczyniłem ten wybór: okazało się, że środek ten nieporównany jest dla ośmielenia trwożliwej uczennicy; zarazem zaś zaszczepiałem jej w ten sposób głęboką wzdękę dla matki. Zauważyłem to już od dawna, że jeżeli sposób ten nie zawsze jest potrzebny po to, aby uwieść młodą dziewczynę, jest on niezbędny, a często nawet najskuteczniejszy, kiedy się chce ją zdeprawować; bowiem ta, która nie szanuje matki, nie będzie szanowała sama siebie. Ten pewnik moralny uważam za tak ważny i użyteczny, że bardzo byłem rad, iż udało mi się znaleźć nowy przykład na poparcie tej zasady.

Podczas tego pupilka twoja, która niewiele troszczyła się w tej chwili o moralność, dławiała się raz po raz od śmiechu, a wreszcie nawet o mało nie wybuchła. Bez trudności zdołałem jej wytłumaczyć, że narobiła *straszego hałasu*. Udałem wielkie przerażenie i jej również napędziłem potężnego strachu. Aby lekcja była tym skuteczniejsza, położyłem koniec wspólnym uciechom i opuściłem ją o trzy godziny wcześniej niż zazwyczaj: toteż przy rozstaniu zgodziła się bez trudności, że od jutra zebrania odbywać się będą w moim pokoju.

Dwa razy miałem już jej odwiedziny i w ciągu tego krótkiego czasu uczennica posiadła niemal całą mądrość mistrza. Tak, doprawdy, nauczyłem ją wszystkiego, nawet... uprzejmości; pominąłem jedynie paragraf *ostrożności*.

Tak zatrudniony przez całą noc, zyskuję na tym to, iż przesypiam większą część dnia, że zaś obecnie towarzystwo zamku nie ma dla mnie żadnej ponęty, zaledwie pokazuję się w salonie na jaką godzinę. Od dzisiaj powziąłem nawet postanowienie jadać w moim pokoju, który mam zamiar opuszczać jedynie na czas krótkiej przechadzki. Ten osobliwy tryb życia idzie na karb mego zdrowia. Oświadczyłem już, że cierpię na dolegliwe wapory, a również i nieco gorączki. Wystarcza mi tylko mówić głosem powolnym i omdlewającym. Co do bladoci i zmizernienia na twarzy, możesz pod tym względem spuścić się na twoją pupilkę!

Pozostały czas trawię na rojeniu o sposobach odzyskania straconych przewag nad moją niewdzięczną, jak również na układaniu rodzaju katechizmu rozpusty dla użytku mojej uczennicy. Bawię się tym, aby w nim nic nie nazywać inaczej, jak tylko nazwą techniczną; i śmieję się zawczasu z zajmującej rozmowy, jaką to sprowadzi pomiędzy nią a Gercourtem w pierwszą noc po ślubie. Przeparadna jest naiwność, z jaką ona się posługuje już tym, co dotychczas posiadała z owej gwary! Nie wyobraża sobie, aby można było mówić inaczej. Uroczy jest ten dzieciak po prostu! Ten kontrast naiwnej prostoty z językiem wyuzdania ma coś nieopisanie podniecającego, a nie wiem czemu, ale już tylko same osobliwości są w stanie mnie podniecić.

Może zanadto oddają się tej całej zabawie, która pochłania mi sporo i czasu, i zdrowia: ale mam nadzieję, że moja udana słabość, prócz tego że mnie ocala od nudów salonu, może mi jeszcze posłużyć na coś wobec mojej surowej świętoszki, której tygrysia cnota łączy się jednak z jagnięcą tkliwością! Pewien jestem, że musi być już powiadomiona o moim niedomaganiu. Bardzo bym rad wiedzieć, co ona o tym myśli; założyłbym się, że nie omieszka sobie przypisać zaszczytu mej choroby. Pokieruję stanem mego zdrowia wedle wrażenia, jakie to na niej uczyni.

Otóż i jesteś, piękna przyjaciółko, w toku wszystkich moich zatrudnień. Pragnąłbym mieć niebawem coś bardziej zajmującego do doniesienia; proszę cię, byś zechciała wierzyć, że w rozkoszach, jakie sobie obiecuję, niemałe zajmuje miejsce nagroda spodziewana od ciebie.

*Z zamku \*\*\*, 11 października 17\*\**

## LIST CXI

*Hrabia de Gercourt do Pani de Volanges*

Wszystko zdaje się, pani, zapowiadać rychły spokój w tym kraju: spodziewamy się tedy każdego dnia pozwolenia powrotu do Francji. Mam nadzieję, iż pani nie wątpi, że zawsze z równym upragnieniem oczekuję tej chwili, która pozwoli mi wreszcie połączyć się ściślejszymi węzłami z tobą, pani, i z panną de Volanges. Jednakże książę de \*\*\* mój

krewny, względem którego, jak wiesz pani, tyle mam zobowiązań, przesłał mi wiadomość o swoim odwołaniu z Neapolu: donosi mi, iż ma zamiar udać się przez Rzym i zwiedzić w ciągu drogi tę część Włoch, której jeszcze nie zna. Zaprasza mnie, abym mu towarzyszył w podróży, mającej potrwać od sześciu do ośmiu tygodni. Nie taję pani, iż miło by mi było skorzystać z tej sposobności, gdyż wiem, że skoro będę żonaty, trudno mi będzie wyjechać z domu poza wymagania obowiązków służbowych. Przy tym kto wie, czy nie byłoby właściwszym odłożyć ceremonię małżeństwa do zimy: wówczas bowiem dopiero wszyscy moi krewni będą zgromadzeni w Paryżu, a w szczególności markiz de \*\*\*, któremu zawdzięczam nadzieję połączenia się z domem pani. Mimo tych pobudek zamysły moje pod tym względem będą zupełnie podporządkowane twoim i jeżeli choć trochę obstajesz pani przy naszych poprzednich zamiarach, gotów jestem zaniechać tych projektów. Proszę panią jedynie, byś zechciała uwiadomić mnie jak najspieszniej o swoich postanowieniach. Będę tutaj oczekiwał odpowiedzi i ona będzie wskazówką mojej decyzji.

Pozostaję z szacunkiem i z wszelkimi synowskimi uczuciami pani najuniżeńszym etc.

*Hrabia de Gercourt*

*Bastia, 10 października 17\*\**

## LIST CXII

*Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel*

*(dyktowany pannie służącej)*

W tej chwili dopiero otrzymałam, moja droga ślicznotko, twój list z 11-ego<sup>10</sup> i nieśmiałą wymówkę, jaka w nim się mieści. Przyznaj się, że miałabyś ochotę uczynić mi więcej wyrzutów i że gdybyś nie była sobie przypomniawszy w porę, że jesteś moją *córką*, byłabyś mnie naprawdę połażała. W dodatku bardzo niesprawiedliwie! Właśnie chęć i nadzieja, iż będę mogła odpisać ci własnoręcznie, kazały mi zwlekać z dnia na dzień z odpowiedzią i widzisz, że jeszcze dzisiaj zmuszona jestem zastępować się ręką panny służącej. Mój nieszczęśliwy reumatyzm znowu mnie prześladowuje; tym razem umieścił się w prawej ręce i jestem zupełna kaleka. Widzisz, co to znaczy, gdy istotka młoda i hoża jak ty znajdzie sobie taką starą przyjaciółkę! Musi pokutować za jej dolegliwości.

Natychmiast skoro tylko cierpienia pofolgują mi trochę, obiecuję sobie porozmawiać z tobą bardzo długo! Nim to nastąpi, wiedz tymczasem, że otrzymałam oba twoje listy; że gdyby to było możliwe, byłyby zwiększyły jeszcze moją przyjaźń dla ciebie; i że nigdy nie przestanę brać najwyższego udziału we wszystkim, co ciebie dotyczy.

Mój siostrzeniec jest również nieco cierpiący, ale nic mu nie zagraża, tak iż o stan jego nie ma powodu się niepokoić: jest to lekkie niedomaganie, na którym, o ile mi się zdaje, więcej cierpi jego humor niż zdrowie. Nie widzimy go prawie wcale.

Jego zamknięcie się i twój wyjazd nie przydają wesołości naszemu szczupłemu kółku. Małej Volanges szczególnie musi się to dawać we znaki, gdyż ziewa jak dzień długi, tak, że o mało nie połknie własnych piąstek. Zwłaszcza od kilku dni czyni nam ten zaszczyt, iż zasypia głębokim snem każdego popołudnia.

Do widzenia, droga ślicznotko; jestem zawsze twoją serdeczną przyjaciółką, matką, siostrą nawet, gdyby mój podeszły wiek pozwalał na ten tytuł. Słowem, mam dla ciebie wszystkie najtkliwsze uczucia.

Podpisano: *Adelajda, za panią de Rosemonde.*

*Z zamku \*\*\*, 14 października 17\*\**

<sup>10</sup>list z 11-ego — ten list się nie odnalazł. [przypis tłumacza]

## LIST CXIII

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Poczuwam się do obowiązku uprzedzenia cię, wicehrabio, iż w Paryżu poczynają się tobą zajmować, że świat zauważył twą nieobecność, a nawet już odgaduje jej przyczynę. Byłam wczoraj na nader licznych zebraniu; twierdzono tam z zupełną pewnością, że zagrzebany jesteś na wsi z powodu jakiejś miłości romantycznej a nieszczęśliwej: trzeba było widzieć radość, jaka odmalowała się na twarzy mężczyzn zazdrosnych o twoje powodzenie, jak również i wszystkich kobiet, którymi nie raczyłeś się zajmować. Jeżeli zechcesz mnie posłuchać, to nie pozwolisz utrwalić się tym niebezpiecznym pogłoskom i przybędziesz natychmiast zaprzeczyć im swą obecnością.

Pomyśl, że jeżeli raz dasz wygasnąć przekonaniu, że tobie nie można się oprzeć, doświadczysz wkrótce, iż w istocie będą ci się opierać z większą łatwością; że twoi rywale również stracą szacunek dla ciebie i ośmielą się z tobą mierzyć: któryż z nich bowiem nie uważa się za silniejszego od cnoty kobiecej? Słowem, grozi ci to, iż spadniesz w oczach świata o tyle poniżej swej wartości, o ile byłeś dotychczas przezeń wynoszony ponad zasługi.

Wracaj więc, wicehrabio, i nie poświęcaj reputacji dla dziecinnego kaprysu. Zrobiłeś z małą Volanges wszystko, co było do zrobienia; zaś co do twojej prezydentowej, to istotnie nie sądzę, abyś mógł dojść do jakichś rezultatów, przebywając w odległości dziesięciu mil od niej. Czy myślisz, że ona pójdzie cię szukać? Może już wcale nie myśli o tobie albo też w myślach tryumfuje, iż zdołała cię upokorzyć! Tutaj przynajmniej możesz znaleźć sposobność wypłynięcia na nowo w jakiś efektowny sposób, a bardzo by ci się to zdało; podczas gdy, o ile będziesz się upierał przy twojej śmiesznej przygodzie, nie sądzę, aby twój powrót coś pomógł... raczej przeciwnie.

W istocie, jeżeli twoja prezydentowa cię *ubóstwia*, jak mnie o tym tak bardzo zapewniałeś, a tak mało to udowodniłeś, jej jedyną pociechą, jedyną przyjemnością musi być w tej chwili mówić o tobie, wiedzieć, co robisz, co mówisz, co myślisz, aż do najdrobniejszych rzeczy, które cię dotyczą. To są owe okruchy chleba spadające ze stołu bogacza: on sam nimi gardzi, ale nędzarz zbiera je chciwie i żywi się nimi. Otóż biedna prezydentowa otrzymuje obecnie te wszystkie okruchy; im więcej będzie ich miała, tym mniej będzie jej pilno wyciągnąć dłonie po resztę.

Również, mimo zachwyty, jaki zdaje się w tobie budzić twoja mała uczennica, nie przypuszczam, aby ona miała odgrywać jakąkolwiek rolę w twoich zamiarach. Znalazłeś ją pod ręką, wziąłeś ją: doskonale! Ale w tym nie ma materiału nawet na przelotny kaprys. To nie jest nawet, prawdę mówiąc, zupełne posiadanie: władasz jedynie i wyłącznie tylko jej osobą! Nie mówię o sercu, o które, nie wątpię, troszczysz się zbyt mało: ale ty nie zajmujesz nawet jej główki. Nie wiem, czy to zauważyłeś, ale ja mam dowód w ostatnim jej liście do mnie: posyłam ci go, abyś mógł sam osądzić. Widzisz tedy, że kiedy mówię o tobie, to zawsze przez *pan de Valmont*; wszystkie jej myśli, nawet te, które ty w niej budzisz, odnoszą się jedynie do Danceney'ego: jego nie nazywa panem, lecz zawsze po prostu *Dancenym*. Przez to odróżnia go od wszystkich innych; i nawet oddając się tobie, czuje się blisko wyłącznie z nim jednym. Jeżeli taka zdobycz wydaje ci się *zachwycającą*, jeżeli przyjemności, jakie ci daje, *pochłaniają cię*, trzeba przyznać, że jesteś skromny i mało wymagający! Zresztą, chcesz dłużej bawić się tą małą? owszem; to godzi się nawet z moimi zamiarami. Ale zdaje mi się, że to nie jest warte, aby sobie robić kłopot bodaj na kwadrans; a również, że trzeba by mieć na nią jakiś wpływ i nie pozwolić, na przykład, aby się zbliżyła do Danceney'ego wprzód, nim się go trochę zatrze w jej pamięci.

Zanim przestanę zajmować się tobą, aby przejść do siebie, chcę ci jeszcze powiedzieć, że sztuczka z chorobą, do której się uciekleś, jest dobrze znana i bardzo zużyta. W istocie, wicehrabio, nie masz daru wynalazków! Ja, ja się również powtarzam niekiedy, jak to zaraz zobaczysz, ale staram się ratować urozmaiceniem szczegółów, a przede wszystkim usprawiedliwia mnie powodzenie. Jeszcze o jedną zdobycz pragnę się pokusić i puszczam się na nową przygodę. Przyznaję, iż nie pozostawia ona pola do zwalczania zbyt wielkich trudności: ale przynajmniej będzie jakaś rozrywka, a nudzę się wprost śmiertelnie.

Nie wiem dlaczego, ale od czasu przygody z Prévaniem Belleroche obrzydł mi zupełnie. Do tego stopnia podwoił swoje względy, czułość, *szacunek*, że znieść tego już doprawdy nie mogę. Jego gniew w pierwszej chwili ubawił mnie istotnie; należało jednak uspokoić go za wszelką cenę, bo to byłoby dla mnie kompromitujące, gdyby mój kawaler miał się wdać w tę sprawę: a nie było sposobu doprowadzenia go do rozsądku. Uciekłam się zatem do tego, iż zdwoiłam moją czułość w nadziei, że na tej drodze łatwiej sobie z nim dam rady; ale on wziął to dosłownie i od tego czasu zamęcza mnie nieustającym rozanieleniem. Drażni mnie zwłaszcza bezgraniczne zaufanie, spokojna pewność, z jaką patrzy na mnie, jako na przynależną do niego na zawsze. Doprawdy, to mnie upokarza! Bardzo mało mnie ceni chyba, jeżeli przypisuje sobie dość wartości na to, aby mnie zagarnąć. Wyobraź sobie, kiedyś, ni mniej ni więcej, powiedział mi, że nie mogłabym pokochać innego jak jego! Och, w tej chwili trzeba mi było całego panowania nad sobą, aby go nie wyprowadzić natychmiast z błędu, mówiąc po prostu, jak się rzeczy mają. Śmieszna doprawdy jest taka figura, ze swymi pretensjami do wyłącznych praw! Przyznaję, że jest dobrze zbudowany i niebrzydki: ale, wszystko razem wzięwszy, to jest ostatecznie tylko rzemieślnik w miłości. Słowem, nadeszła chwila; trzeba się go będzie pozbyć.

Czynię już w tym kierunku próby od dwóch tygodni: używam kolejno chłodu, kapersów, złego humoru, sprzeczek; ale ta uparta kreatura nie daje tak łatwo za wygraną; trzeba więc zdobyć się na energiczniejsze środki: zabieram go tedy na wieś. Wyjeżdżamy pojutrze. Będzie z nami zaledwie kilka osób bez znaczenia i niezbyt przenikliwych: toteż będziemy mieli niemal tyle swobody, jak gdybyśmy byli sami. Tam przekarmię go do tego stopnia miłością i pieszczotami, będziemy żyli tak jedynie i wyłącznie jedno dla drugiego, że ręczę, iż z większym utęsknieniem ode mnie będzie wzdychał do końca tej podróży, po której sobie obiecuje tyle rozkoszy: i jeżeli nie wróci z niej bardziej znudzony mną, niż ja nim jestem w tej chwili, pozwalam ci wówczas powiedzieć, że rozumiem się na tych sprawach tyle co i ty, to znaczy bardzo niewiele.

Pozorem do tej sielanki jest konieczność poważnego zajęcia się moim procesem, co do którego wyrok ma zapasć wreszcie z początkiem zimy. Bardzo się z tego cieszę, bo to nie jest zbyt przyjemnie, gdy cały majątek wisi niejako na włosku. Nie obawiam się wprawdzie zbyt o wynik; po pierwsze mam słuszość, wszyscy adwokaci upewniają mnie o tym: a zresztą, choćby jej nawet nie miała, musiałabym być bardzo niezręczna, gdybym nie zdołała wygrać procesu, w którym mam za przeciwników jedynie małoletnich, niemal dzieci jeszcze, i starego ich opiekuna! Ponieważ nie należy nic zaniedbywać w sprawie tak wielkiej wagi, biorę ze sobą dwóch adwokatów. Ta podróż nie wydaje ci się zbyt wesoła? Z tym wszystkim, jeśli przysporzy mi wygraną procesu, a uwolni od Belleroche'a, nie będę żałowała straconego czasu.

A teraz zgadnij, wicehrabio, kto będzie następcą, trzymam z tobą jeden przeciw stu. Ale prawda! Przecież ty dotąd nigdy jeszcze nic nie zgadłeś! Więc dobrze, słuchaj: Dan-ceny. Zdziwiony jesteś, nieprawdaż? Bo ostatecznie nie jestem jeszcze w tym położeniu, abym była skazana na wychowywanie dzieci! Ale on zasługuje na wyjątek; posiada jedynie powaby młodości, a nic z jej niebezpieczeństw. Jego powaga i powściągliwość w towarzystwie dają zupełne gwarancje dla oczu świata, a za to tym miłszy wydaje się wówczas, gdy się ośmieli nieco pod wpływem swobodniejszego sam na sam. To nie znaczy, abym już z nim kosztowała tych słodczy na własny rachunek: jestem dopiero jego powiernicą; ale pod tą zasłoną przyjaźni zdaje mi się, iż spostrzegam bardzo żywą skłonność dla mnie, czuję zaś, że i ja nabieram jej coraz więcej dla niego. To byłaby naprawdę szkoda, gdyby tyle talentu i subtelności miało się zmarnować i stępić przy takiej gęsi, jak ta Volanges! Mam nadzieję, iż on się ludzi, myśląc, że ją kocha: ona o tyle niżej stoi od niego! Nie jestem zazdrosna o nią, ale to byłoby dla niego proste samobójstwo: chcę go ocalić. Proszę cię więc, wicehrabio, dołóż starań, aby on nie mógł się zbliżyć do *swojej Cecylii* (jak przez niemądre przyzwyczajenie jeszcze ją nazywa). Pierwsze uczucie zawsze ma więcej siły, niż by się mogło wydawać: toteż nie byłabym niczego pewna, gdyby ją znowu miał ujrzeć, zwłaszcza w czasie mej nieobecności. Skoro wrócę, podejmuję się wszystkiego i ręczę za skutek.

Myślałam o tym, i bardzo, aby wziąć młodego człowieka ze sobą: ale wyperswadowałam to sobie z prostej ostrożności; a przy tym obawiałam się, aby nie spostrzegł czego

między Bellerochem a mną. Byłabym w rozpacz, gdyby się miał czegokolwiek domyśleć. Pragnę bodaj w wyobraźni jego oddać mu się czystą i bez zmyzy; słowem, taką, jaką trzeba by być, aby być jego godną.

*Paryż, 15 października 17\*\**

## LIST CXIV

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde*

Droga przyjaciółko, idę za potrzebą mego żywego niepokoju i mimo iż nie wiem, czy będziesz mi w stanie odpowiedzieć, nie mogę się powstrzymać od przesłania ci tego zapytania. Stan pana de Valmont, o którym mówisz, że jest *bez niebezpieczeństwa*, budzi we mnie więcej obaw, niżli ty, pani, zdajesz się je odczuwać. Często się zdarza, że melancholia i niechęć do świata są początkowym objawem jakiejś poważnej choroby: dolegliwości ciała zarówno jak umysłu budzą pragnienie samotności i nieraz wini się o dziwactwo tego, z kim należałoby jedynie współczuć za jego cierpienia.

Zdaje mi się, że powinien by przynajmniej poradzić się kogoś. W jaki sposób, sama będąc niezdrową, nie posiadasz pani przy sobie doktora? Mój lekarz, którego widziałam dziś rano i którego, nie tąę tego pani, starałam się wybadać ogólnie, jest zdania, że u osób z natury żywego usposobienia tego rodzaju nagła apatia zawsze jest poważnym objawem; powiedział również, że leczenie może okazać się bezsilne, o ile nie zastosuje się go dość wcześnie. Po cóż narażać na to niebezpieczeństwo kogoś, kto pani jest drogi?

Niepokój mój podwaja jeszcze to, iż od czterech dni nie mam od niego żadnych wiadomości. Mój Boże! Czy pani mnie nie zwodzi co do jego stanu? Czemuż by przestał do mnie pisać tak nagle? Gdyby to był jedynie skutek wytrwałości, z jaką zwracam mu jego listy, byłby się zdecydował może na to już wcześniej. Wreszcie, jakkolwiek nie wierzę w przecucia, ale od kilku dni gnębi mnie jakiś smutek, który przeraża mnie po prostu. Och! Może jesteśmy w przededniu najstraszliwszego nieszczęścia!

Nie zdołałabyś pani uwierzyć i ja wstydę się do tego przyznać, jak mi boleśnie jest nie odbierać już tych listów, których czytania odmawiałam tak uporczywie! Czułam przynajmniej, że on myśli o mnie! Widziałam coś, co pochodzi od niego. Nie otwierałam tych listów, ale płakałam, patrząc na nie i łzy płynęły mi z oczu słodziej i łatwiej. Te jedne łzy uśmierzały nieco nieustanne przygnębienie, jakiego doświadczam od czasu mego powrotu. Zaklinam cię, moja najlepsza przyjaciółko, napisz do mnie ty sama natychmiast, skoro tylko będziesz mogła; a zanim to nastąpi, prześlij mi codziennie bodaj jakąś wiadomość o sobie i o nim.

Widzę, że zaledwie znalazłam w tym liście jakieś słowo dla ciebie, pani; ale znasz wszakże moje uczucia, przywiązanie bez granic, serdeczną wdzięczność za twą tkliwą przyjaźń: wybaczysz to przez wzgląd na ten straszny ucisk, w jakim żyję, na tę okropną męczarnię, w jakiej ciągle drzeć muszę przed nieszczęściem, którego może jestem przyczyną.

Do widzenia, najdroższa przyjaciółko; kochaj mnie, lituj się nade mną. Czy będę miała list od ciebie dzisiaj?

*Paryż, 16 października 17\*\**

## LIST CXV

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

To jest rzecz w istocie niepojęta, moja piękna przyjaciółko, jak łatwo ludzie przestają się rozumieć wzajemnie, skoro tylko oddalą się od siebie. Jak długo byliśmy razem, mieliśmy zawsze o wszystkim jedno mniemanie, jeden sposób widzenia; dlatego, że blisko od trzech miesięcy nie widzimy się z sobą, nie możemy zgodzić się w zdaniu nawet co do najmniejszego drobiazgu. Kto z nas dwojga jest w błędzie? Ty zapewne nie wahałabyś się

w odpowiedzi; ale ja, rozsądniejszy, czy też tylko bardziej uprzejmy, nie chcę rozstrzygać. Odpowiadam jedynie na list i w dalszym ciągu zdaję ci sprawę z mego postępowania.

Przede wszystkim dziękuję ci, markizo, za ostrzeżenie co do pogłosek krążących na mój rachunek; ale nie trapię się nimi jeszcze: mam pewność, iż niebawem znajdę środki, aby im koniec położyć. Bądź spokojna; pojawię się z powrotem w świecie głośniejszy jeszcze niż przedtem i coraz godniejszy ciebie.

Mam nadzieję, że mi będzie nawet policzona za coś przygoda z małą de Volanges, o której ty zdajesz się mniemać tak niewiele: tak jak gdyby to było niczym zdmuchnąć w ciągu jednego wieczora młodą panienkę ukochanemu przez nią wielbicielowi; rozporządzać nią następnie wedle własnej ochoty, absolutnie jak swoją własnością i to nie zadając sobie najmniejszego trudu; uzyskać od niej to, czego się nie śmie nawet wymagać od dziewczyn, których to jest zawodem; i to, nie mącąc w niczym jej tkliwej miłości, nie przyprowadzając ją o niestałość, nawet o niewierność: bowiem, istotnie, jej nie zaprzętałem nawet jej główki! Tak, że skoro mój kaprys przeminie, oddam ją z powrotem w ramiona czulemu kochankowi, zaledwie świadomą niejako wszystkiego, co zaszło. Czyż to jest sztuczka tak pospolita? A potem, wierzaj mi, skoro raz wyjdzie z moich rąk, zasady, jakie w nią wszczepię, rozwiną się w niej z czasem; i przepowiadam, że nieśmiała uczennica wkrótce zabyśnie w sposób przynoszący zaszczyt mistrzowi.

Jeżeli jednak ktoś bardziej smakuje w rodzaju heroicznym, ukazę mu prezydentową, ten słynny zbiornik wszelakiej cnoty, szanowaną nawet przez naszych najzuchwalszych, taką, słowem, że nikomu nawet na myśl nie przyszło przypuszczać do niej szturm! Pokażę ją, powiadam, jak zapomina o obowiązkach i cnotcie, jak poświęca swoją dobrą sławę i dwa lata przykładowego życia, aby uganiać się za szczęściem pozyskania moich względów, aby upijać się rozkoszą kochania mnie; jak za tyle ofiar jako jedynej nagrody żebrze jednego słowa, jednego spojrzenia, które nie zawsze uda się jej uzyskać. Zrobię więcej: porzucę ją; i albo wcale nie znam tej kobiety, albo nie będę miał następcy w jej sercu. Oprze się potrzebie szukania pociechy, przyzwyczajeniu do upojeń miłosnych, pragnieniu nawet zemsty. Słowem, będzie istniała jedynie przeze mnie; ja jeden będę tym, który rozpoczął i który zamknie jej istnienie. Raz osiągnąwszy ten tryumf, powiem moim współzawodnikom: „Patrzcie na me dzieło i szukajcie w całym stuleciu drugiego takiego przykładu!”

Zapytasz mnie, skąd mi się bierze dzisiaj taki nadmiar zaufania w siebie? To dlatego, że od tygodnia jestem powiernikiem mojej uroczej pani: nie mówi mi swoich tajemnic, ale je podchwytuję. Dwa listy od niej do pani de Rosemonde pouczyły mnie dokładnie w tej mierze, tak że jeżeli będę czytał dalsze, to jedynie przez prostą ciekawość. Aby zwyciężyć, potrzeba mi jedynie zbliżyć się do niej. Środki mam już obmyślane i niezwłocznie wprowadzę je w życie.

Jesteś ciekawa, jak sądzę, markizo...? Ale nie, aby cię ukarać, że nie wierzysz w mój zmysł wynalazczy, nie powiem ci o niczym. Całkiem szczerze, zasługiwałabyś, markizo, abym ci odebrał moje zaufanie, przynajmniej na czas tej przygody; w istocie, gdyby nie słodka nagroda, jaką związałaś z tym tryumfem, nie mówiłbym ci o tym więcej. Widzisz, że jestem zagniewany. Jednakże w nadziei, że się poprawisz, gotów jestem poprzestać na tej lekkiej karze; ulegając tedy pobłażliwszym uczuciom, zapominam na chwilę o moich wielkich zamiarach, aby pomówić z tobą nieco o twoich własnych.

Jesteś tedy, markizo, zakopana na wsi, nudna jak uczucie i smutna jak wierność! I ten biedny Belleroche! Nie zadowolasz się tym, aby mu dać pić wodę zapomnienia, ale pompujesz ją w niego, jak przy wodnej torturze! Jakże on się tam miewa? Czy znosi dobrze nudności miłosne? Wiele dałbym za to, aby on się jeszcze tym więcej przywiązał do ciebie; ciekawy byłbym widzieć, jakie nowe, skuteczniejsze lekarstwo zdołałabyś mu obmyślić. Żał mi cię, istotnie, że byłaś zmuszona aż do tego się uciekać. Jeden raz tylko w moim życiu uprawiałem miłość z obowiązku. Miałem z pewnością ważne powody po temu, gdyż było to z hrabiną de\*\*\*; ale po dwadzieścia razy w jej ramionach miałem pokusę wykrzyknąć: „Pani, zrzekam się miejsca, o które się ubiegam, ale pozwól mi opuścić to, które zajmuję”. Toteż ze wszystkich kobiet, które miałem, to jedyna, o której mówić źle sprawia mi prawdziwą przyjemność.

Co do twoich pobudek, to wydają mi się one, szczerze mówiąc, niewypowiedziane pocieszne; słusznie przypuszczałaś, iż nie domyślę się następcy. Jak to! To dla Danceny’ego

zadajesz sobie całą fatygę! Ech, droga przyjaciółko, pozwólże mu ubóstwiać *swoją cnotliwą Cecylię* i nie narażaj twej reputacji dla takich zabawek dziecinnych. Pozwól studencikom zdobywać pierwsze wykształcenie przy pokojówkach albo też bawić się z pensjonarkami w niewinne gry towarzyskie. Po cóż ci się ubierać w smarkacza, który nie będzie umiał ani cię wziąć, ani cię opuścić i z którym trzeba ci będzie wszystko robić samej? Mówię poważnie, nie pochwalam tego wyboru i choćby udało się go nie wiem jak utaić przed światem, poniżyłby cię przynajmniej w moich i twoich własnych oczach.

Czujesz, jak powiadasz, markizo, coraz więcej skłonności dla niego; cóż znowu! Łudzisz się z pewnością i zdaje mi się nawet, iż doszedłem przyczyn twej omyłki. To zdrowe obrzydzenie do Belleroche'a przyszło na ciebie w porze przednówku; a wobec tego, iż Paryż nie nastroił ci innego wyboru, myśli twoje, zawsze zbyt płocze, zwróciły się na pierwszy przedmiot, który znalazłaś pod ręką. Ale pomyśl, że za twoim powrotem będziesz mogła wybierać wśród tysięcy; jeżeli zaś tak bardzo obawiasz się bezczynności, która grozi utratą wprawy, ofiaruję ci moją skromną osobę, aby zapłacić twoje wywczaszy.

Od dzisiaj aż do czasu twego powrotu moje perypetie będą ukończone w taki czy inny sposób; a z pewnością ani mała Volanges, ani sama prezydentowa nawet, nie będą mnie zajmowały wówczas w tym stopniu, abym nie był zawsze gotów do twoich usług, ile tylko tego zapragniesz. Może nawet do tej pory oddam już moją małą w ręce tak szanującego ją kochanka.

Pragnąc, aby zachowała o mnie przez całe życie mniemanie stawiające mnie w jej wspomnieniu ponad innych mężczyzn, wziąłem z nią rzecz z tonu, którego nie mógłbym podtrzymywać długo, nie nadwężając mego zdrowia; toteż wycofałbym się z tej zabawy, gdyby nie troskliwość należąca „sprawom rodzinnym”...

Czy mnie nie rozumiesz? Oto oczekuję właśnie drugiej epoki, aby potwierdzić me nadzieje i upewnić się, że zamiary powiodły mi się w całej pełni. Tak, piękna przyjaciółko, mam już pierwszą oznakę, że małżonek mej uczennicy nie będzie narażony na obawę bezpotomnego zejścia ze świata i że głowa rodziny Gercourtów będzie zarazem jedynie młodszą linią rodziny Valmontów. Ale pozwól mi skończyć wedle mojej myśli tę sprawę, którą podjąłem jedynie na twoje prośby. Pomyśl, że jeżeli przyprawisz Dancenego o niewierność, odejmiesz cały pieprzyk temu wydarzeniu. Zważ wreszcie, że ofiarowując się zastąpić go przy tobie, mam, o ile mi się zdaje, niejakię prawa pierwszeństwa.

Liczę na to tak bardzo, że nie lękałem się skrzyżować twoich planów, przyczyniając się sam do odświeżenia tkliwych uczuć nieśmiałego kochanka dla pierwszego i godnego przedmiotu swojego wyboru. Zastawszy wczoraj naszą pupilkę zajęta pisaniem do niego i przerwawszy jej zrazu to słodkie zatrudnienie dla innego, jeszcze słodsze, kazałem jej następnie pokazać sobie list; że zaś wydał mi się zimny i wymuszony, wytłumaczyłem jej, że nie w ten sposób zdoła pocieszyć swego wielbiciela. Nakłoniłem ją, aby napisała inny, pod moim dyktandem, gdzie, naśladowując najlepiej jak umiałem jej szczebiotanie, starałem się podsyć miłość młodego człowieka bardziej realnymi nadziejami. Młoda osóбка była zachwycona, jak mi mówiła, iż przyszła bez trudu do tak pięknego stylu: na przyszłość ja mam się zajmować jej korespondencją. I czegoż ja nie robię dla tego Dancenego? Będę naraz jego przyjacielem, powiernikiem, rywalem i kochanką! Jeszcze w tej chwili oddaję mu przysługę, ocalając go z twoich niebezpiecznych więzów. Tak, niebezpiecznych; gdyż posiadać ciebie, a potem utracić, to znaczy kupić chwilę szczęścia za całą wieczność niedoli.

Do widzenia, piękna przyjaciółko, postaraj się załatwić z Bellerocchem najrychlej, jak potrafisz. Daj pokój Dancenemu i zgódź się sama odnaleźć i mnie dać podzielić z tobą niezapomniane słodczyce naszego pierwszego związku.

PS Winszuję ci, markizo, bliskiego osądzenia twojego procesu. Bardzo będę rad, iż ten szczęśliwy wypadek wypadnie za mego panowania.

*Z zamku de \*\*\*, 17 października 17\*\**

## LIST CXVI

*Kawaler Dancenego do Cecylii Volanges*

Pani de Merteuil wyjechała dziś rano na wieś; i oto, urocza Cecylia, pozbawiony jestem jedynej pociechy, jaka mi pozostawała w czasie twojej nieobecności, to jest, by mówić o tobie ze wspólną naszą przyjaciółką. Od pewnego czasu pozwoliła mi darzyć się tym tytułem; skorzystałem z tego skwapliwie, odnosząc wrażenie, że przez to tym więcej zbliżam się do ciebie. Mój Boże! Jaka ta kobieta jest miła! Ileż pociągającego uroku umie tchnąć w swoją przyjaźń! Zdawałoby się, że w to słodkie uczucie wkłada wszystko to, czego tak stale odmawia miłości. Gdybyś wiedziała, jak ona cię kocha, jak lubi przysłuchiwać się, gdy mówię jej o tobie!... Z pewnością to przywiązuje mnie tak bardzo do niej. Jakież to szczęście móc żyć wyłącznie dla was obu, przechodzić nieustannie od rozkoszy miłości do słodczy przyjaźni, poświęcać im całe istnienie, być do pewnego stopnia punktem styczności waszego wzajemnego przywiązania; czuć nieustannie, że starając się o szczęście jednej, pracuję równocześnie i dla szczęścia drugiej! Kochaj, kochaj bardzo, moja Cesi słodka, tę czarującą kobietę. Dodaj jeszcze ceny temu przywiązaniu, jakie mam dla niej, dzieląc je w całej pełni. Od czasu jak zakosztowałem uroków przyjaźni, pragnąłbym, abyś i ty doświadczyła ich z kolei. Przyjemność, której nie dzielę z tobą, jest dla mnie jedynie połowiczną przyjemnością. Tak, Cecylia, pragnąłbym otoczyć twoje serce samymi najładniejszymi uczuciami, tak aby każde z jego uderzeń budziło w tobie wzruszenie szczęścia, i jeszcze wówczas bym mniemał, iż zdołam jedynie oddać ci cząstkę tej błogości, jaką otrzymałbym od ciebie.

I czemuż trzeba, aby te czarowne marzenia były jedynie chimera wyobraźni! Widzę dobrze, że nadzieja, jaką mi uczyniłaś, iż będę mógł widywać cię na wsi, nie spełni się nigdy. Jediną pociechą, jaka mi pozostała, to jest wytłumaczyć sobie, że w istocie nie było to dla ciebie możliwe. I ty nie spieszysz mi tego powiedzieć, użalić się nad tym wraz ze mną! Dwa razy już moje skargi w tym przedmiocie pozostały bez odpowiedzi. Och, Cecylia, Cecylia! Ja wierzę silnie, iż ty mnie kochasz wszystkimi zdolnościami twojej duszy, ale twoja dusza nie jest tak płomienna jak moja! Czemuż nie mnie przypadło zwalczać te przeszkody? Umiałbym cię rychło przekonać, że nic nie jest niepodobnym<sup>11</sup> dla miłości.

Nie donosisz mi również wcale, kiedy ma się skończyć to okrutne rozłączenie; tutaj przynajmniej może będę cię mógł widywać. Twoje urocze spojrzenia pokrzepią mą zgnębioną duszę; ich słodka wymowa doda otuchy memu sercu, które niekiedy, zaprawdę, potrzebowałoby tego. Daruj, Cecylia moja; ta obawa nie jest posądzeniem. Ja wierzę w twoją miłość, w twą stałość. Och! Nazbyt nieszczęśliwy byłbym, gdybym wątpił o tym. Ale tyle przeszkód! I ciągle nowych! Smutny jestem, moja ukochana, bardzo smutny. Zdaje się, że ten wyjazd pani de Merteuil odnowił we mnie poczucie całej mej niedoli.

Do widzenia, Cecylia moja, do widzenia, ukochana. Pamiętaj, że twój miły cierpi i że ty jedna możesz mu wrócić szczęście.

*Paryż, 19 października 17\*\**

## LIST CXVII

*Cecylia Volanges do kawalera Danceny*

*(list dyktowany przez Valmonta)*

Czy myślisz, ukochany, że trzeba aż twoich wymówek, abym się czuła smutną, kiedy wiem, że ty się trapisz? Czy wątpisz, że przechodzę zarówno z tobą wszystkie twoje cierpienia? Wiem dobrze, co ciebie martwi; to, że ostatnie dwa razy, kiedy prosiłeś mnie, abyś mógł przybyć tutaj, nie odpowiedziałam ci na to: ale czy to tak łatwo dać taką odpowiedź? Czy ty myślisz, że ja nie wiem, że to bardzo niedobrze zrobić to, czego ty chciałybyś? Pomyśl tylko, jeżeli tak mi jest już trudno odmówić ci z daleka, cóż by dopiero było, gdybyś był tutaj! I potem za to, że cię chciałam pocieszyć na chwilę, musiałabym być nieszczęśliwą przez całe życie!

<sup>11</sup>być niepodobnym do czego (daw.) — być niemożliwym. [przypis edytorski]



Posłuchaj, ja nie mam tajemnic dla ciebie; oto moje pobudki, sam je osądz. Byłabym może uczyniła to, czego pragniesz, ale wszakże ci pisałam, co zaszło. Otóż ten pan de Gercourt, który jest przyczyną całego naszego strapienia, nie przybędzie jeszcze tak prędko; że zaś od niejakiego czasu mama mi okazuje bardzo wiele dobroci, a i ja także staram się być z nią jak najczulej, kto wie, czego nie uda się od niej uzyskać? A gdybyśmy mogli być szczęśliwi tak, żebym nie musiała sobie nic wyrzucać, czy by to nie było o wiele lepiej? Jeżeli mam wierzyć temu, co mi często mówiono, to nawet sami mężczyźni nie kochają potem tak bardzo swoich żon, skoro one zanadto ich kochały, zanim jeszcze były ich żonami. Ta obawa powstrzymuje mnie bardziej jeszcze niż wszystkie inne względy. Mój najdroższy, czy ty nie jesteś pewny mego serca i czy nie będzie zawsze na to dosyć czasu?

Posłuchaj, przyrzekam ci, że jeżeli nie zdołam uniknąć tego nieszczęsnego małżeństwa z panem de Gercourt, którego tak już nienawidzę, zanim go na oczy widziałam, nic mnie nie powstrzyma od tego, żebym była twoją natychmiast, jak tylko będę mogła, a nawet wcześniej jeszcze. Ponieważ dbam o to tylko, abyś ty mnie kochał, a ty będziesz widział, że jeśli robię źle, to nie z mojej winy, poza tym mnie nic nie będzie obchodziło; bylebyś mi przyrzekł, że zawsze mnie będziesz kochał tak jak teraz. Ale, mój najdroższy, aż do tego czasu pozwól mi robić tak, jak robię; i nie żądaj ode mnie rzeczy, których dla ważnych powodów nie mogę uczynić, a których mimo to tak przykro mi odmawiać.

Chciałabym także bardzo, aby pan de Valmont nie był taki natarczywy za ciebie; to mnie tylko tym więcej czyni nieszczęśliwą. Och, masz w nim dobrego przyjaciela, wierź mi! Troszczy się o wszystko za ciebie tak, że ty sam nie mógłbyś lepiej. Ale do widzenia, drogi mój; bardzo późno zaczęłam pisać do ciebie i zużyłam na to większą część nocy. Idę się położyć i odzyskać czas stracony. Ściskam cię, ale już nie łaj mnie więcej.

*Z zamku \*\*\*, 18 października 17\*\**

## LIST XCVIII

### *Kawaler Danceney do markizy de Merteuil*

Jeżeli mam wierzyć kalendarzowi, dopiero dwa dni upłynęły, uroczą przyjaciółko, od czasu twego wyjazdu; ale jeżeli mam wierzyć memu sercu, to dwa wieki. Otóż słyszałem to z własnych ust twoich, że jedynie sercu zawsze wierzyć należy: zatem już wielki czas, abyś wracała i wszystkie twoje sprawy muszą być od dawna ukończone. I jakże chcesz pani, abym interesował się twoim procesem, skoro, czy w razie wygranej czy przegranej, ja muszę zawsze jednako ponosić jego koszt, dręcząc się twoją nieobecnością? Och, jakże miałbym ochotę robić ci wymówki! Jak ciężko jest, mając tak piękny przedmiot do żalu i niezadowolenia, nie mieć prawa ich okazywać!

Czyż to nie jest jednak prawdziwa niewierność, czarna zdrada, zostawiać tak swego przyjaciela z dala od siebie, przyzwyczajwszy go wprzód, aby się nie mógł obchodzić bez twojej obecności? Na próżno byś się radziła, pani, swoich adwokatów: nie znajdą usprawiedliwienia dla tak niegodziwego postępk; zresztą ci ludzie umieją tylko rozumować, a uczucie nie da się zaspokoić rozumowaniem.

Co do mnie, tyle razy mówiłaś mi, markizo, iż rozsądek każe ci podjąć tę podróż, że doprowadziłaś mnie do zupełnego poróżnienia z tym panem. Nie chcę go już w niczym słuchać; nawet wówczas gdy mi mówi, aby zapomnieć o tobie. Mimo to ten rozsądek radzi bardzo rozsądnie; i doprawdy, to nie byłoby tak trudne do wykonania, jak pani przypuszcza. Wystarczyłoby tylko pozbyć się przyzwyczajenia myślenia ustawicznie o pani; nie spotykam zaś nic, upewniam panią, co by zdołało mi ją przypomnieć.

Nasze najpiękniejsze kobiety, te, które cieszą się rozgłosem największego powabu, są jeszcze tak dalekie od pani, że mogłyby mi dać o niej jedynie bardzo słabe wyobrażenie. Daremnie się siłą, daremnie dokładają wszelkich możliwych starań: brakuje im zawsze tego, że nie są tobą, a w tym właśnie leży cała siła twego uroku. Na nieszczęście, gdy dni się tak wloką i gdy się jest beczynnym, zaczyna się marzyć, buduje zamki na wodzie, tworzy sobie chimery; stopniowo wyobraźnia się rozpała; pragnie upiększyć swoje

dzieło, gromadzi wszystko miłe, wszystko ładne, wszystko ponętne, dochodzi wreszcie do doskonałości; i gdy się posunęło tak daleko, portret sprowadza myśl do modelu i jest się nagle zdziwionym, widząc, iż myślało się cały czas jedynie o pani!

W tej chwili nawet znowu padłem ofiarą prawie że takiej omyłki. Pani myśli może, że ja usiadłem do pisania po to, aby się panią zajmować? Otóż wcale nie: jedynie, aby się rozerwać. Miałem tyle rzeczy do powiedzenia pani, których ty wcale nie byłaś przedmiotem, a które, jak pani wie dobrze, obchodzą mnie nader żywo; i oto myśl moja tak zesłała na bezdroża. Od kiedyż to powab przyjaźni ma prawo nas odrywać od uroku miłości? Ach, gdybym się nad tym dobrze zastanowił, kto wie, czy bym nie doświadczył niejakiego wyrzutu! Ale sza! Zapomnijmy o tym lekkim błędzie, z obawy, aby w niego nie popaść znowu; niechaj nawet moja przyjaciółka o nim się nie dowie.

Bo też czemu pani nie ma tutaj, aby rozmawiać ze mną, aby mnie naprowadzić na właściwą drogę, gdybym się zabląkał, aby mi mówić o mojej Cecylii i zwiększyć, jeżeli to możliwe, szczęście, jakim jest dla mnie kochać ją, przez tę myśl tak słodką, że ta, którą kocham, jest twoją przyjaciółką? Tak, wyznaję, miłość, jaką budzi we mnie stała mi się tym cenniejszą jeszcze od czasu, gdy ty, pani, zgodziłaś się przyjmować me zwierzenia. Tak lubię otwierać przed panią serce, zajmować cię moimi uczuciami, odsłaniać ci je bez obawy! Zdaje mi się, że są mi one droższe, odkąd pani raczysz je przyjmować! Patrę na ciebie potem i mówię sobie: w niej zamknięte jest całe moje szczęście!

Nie mam nic nowego do doniesienia pani o swoich sprawach. List, który dostałem *od niej* zwiększa i umacnia moją nadzieję, ale opóźnia ją jeszcze. Jednakże pobudki Cesi są tak serdeczne i tak zacne, że nie mogę ani ganić jej za nie, ani się uskarżać. Może nie rozumiesz pani zbyt dobrze tego, co ci mówię; ale bo czemuż cię tu nie ma? Chociaż się wszystko mówi swojej przyjaciółce, nie wszystko ośmiela się pisać. Tajemnice miłości zwłaszcza są tak drażliwe, że nie można im pozwolić wędrować na los szczęścia. Jeśli już kiedy pozwala im się wymknąć, trzeba przynajmniej nie dać im się zgubić z oczu: trzeba niejako patrzeć, jak się dostają do nowego schronienia. Ach, wracaj więc, czarująca przyjaciółko; widzisz sama, jak powrót twój jest potrzebny. Zapomnij wreszcie *o tysiącu przyczyn*, które cię zatrzymują, lub naucz mnie, jak żyć tam, gdzie ciebie nie ma.

*Paryż, 19 października 17\*\**

## LIST CXIX

*Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel*

Mimo że cierpię jeszcze bardzo, droga ślicznotko, próbuję pisać do ciebie sama, aby móc ci mówić o tym, co ciebie zajmuje. Mój siostrzeniec trwa ciągle w mizantropii. Dowiaduje się codziennie bardzo regularnie o moje zdrowie, ale nie zjawił się osobiście, jakkolwiek go o to prosiłam. Mimo to spotkałam go dziś rano i to tam, gdzie się go nie spodziewałam wcale: mianowicie w kaplicy, dokąd udałam się po raz pierwszy od czasu mej przykrej dolegliwości. Dowiedziałam się dziś, że od czterech dni chodzi regularnie wysłuchać mszy św. Dałby Bóg, aby to trwało!

Skoro weszłam, zbliżył się do mnie i powinszował mi bardzo serdecznie polepszenia, jakie zaszło w moim zdrowiu. Ponieważ msza już miała się zacząć, przerwałam rozmowę, której spodziewałam się dokończyć później; ale znikł, zanim mogłam do niego podejść. Nie będę ci ukrywać, że wydał mi się nieco zmienionym. Ale, droga ślicznotko, nie każ mi żalować, żem zaufała w twój rozsądek, i nie przejmuj się zbyt żywo; a zwłaszcza bądź pewna, że wolałabym nawet cię zmartwić niż okłamać.

Jeżeli mój siostrzeniec będzie upierał się w swoim zamknięciu, mam zamiar, skoro tylko polepszy mi się nieco, odwiedzić go w jego pokoju; będę się starała przeniknąć przyczynę tej szczególnej manii, która, przypuszczam, nie jest bez związku z twoją osobą. Doniosę ci wszystko, czego się dowiem. Żegnaj cię, ponieważ nie mogę już ruszać palcami: a przy tym gdyby Adela jda wiedziała, że pisałam, łajałaby mnie cały wieczór. Do widzenia, droga ślicznotko.

*Z zamku \*\*\*, 20 października 17\*\**

## LIST CXX

*Wicebrabia de Valmont do ojca Anzelma, zakonnika reguły Św. Bernarda, w klasztorze przy ulicy Św. Honoriusza*

Nie mam wprawdzie zaszczytu być znanym wielebnemu ojcu, jednakże wiem, jak zupełnie zaufanie pokłada w nim pani prezydentowa de Tourvel, i wiem zwłaszcza, jak bardzo to zaufanie godnie jest umieszczone. Sądzę więc, iż mogę bez niedyskrecji zwrócić się do pana, aby uzyskać od niego przysługę nader ważną, naprawę godną jego świętego urzędu, w sprawie, w której pani de Tourvel zainteresowana jest nie mniej ode mnie.

Posiadam w rękach ważne papiery, które jej dotyczą. Papiery te nie mogą być powierzone nikomu i nie powinienem, ani też nie chcę złożyć ich w inne ręce jak tylko jej własne. Nie mam innego sposobu uwiadomienia o tym pani de Tourvel: przyczyny, może wiadome ojcu od niej samej, ale których nie sądzą, iżbym miał prawo mu wyjawiać, skłoniły ją do uchylenia się od wszelkiej ze mną korespondencji. Dzisiaj, wyznając, nie potrafiłbym zganić tego jej postanowienia, zważywszy, iż pani de Tourvel nie mogła przewidzieć wypadków, których i ja sam nie przewidywałem: możebne były bowiem jedynie dla siły więcej niż ludzkiej.

Proszę zatem wielebnego ojca, aby zechciał powiadomić panią de Tourvel o moich nowych postanowieniach i prosić ją w moim imieniu o widzenie się poufne. Pragnę przynajmniej w części naprawić winy moje szczerą skruchą; zarazem zaś w jej oczach zniszczyć jedyne istniejące ślady błędów, jakich się dopuściłem względem jej osoby.

Dopiero po dopełnieniu tej wstępnej ekspiacji ośmielę się złożyć u twoich stóp, ojczy, korne wyznanie mych licznych nieprawości i błagać cię o pośrednictwo w pojednaniu o wiele ważniejszym i, na nieszczęście, trudniejszym jeszcze. Czy mogę spodziewać się, wielebny ojczy, iż nie odmówisz pomocy, tak potrzebnej mi i cennej? Że raczysz wzmocnić mą słabość i poprowadzić kroki na nowej ścieżce, którą bardzo gorąco pragnę postępować, ale której — wyznając to, rumieniąc się — nie znam jeszcze? Oczekuję twej odpowiedzi z niecierpliwością człowieka, który żałuje i pragnąłby złe naprawić; tymczasem pozostaję z całym poważaniem i wdzięcznością twoim najuniżeńszym etc.

PS Upoważniam wielebnego ojca, w razie gdyby uznał to za właściwe, do okazania tego listu w całości pani de Tourvel. Osobę tę szanować będę przez całe życie i nigdy w niej nie przestanę czcić istoty, którą niebo raczyło obrać sobie za narzędzie, aby przez budujący przykład jej cnót zawieść duszę moją ku drodze zbawienia.

*Z zamku \*\*\*, 22 października 17\*\**

## LIST CXXI

*Markiza de Merteuil do kawalera Danceny*

Odebrałam twój list, mój nazbyt młody przyjacielu; ale zanim podziękuję, muszę cię za niego połączyć: uprzedzam cię, że jeżeli się nie poprawisz, nie spodziewaj się już ode mnie odpowiedzi. Porzuć zatem, jeżeli chcesz mnie posłuchać, ten ton pochlebno-pieszczotliwy, który staje się pustą igraszką słów z chwilą, gdy nie jest wyrazem miłości. Czy to jest styl przyjaźni? Nie, mój przyjacielu: każde uczucie ma swój język, który mu odpowiada; posługiwać się innym, to znaczy fałszować myśli, jakie się wyraża. Wiem dobrze, że nasze światowe kobietki niezdolne są nic w ogóle zrozumieć, o ile im się czego nie przełoży na tę gwarę naszych salonów; ale sądziłam, wyznając to, iż warta jestem, abys mnie pan od nich odróżnił. Bardzo mnie to obeszło, może bardziej nawet, niż by powinno, że tak źle mnie oceniłeś.

Znajdzie pan więc w moim liście jedynie to, czego brakuje twojemu, to jest szczerść i prostotę. Powiem na przykład, że bardzo byłabym rada pana tu oglądać i że bardzo

mi przykro mieć koło siebie jedynie osoby, które mnie nudzą, zamiast tych, które mi są miłe. To samo zdanie pan przetłumaczyłby z pewnością w ten sposób: *Naucz mnie żyć tam, gdzie ciebie nie ma*, tak iż należałoby mi mniemać, że kiedy znajdziesz się przy boku ukochanej, nie będziesz umiał żyć, o ile mnie tam nie będzie jako trzeciej. Cóż za dzieciństwa! A te kobiety, którym *brak jest zawsze tego, iż nie są mną!* Czy znajdziesz może także, iż tego brak jest twojej Cecylii? Oto masz, dokąd prowadzi ów sposób wyrażania się, który, nadużywany dziś do znudzenia, stał się jeszcze czymś gorszym niż żargon komplementów i jest niejako rodzajem formułki, do której się nie przywiązuje więcej wagi niżeli do „bardzo uniżonego i powolnego sługi”.

Mój przyjacielu, skoro piszesz do mnie, to pisz po to, aby mi powiedzieć, co czujesz i myślisz, a nie, aby mi przesyłać zdania, które i bez ciebie znajdę, mniej lub więcej dobrze powiedziane, w pierwszym lepszym modnym romansie. Mam nadzieję, że nie pogniewasz się o to, co ci mówię, chociażbyś się nawet dopatrył w tym nieco podrażnienia, bo nie zaprzeczam ci, że jestem trochę podrażniona: ale aby uniknąć nawet cienia tej wady, jaką tobie wyrzucam, nie powiem panu, że podrażnienie to spotęgowane jest może odległością, jaka dzieli mnie od pana. Zdaje mi się, że, wszystko razem wzięwszy, więcej pan jest wart, niżeli proces i dwóch adwokatów, więcej może nawet niż nadskakujący Belleruche.

Widzi pan zatem, że zamiast zamartwiać się moją nieobecnością, powinien by się pan z niej cieszyć, bo nigdy jeszcze nie powiedziałam panu tak pięknego komplementu. Zdaje się, że przykład się udziela i że ja również zaczynam karmić pana pochlebnymi słówkami: ale nie, wolę pozostać przy mojej szczerości: ona tedy jedynie upewnia pana o serdecznej przyjaźni i życzliwości, jaką mam dla niego. Bardzo jest miło mieć młodego przyjaciela, którego serce zajęte jest gdzie indziej: takie jest moje zdanie, mimo iż większość kobiet inaczej się na to patrzy. Zdaje mi się, że z większą przyjemnością kosztuje się uczucia, które nie grozi żadnym niebezpieczeństwem; toteż chętnie przesłałam wobec pana, dość wcześnie może, do roli powiernicy. Ale bo też wybrałeś pan sobie przedmiot miłości tak młody, iż dałeś mi sposobność spostrzec się po raz pierwszy, że zaczynam robić się stara! To dobrze dla pana: zapewniasz sobie w ten sposób długie lata wierności, a życzę z całego serca, aby ona była wzajemną.

Ma pan słuszność, ulegając *pobudkom tkliwym i zacnym*, które, wedle tego co mi piszesz, *opóźniają twoje szczęście*. Wy mężczyźni, wy nie macie pojęcia, co to jest cnota i ile kosztuje ją poświęcić! Ale skoro tylko kobieta choć trochę zdolną jest myśleć, musi zdawać sobie sprawę, że niezależnie już od winy upadek jest zarazem dla niej największym nieszczęściem; nie rozumiem też, jak która może się poddać, jeżeli ma bodaj chwilę czasu do zastanowienia.

Niech pan nie próbuje zwalczać tego mniemania, bo ono to właśnie przywiązuje mnie głównie do pana. Pan mnie ocali od niebezpieczeństw miłości; a jakkolwiek umiałam i sama obronić się jej dotąd, gotowa jestem na pana przenieść mą wdzięczność i będę go lubiła za to lepiej i więcej. Kończąc na tym, mój drogi kawalerze, proszę Boga, aby cię miał w swojej świętej i wszechmocnej opiece.

*Z zamku \*\*\*, 22 października 17\*\**

## LIST CXXII

*Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel*

Miałam nadzieję, miła córeczko, że będę mogła nareszcie uśmierzyć twe obawy: tymczasem przeciwnie, widzę ze smutkiem, że trzeba mi jeszcze je pomnożyć. Uspokój się jednak; mój siostrzeniec nie znajduje się w niebezpieczeństwie; nie można nawet powiedzieć, aby był istotnie chory. To pewna, że dzieje się w nim coś niezwykłego. Nic z tego nie rozumiem: ale opuściłam jego pokój z uczuciem smutku, może nawet przerażenia. Wyrzucam sobie, że i ciebie może zaniepokoję, ale nie mogę się powstrzymać, aby o tym nie pomówić. Oto opis tego, co zaszło: możesz być pewna, że jest wierny; mogłabym bowiem żyć drugie osiemdziesiąt lat, a nie zapomniałabym wrażenia, jakie na mnie zrobiła ta smutna scena.

Udałam się tedy rano do mego siostrzeńca; zastałam go przy pisaniu, otoczonego stosami papierów. Pogrążony był w swoim zajęciu do tego stopnia, że byłam już na środku pokoju, a on jeszcze nie odwrócił głowy. Skoro mnie wreszcie spostrzegł, zauważyłam bardzo dobrze, iż wstając z krzesła, wysiłał się, aby ukryć bolesny wyraz fizjonomii; może dlatego właśnie wpadło mi to w oczy. Prawda, że był nieuczestny i bez pudru: ale wydał mi się blady i mizerny, a zwłaszcza bardzo zmieniony na twarzy. Spojrzenie, które znałyśmy tak żywym i wesołym, było smutne i przybite; słowem, mówiąc między nami, lepiej żeś go nie widziała w tym stanie: bowiem miał wygląd bardzo wzruszający i łatwo byłby mógł w tobie zbudzić owo tkliwe współczucie, które jest jedną z niebezpiecznych zasadzek miłości.

Jakkolwiek mocno zmieszana tym wszystkim, zawiązałam mimo to rozmowę tak, jak gdybym nic nie zauważyła. Zaczęłam mówić zrazu o jego zdrowiu, próbowałam uzalać się na jego zamknięcie trącające mocno dziwactwem i starałam się zaprawić wesołością moją małą połajankę: ale on odpowiedział jedynie skupionym tonem: „To jeden błąd więcej, przynaję; ale będzie naprawiony wraz z innymi”. Jego wyraz więcej jeszcze niż słowa zmąciły nieco mój żartobliwy ton: rzekłam tylko co prędzej, iż nazbyt wiele wagi przywiązuje do zwykłej przyjacielskiej wymówki.

Zaczęliśmy zatem znowu rozmawiać spokojnie. Powiedział mi w parę chwil potem, iż pewna sprawa, *najważniejsza w jego życiu*, powoła go może niebawem do Paryża: obawiając się jakichś zwierzeń, których nie chciałam, powiedziałam jedynie, że więcej rozrywki byłoby wskazanym dla jego zdrowia. Dodałam, że tym razem nie będę w niczym na niego nalegać, gdyż kocham moich przyjaciół dla nich, a nie dla siebie; wówczas, na to zdanie tak proste, on ścisnął mnie za ręce i rzekł z przejęciem, którego nie umiem ci opisać: „Tak, cioteczko, kochaj, kochaj bardzo siostrzeńca, który cię czci i miłuje; i, jak powiadasz, kochaj go dla niego samego. Nie trap się o jego los i nie mąc próżnym żalem wiecznej szczęśliwości, jakiej on ma nadzieję dostąpić niebawem. Powtórz mi, że mnie kochasz, że mi przebaczasz; tak, ty mi przebaczasz, znam twoją dobroć: ale czy mogę spodziewać się tej samej pobłażliwości od tych, których tyle obraziłem?”. Przy tych słowach pochylił się do moich rąk, jak sądzę, aby ukryć oznaki bólesci, którą dźwięk głosu zdradził mi pomimo woli.

Wzruszona bardziej, niżbym umiała powiedzieć, podniosłam się pospiesznie; z pewnością musiał zauważyć moje przerażenie, gdyż natychmiast, opamiętując się, dodał: „Wybacz, wybacz mi, pani; czuję, że sam nie wiem, co mówię. Proszę, racz zapomnieć o moich słowach i pamiętaj jedynie o mej głębokiej czci. Nie omieszkać — dodał — złożyć ci jeszcze raz jej wyrazów przed wyjazdem”. Zdawało mi się, że to ostatnie zdanie miało na celu położyć kres moim odwiedzinom; zaczęłam niebawem opuścić pokój.

Z tym wszystkim, im dłużej się zastanawiam, tym mniej domyślam się, co on mi chciał powiedzieć. Co to jest za sprawa *najważniejsza w jego życiu*? Za co prosi mnie o przebaczenie? Skąd mu się wzięła ta nagła czułość? Zadawałam sobie te pytania z tysiąc razy, nie znajdując odpowiedzi. Nie widzę w tym nawet nic, co by odnosiło się do ciebie: mimo to, jako że oczy miłości są bardziej jasnowidzące od oczu przyjaźni, nie chciałam nic zataić przed tobą z tego zdarzenia.

Cztery razy musiałam zasiadać na nowo, aby napisać ten długi list, który byłby jeszcze dłuższy, gdyby nie to, iż czuję się nazbyt zmęczona. Do widzenia, droga ślicznotko!

Z zamku \*\*\* 25 października 17\*\*

## LIST CXXIII

*Ojciec Anzelm do wicehrabiego de Valmont*

Otrzymałam, panie wicehrabio, list, którym mnie pan zaszczycił i zaraz wczorajszego dnia udałam się, idąc za pańskim życzeniem, do wymienionej osoby. Wyłożyłam jej przedmiot i pobudki pańskiego żądania. Mimo iż zrazu obstawała przy roztropnym postanowieniu, jakie powzięła poprzednio, skoro jej przedstawiłam, iż odmową swoją stawia może przeszkodę twemu szczęśliwemu nawróceniu i sprzeciwia się niejako w ten sposób

miłosierdzia pełnym widokom Opatrzności, zgodziła się przyjąć twe odwiedziny, pod warunkiem wszelako, że będą to ostatnie i poleciła mi oznajmić ci, panie wicehrabio, iż oczekuje cię w najbliższy czwartek, 28. Gdyby ten dzień był ci niedogodny, zechcesz uwiadomić ją o tym i naznaczyć inny. List twój będzie przyjęty.

Mimo to, panie wicehrabio, przyjm moją radę i nie zwłócz z tym bez ważnej przyczyny, aby się móc tym rychlej i już wyłącznie poświęcić chwalebny postanowieniom, jakie mi objawiłeś. Pomyśl, że kto ociąga się z korzystaniem z momentu łaski, naraża się na to, iż może mu być ona odjęta; że jeżeli dobroć boska jest nieskończona, działanie jej jest jednak ograniczone sprawiedliwością; i że może przyjść chwila, w której Bóg miłosierdzia zmienia się w Boga pomsty.

Jeżeli zechcesz nadal zaszczycać mnie swą ufnością, bądź pewien, iż poświęcę ci najchętniej wszystkie me starania, skoro tylko tego zapragniesz. Jakkolwiek liczne są moje zatrudnienia, najważniejszą sprawą będzie zawsze dla mnie wypełniać obowiązki świętego urzędu, któremu jestem całą duszą oddany, zaś najpiękniejszą chwilą mojego życia ta, w której ujrzę moje wysiłki uwieńczone błogosławieństwem Wszchemogącego. My, słabi grzesznicy, cóż my możemy zdziałać sami przez się! Ale Bóg, który cię powołuje, może wszystko; jego to dobroci będziemy winili<sup>12</sup> zarówno ty stałe pragnienie połączenia się z nim, ja zaś środki, aby cię doń doprowadzić. Przy Jego to pomocy mam nadzieję przekonać cię niebawem, że jedynie święta wiara nasza zdolna jest dać, nawet w tym życiu, szczęście trwałe i mocne, którego na próżno się szuka w zaślepieniach ludzkich namiętności.

*Paryż, 25 października 17\*\**

## LIST CXXIV

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde*

Wśród zdumienia, w jakim mnie pogrążyła nowina, o której dowiedziałam się wczoraj, nie zapominam o radości, jaką ona tobie, pani, musi sprawić: spieszę przeto, aby ci jej udzielić. Pan de Valmont nie myśli już ani o mnie, ani o swej miłości; pragnie jedynie naprawić skruchą i budującym życiem błędy, a raczej zbłąkania młodości. Zostałam powiadomiona o tym wielkim wydarzeniu, przez ojca Anzelma, do którego się zwrócił z prośbą o duchową opiekę na przyszłość, jak również o wyjednanie mu rozmowy ze mną. Głównym jej przedmiotem będzie, jak sądzę, zwrócenie mi listów, które zachował dotąd, wbrew memu ponawianemu w swoim czasie żądaniu.

Wolno mi jedynie przyklasnąć tej szczęśliwej odmianie i czuć się szczęśliwą, jeżeli, jak on twierdzi, danym mi było w czymkolwiek przyczynić się do niej. Ale czemuż trzeba było, abym ja stała się jej narzędziem i abym musiała ją przyplacić spokojem mego życia? Czyż szczęście pana de Valmont mogło się w każdym wypadku ziścić jedynie kosztem mej niedoli? Och, daruj mi tę skargę, ukochana przyjaciółko! Wiem, że nie do mnie należy zgłębiać wyroki Wszchemocnego: ale gdy ja Go błagam bez przerwy i ciągle na próżno o siłę zwalzenia mej nieszczęśliwej miłości, On użycza tej siły jemu, który tego wcale nie żądał, a mnie zostawia bez ratunku, zdaną wyłącznie na pastwę własnej niemocy!

Ale ucziszmy to występne szemranie. Czyliż nie wiem, iż dziecię marnotrawne uzyskało za swoim powrotem więcej łask od ojca niż syn, który nigdy domu nie opuścił? Jakiegoż rachunku możemy żądać od tego, który nam nic nie jest winien? A gdyby nawet było możebne, abyśmy mieli jakieś prawa u Niego, jakież ja bym mogła sobie rościć? Czyż mogę szczycić się zwycięstwem, które winna jestem jedynie Valmontowi? On mnie ocalił: i ja śmiałybym się uskarżać, cierpiąc dla niego? Nie: cierpienia moje będą mi drogie, jeżeli zdołają okupić jego szczęście. Potrzeba widocznie było, aby on powrócił kiedyś do wspólnego Ojca. Bóg, który go ukształtował, musiał miłować swoje dzieło. Nie stworzył snadź<sup>13</sup> tej istoty tak pełnej uroku po to, aby ją skazać na wieczne potępienie. To mnie

<sup>12</sup>winić — tu raczej: zawdzięczać. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

przystało ponosić karę za mą zuchwałą nierozwagę. Skoro mi było wzbронionym kochać Valmonta, czyliż nie powinnam była czuć, iż nie wolno mi jest przebywać w jego pobliżu?

Błędem moim lub też nieszczęściem jest to, iż zbyt długo zamykałam oczy na tę prawdę. Ty jesteś mi świadkiem, droga i godna przyjaciółko, że zdobyłam się na poświęcenie, skoro tylko uznałam jego konieczność. Ale tym straszliwszym stało mi się ono teraz, odkąd wiem, że pan de Valmont przestał je podzielać. Czy mam ci wyznać, że ta myśl jest obecnie moją najdroższą męczarnią! Ach, ta niegodziwa duma, która sprawia, iż wśród własnych nieszczęść szukamy pociechy w niedolach, które drudzy przez nas cierpią! Och, ja zwyciężę to oporne serce, przyzwyczaję je do upokorzeń!

W tym celu głównie zgodziłam się wreszcie przyjąć w przyszły czwartek bolesne odwiedziny pana de Valmont. W tym dniu usłyszę z własnych jego ust, że nie jestem mu już niczym, że wrażenie słabe i przelotne, jakie uczyniłam na nim, zupełnie się już zatarło! Wzrok jego spoczywać będzie na mnie bez wzruszenia, podczas gdy ja, z obawy zdradzenia się, będę musiała oczy kierować ku ziemi. Te listy, których odmawiał tak długo moim tylokrotnym prośbom, otrzymam z powrotem dzięki jego zobojętnieniu; zwróci mi je jak przedmioty zbyteczne i bez wartości; i moje drżące ręce, przyjmując ten upokarzający depozyt, będą czuły, że zwraca go im ręka spokojna i pewna! Wreszcie ujrzę, jak się oddala... na zawsze! I moje spojrzenia, które pobiegną za nim, nie spotkają jego spojrzeń, odwracających się ku mnie!

I mnie było przeznaczone tyle upokorzenia! Och, niechaj ono przynajmniej obróci się na pożytek, przenikając mnie do głębi poczuciem mej słabości... Tak, te listy, o które on nie dba już więcej, ja je przechowam z całą pieczołowitością. Nałożę sobie wstyd odczytywania ich co dzień, dopóki lzy nie wytrą z nich ostatniego śladu; jego zaś listy spalę jako truciznę niebezpieczną, która skaziła moją duszę. Och, i czymże jest miłość, jeżeli każe nam żałować nawet niebezpieczeństw, jakimi nam zagraża; jeżeli trzeba się jej obawiać dla siebie wówczas jeszcze, kiedy się jej już nie budzi! Uchodźmy przed tą złowrogą namiętnością, która zostawia jedynie wybór pomiędzy hańbą a nieszczęściem, a często nawet jednoczy je oboje; niech mi bodaj opamiętanie zastąpi miejsce cnoty.

Jakże ten czwartek jest jeszcze daleko! Czemuż nie mogę spełnić natychmiast tego bolesnego poświęcenia i pogrzebać w niepamięci jego przyczynę i przedmiot zarazem! Drażnią mnie te odwiedziny; żałuję, iż na nie zezwoliłam. I po cóż jemu widzieć mnie jeszcze? Czymże jesteśmy teraz jedno dla drugiego? Jeżeli mnie obraził, przebaczam mu. Winszuję nawet, iż pragnie naprawić swoje błędy; pochwalam mu to. Uczynię więcej, będę go naśladować; i ja popadłam w te same zbłąkania: przykład jego mnie nawróci. Ale skoro jego zamiarem jest uciec przede mną, i po cóż szuka mnie jeszcze? Czyż nie powinniśmy dążyć, aby jak najrychlej zapomnieć jedno o drugim? Och, tak! To będzie teraz moim jedynym staraniem.

Jeżeli pozwolisz, droga przyjaciółko, to do ciebie pospieszę, aby się oddać temu trudnemu zadaniu. Jeżeli będę potrzebowała pomocy, może nawet pociechy, pragnę otrzymać je tylko od ciebie. Ty jedna umiesz zrozumieć mnie i przemawiać do mego serca. Twoja droga przyjaźń wypełni całe me istnienie. Będę ci winna mój spokój, szczęście, cnotę; a owocem twej dobroci dla mnie będzie to, iż uczynisz mnie jej godną.

Zdaje mi się, że w czasie pisania tego listu serce moje niejednokrotnie poniosło mnie na bezdroża; przypuszczam to przynajmniej po wzruszeniu, jakie towarzyszyło mi w czasie pisania. Jeżeli znajdziesz w mym liście jakie uczucia, za które bym się powinna rumienić, osłoń je twoją pobłażliwą przyjaźnią; odwołuję się do niej w zupełności. Nie tobie, pani, pragnę ukrywać by najmniejsze<sup>14</sup> drgnienia mego serca.

Bądź zdrowa, czcigodna przyjaciółko. Mam nadzieję, że za niewiele dni oznajmię ci dzień mego przybycia.

*Paryż, 25 października 17\*\**

<sup>14</sup>by najmniejsze — tu: choćby najmniejsze. [przypis edytorski]

# CZĘŚĆ CZWARTA

## LIST CXXV

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

A więc nareszcie zwyciężyłem tę dumną kobietę, która śmiała mniemać, iż mnie zdoła się opierać! Tak, droga przyjaciółko, jest moją, zupełnie moją; od wczoraj nie ma już prawa niczego mi odmówić.

Pozostają jeszcze nazbyt pod wrażeniem mego szczęścia, aby móc je ocenić: ale sam zdumiony jestem nieznanym czarem, jakiego doznałem. Czyżby to więc było prawdą, że cnota podnosi wartość kobiety nawet w chwili jej upadku? Nie; zostawmy starym piastunkom te niedorzeczne baśnie. Czyż nie spotyka się prawie wszędzie mniej lub więcej dobrze udanego oporu przy pierwszym tryumfie? A czyż znalazłem gdziekolwiek ten urok, o którym mówię? Nie jest to jednak mimo wszystko urok miłości; bowiem jakkolwiek miewałem niekiedy przy tej dziwnej kobiecie chwile roztkliwienia dość podobne do tego upokarzającego uczucia, zawsze umiałem je zwyciężyć i wrócić do moich zasad. Jeżeli nawet wczorajsza scena poniosła mnie, jak mi się zdaje, nieco dalej, niż się spodziewałem; jeżeli przez chwilę podzielał zamęt i upojenie, jakie obudziłem, to owo przemijające złudzenie byłoby się już obecnie rozwiało; a tymczasem urok trwa ciągle. Wyznaję, iż poddałbym się nawet z rozkoszą jego działaniu, gdyby mnie nie przejmował zarazem pewnym niepokojem. Czyżbym, w moim wieku, jak student jaki pozwolił powodować sobą jakimś uczuciu niezależnemu ode mnie i nieznanemu? Nie, trzeba przede wszystkim zwalczyć je i zbadać.

Może zresztą już odgadłem przyczynę. Podobam sobie przynajmniej w tej myśli i chciałbym, aby była prawdziwa.

Z tłumu kobiet, przy których spełniałem aż do tego dnia rolę i obowiązki kochanka, każda zdradzała co najmniej tyle ochoty oddania się, ile ja miałem chęci nakłonienia jej do tego: utarło się niemal nazywać świętoszkami te, które wychodziły jedynie do połowy drogi, w przeciwstawieniu do tylu innych, których wyzywająca obrona bardzo niedostatecznie osłaniała pierwsze kroki zachęty z ich strony.

Tutaj, przeciwnie, znalazłem pierwotne usposobienie dla mnie niekorzystne, umocnione jeszcze potem radami i oskarżeniami kobiety kierowanej nienawiścią, ale widzącej jasno; znalazłem wrodzoną trwożliwość i pełne delikatności uczucia wstydu; przywiązanie do cnoty płynące z zasad religijnych i mające za sobą dwa lata tryumfu; patrzyłem wreszcie na zadziwiające postęпки, natchnione tymi rozmaitymi pobudkami: postęпки, których jedynym celem było umknąć się moim zabiegom.

Nie jest to zatem, jak w moich innych przygodach, zwykła kapitulacja mniej albo więcej szlachetna i z której łatwiej jest korzystać niż wbijać się w pychę; to zwycięstwo zupełne, kupione uciążliwą walką i odniesione dzięki umiejętnym obrótom wojennym. Nic zatem dziwnego, że ten tryumf, który zawdzięczam tylko sobie, staje mi się tym cenniejszym; i nadmiar rozkoszy, jaką odczułem w chwili zwycięstwa i pod której czarem jeszcze pozostaję, jest jedynie słodkim wrażeniem poczucia swojej chwały. Trafia mi do przekonania ten sposób patrzenia na rzeczy: ratuje mnie od upokarzającej myśli, że mógłbym w jakimkolwiek względzie zawisłym być od niewolnicy, którą poddałem memu jarzmu; że nie posiadam w sobie samym pełni mego szczęścia i że władza sycenia mnie całą jego potęgą miałyby być dana tej a tej kobiecie, za wyłączeniem wszystkich innych.

Te budujące rozmyślenia będą miarodajne dla mego zachowania się w tej osobliwej przygodzie: możesz być pewna, że nie pozwolę się spętać w ten sposób, abym nie mógł w każdej chwili skruszyć tych nowych kajdanów<sup>15</sup>, wedle mojej dobrej woli i ochoty. Ale oto już mówię ci o zerwaniu, a ty nie wiesz jeszcze, w jaki sposób nabyłem praw do niego; słuchaj zatem: zwracałem tak baczną uwagę i na własne słowa, i na odpowiedzi, z jakimi się spotykały, że mam nadzieję odmalować ci całą scenkę z należyłą dokładnością.

<sup>15</sup>kajdanów — dziś popr. D.lm: kajdan. [przypis edytorski]



Zobaczysz z dwóch kopii listów, które dołączam, jakiego pośrednika obrałem sobie, aby się zbliżyć do mojej piękności, i jak gorliwie świątobliwa osobistość zabrała się do tego, ażeby nas połączyć. Trzeba ci jeszcze wiedzieć — o czym ja dowiedziałem się z listu przejętego wedle zwyczaju — że obawa połączona z upokorzeniem, iż mogłaby być opuszczoną, zaburzyła nieco roztropność surowej nabożnisi; zarazem włożyła w jej serce i główkę uczucia i myśli, które, mimo iż pozbawione wszelkiego zdrowego sensu, niemniej były wcale interesujące. Po tych to wstępnych czynnościach, o których musiałem cię powiadomić, wczoraj, we czwartek dnia 28, w dniu obranym i naznaczonym przez moją niewdzięczną, zjawiłem się u niej jako niewolnik nieśmiały i pełen skruchy, aby opuścić dom jako uwieczony zwycięzca.

Była godzina szósta wieczór, kiedy przybyłem do pięknej samotnicy, albowiem od czasu powrotu drzwi jej zamknięte były dla całego świata. Próbowano powstać, kiedy mnie oznajmiono; ale drżenie kolan nie pozwoliło jej utrzymać się w tej pozycji: musiała usiąść z powrotem. Służący krzątał się jeszcze chwilę po pokoju, czym pani de Tourvel zdawała się zniecierpliwiona. Zapełniliśmy tę chwilę wymianą zwykłych ceremonialnych grzeczności. Równocześnie, aby nic nie tracić z czasu, którego wszystkie momenty były cenne, rozejrzałem się dokładnie po całym pokoju; i już wówczas od razu naznaczyłem sobie okiem teren zwycięstwa. Nie byłbym mógł wymarzyć dogodniejszych okoliczności, w tym samym bowiem pokoju znajdowała się otomana. Ale zauważyłem również, że naprzeciw niej wisiał portret męża i obawiałem się, wyznając, aby z kobietą tak osobliwego kroju jedno spojrzenie skierowane przypadkowo w tę stronę nie zniszczyło doraźnie owocu tylu starań. Wreszcie zostaliśmy sami i przystąpiłem do rzeczy.

Zaznaczywszy w krótkich słowach, iż ojciec Anzelm musiał ją powiadomić o pobudkach mych odwiedzin, począłem się użalać na surowe postępowanie, którego byłem przedmiotem, przy czym położyłem szczególny nacisk na *wzgardę*, jaką mi okazano. Broniła się od tego, jak było do przewidzenia; przeprowadziłem tedy dowód, powołując się na jej początkową nieufność i obawę, na skandaliczną ucieczkę, na odmowę odpowiadania na moje listy, przyjmowania ich nawet etc. etc. Chciała mi na to odpowiedzieć; przerwałem jej; aby zaś złagodzić brutalność tego szorstkiego sposobu, osłoniłem go natychmiast za pomocą pochlebstwa. „Jeżeli tyle wdzięków — ciągnąłem — zrobiło na moim sercu wrażenie tak głębokie, tyle cnót wyrzyło się nie mniej głęboko w mej duszy. Wiedziony nieodpartym pragnieniem zbliżenia się do nich, odważyłem się mniemać, iż stałem się ich godnym. Nie wyrzucam ci pani, iż osądziłaś inaczej, ale nakładam sobie karę za moją omyłkę”. Ponieważ spotkałem się z pełnym zakłopotania milczeniem, ciągnąłem dalej: „Pragnąłem, pani, albo usprawiedliwić się w twoich oczach, albo uzyskać przebaczenie błędów, o jakie mnie pomawiasz; potrzebuję tego, aby bodaj dokończyć w spokoju dni, do których nie przywiązuję żadnej ceny, odkąd ty, pani, wzdragasz się być jedyną ich słodyczą”.

Tutaj próbowała odpowiedzieć. „Obowiązki moje nie pozwalały mi...”. Kłamstwo nie mogło jej przejść przez gardło; urwała. Zacząłem tedy tonem najgłębszej tkliwości. „Więc to prawda, że pani uciekłaś przede mną?” — „Ten wyjazd był konieczny”. — „I że oddalasz mnie od siebie?” — „Tak trzeba”. — „I na zawsze?” — „Tak powinnam”. Nie potrzebuję ci dodawać, że w czasie tej krótkiej rozmowy głos czulej świętoszki był zdławiony, zaś oczy nie śmiały podnieść się na mnie.

Uznałem, iż trzeba ożywić nieco tę przewlekającą się scenę: toteż podnosząc się z wyrazem żalu: „Stałość pani — rzekłem — przywraca mi siłę moich postanowień. Dobrze zatem, rozstaniemy się; rozstaniemy się nawet bardziej niż myślisz: będziesz mogła sobie do woli winażować twego dzieła”. Nieco zdziwiona tym tonem wymówki, chciała odpowiedzieć: „Postanowienie, jakie pan powziął” — rzekła... — „Jest jedynie wynikiem rozpaczy — odparłem z uniesieniem. — Chciałaś, ażebyś był nieszczęśliwym; dowiodę, że ci się to powiodło, nawet ponad twoje własne życzenia”. — „Pragnę pańskiego szczęścia” — odparła. Tu ton jej głosu zwiastował już bardzo silne poruszenie; toteż rzucając się do jej kolan i tym moim tonem dramatycznym, który znasz, markizo, wykrzyknąłem: „Ach, okrutna, czy może istnieć dla mnie szczęście, gdy ty go nie chcesz podzielać? Gdzież je znaleźć z dala od ciebie? Och, nigdy! Nigdy!”.

Wyznaję, że zapędzając się w ten sposób, wiele liczyłem na pomoc łez: ale czy to z nieusposobienia, czy też z przyczyny nieustannego napięcia uwagi, niepodobieństwem mi było rozpłakać się.

Na szczęście przypomniałem sobie, że aby zdobyć kobietę, każdy sposób jest równie dobry, i że pierwszy lepszy wielki gest wystarczy, aby wyrzucić na niej wrażenie głębokie i korzystne. Nadrobiłem tedy grozą to, w czym uczuciowość nie dopisała. W tym celu, zmieniając jedynie ton i siłę głosu, a zostając w tej samej pozycji, wykrzyknąłem: „Tak jest, przysięgam oto u stóp twoich, iż albo cię posiadę albo też zginę”. Gdym wymawiał te ostatnie słowa, spojrzenia nasze spotkały się. Nie wiem, czego trwożliwa istotka dopatrzyła się w moim wzroku, ale podniosła się z twarzą przerażoną i wymknęła się z ramion, którymi ją obejmowałem. Nie przytrzymałem jej, gdyż zauważyłem nieraz, że sceny rozpacz, wzięte ze zbyt górnego tonu, z chwilą gdy się nadto przewlekają, przechodzą w śmieszność lub też pozostawiają jedynie drogę do środków prawdziwie tragicznych, na którą nie miałem najmniejszego zamiaru wkroczyć. Zatem podczas gdy ona wymykała mi się z ramion, dodałem jedynie tonem niskim i posępnym, ale w ten sposób, aby mnie mogła usłyszeć: „A więc śmierć!”.

Podniosłem się wówczas i zachowując przez chwilę milczenie, rzuciłem na nią, jak gdyby przypadkiem, parę złowrogich spojrzeń, które mimo swego obłądnego pozoru były na wskroś przenikliwe i jasnowidzące. Jej postawa na w pół omdlała, przyspieszony oddech, skurcz wszystkich mięśni, ramiona drżące i na w pół wzniesione, wszystko to było dla mnie dostateczną oznaką, iż osiągnąłem pożądane wrażenie: ale ponieważ w miłości pierwszym warunkiem dojścia do celu jest, aby dwoje osób znalazło się blisko siebie, a zaś my znajdowaliśmy się wówczas dosyć daleko jedno od drugiego, trzeba było przede wszystkim się przybliżyć. Aby do tego doprowadzić, przeszedłem co rychlej do pozornego spokoju, aby złagodzić skutki mego gwałtownego wybuchu, nie osłabiając jego wrażenia.

Przejście moje było mniej więcej takie: „Jestem bardzo nieszczęśliwy. Chciałem żyć dla twego szczęścia i zakłóciłem je. Poświęcam się dla twego spokoju i również go zamącam”. Potem, siłąc się niby na spokój, ale z widocznym wysiłkiem: „Wybacz, pani, nie nawykłem do burz namiętności, nie umiem przeto panować nad ich wybuchem. Uniosłem się; źle uczyniłem: ale pomyśl, że to ostatni raz. Och, uspokój się, pani, uspokój się, błagam”. Zarazem podczas tego długiego przemówienia zbliżałem się nieznacznie. „Jeżeli pan chce, abym się uspokoiła — odparła spłoszona piękność — niech się pan sam stara być spokojniejszy”. — „Dobrze więc, przyrzekam to pani” — rzekłem. Po czym dodałem słabszym głosem: „Wysiłek ciężki, ale przynajmniej nie będzie zbyt długi. Ale — podjąłem natychmiast jakby na w pół przytomnie — przyszedłem tutaj, wszak prawda, aby pani zwrócić jej listy. Racz je odebrać, proszę. Niech się spełni i to bolesne poświęcenie: nie zostawiaj mi nic, co mogłoby osłabić mą odwagę”. Następnie dodałem, wyciągając z kieszeni cenny zbiorzek: „Oto zakład zwodniczy zapewnień twojej przyjaźni! Przywiązywał mnie do życia, odbierz go tedy. Sama zechciej dać znak, który ma mnie od ciebie oddalić na zawsze”.

Tutaj czuła kochanka poddała się najzupełniej poruszeniom tkliwego niepokoju. „Ależ, panie de Valmont, co panu jest? Co pan chce powiedzieć? Czyż krok, który czynisz dzisiaj, nie jest dobrowolny? Czy to nie jest owoc własnego pańskiego namysłu? Czyż nie pan sam zgodził się z koniecznym postanowieniem, które ja obrałam z poczucia obowiązku?” — „A zatem — odparłem — to postanowienie rozstrzygnęło o moim”. — „I jakież ono?” — „Jedyne, które może, rozdzielając mnie z tobą, położyć koniec mym cierpieniom”. — „Ale niech mi pan powie: co pan zamierza?”. Na to objąłem ją w ramiona, bez żadnego oporu z jej strony. Z tego zapomnienia o względach przyzwoitości mogłem wnioskować, jak bardzo musi być wzruszona: wykrzyknąłem tedy, ryzykując ten nowy wybuch uniesienia: „Kobieto anielska, ty nie masz żadnego pojęcia o miłości, jaką mam dla ciebie; nie dowiesz się nigdy, do jakiego stopnia byłaś ubóstwiana i o ile to uczucie było mi droższym niż własne me istnienie! Oby dni twoje mogły ci spłynąć szczęśliwie i spokojnie; oby mogło je ozłocić całe szczęście, z którego mnie odarłaś! Odplać przynajmniej to szczere życzenie jednym westchnieniem, jedną łzą i wierz mi, że to ostatnie z poświęceń nie będzie najcięższe dla mego serca. Żegnaj cię”.

Podczas gdy tak mówiłem, czułem, że serce jej bije coraz gwałtowniej, śledziłem, jak się twarz mieni, widziałem zwłaszcza łzy, które ją dławiły, dobywając się z oczu jedynie

skąpo i z trudnością. Wówczas dopiero spróbowałem udać, że się chcę oddalić; na co ona wstrzymując mnie z siłą, wykrzyknęła żywo „Nie, wysłuchaj mnie wprzód”. — „Puść mnie pani” — odparłem. — „Wysłuchaj mnie, ja żądam”. — „Trzeba uciekać od ciebie, trzeba!” — „Nie!” — wykrzyknęła. Przy tym ostatnim słowie rzuciła się lub raczej padła zemdlona w moje ramiona. Ponieważ wątpilem jeszcze o tak szczęśliwym wyniku, udałem wielkie przerażenie, ale zarazem, ciągle zdradzając oznaki przerażenia, zaprowadziłem ją lub raczej zaniósłem na pole mej chwały. Jakoż w istocie przyszła do siebie dopiero zupełnie ujarzmiona i już stawszy się łupem szczęśliwego zwycięzcy.

Aż dotąd, piękna przyjaciółko, mogłaś, jak sądzę, stwierdzić z uznaniem i przyjemnością wzorową czystość metody w moim postępowaniu. Przyznasz, że w niczym nie oddaliłem się od klasycznych zasad tej wojny, w której nieraz, rozmawiając o tym, zauważyliśmy tyle podobieństwa do prawdziwej. Sądź mnie przeto tak, jakby to czynił Tureniusz lub Fryderyk. Zmusiłem do bitwy przeciwnika, który chciał jedynie zwlekać, unikając stanowczej rozprawy; zapewniłem sobie przez umiejętne obroty wybór terenu i warunków walki; zdołałem uspić czujność nieprzyjaciela, aby go osiągnąć łatwiej w jego szanach; następnie umiałem przejąć go postrachem, zanim przyszło do spotkania. Jeżeli zdałem się w czym na los przypadku, to jedynie wówczas, gdy miałem widoki wielkich korzyści w razie powodzenia, a pewność dalszych posiłków w razie porażki; wreszcie wydałem bitwę jedynie po zapewnieniu sobie odwrotu dającego możność zabezpieczenia i zachowania wszystkiego, co zdobyłem poprzednio. To, zdaje mi się, wszystko, co można uczynić; ale lękam się obecnie, iż rozmiękleń jak Hannibal w rozkoszach Kapui. Oto co zaszło od tej chwili.

Byłem przygotowany na to, że tak doniosły wypadek nie obędzie się bez łez i bez przyjętej w takich wypadkach rozpacz: tutaj natomiast zauważyłem raczej przewagę pewnego zawstyżenia i jakby skupionej powagi. Jedno i drugie tłumaczyłem sobie stanem, w jakim się znajdowała moja bogobojna pani; toteż nie zaprzatając się tymi drobnymi różnicami, które uważałem za czysto okolicznościowe, chciałem po prostu kroczyć wielkim gościńcem pocieszeń, przekonany, że, jak się to dzieje zazwyczaj, jeden czyn zdziała więcej niż wszystkie perswazje, których jednak również nie zaniedbywałem. Ale napotkałem na opór istotnie przerażający, nie tyle jeszcze przez swoją gwałtowność, co przez formę, w jakiej się objawił.

Wyobraź sobie kobietę siedzącą całą zeszywniałą, o twarzy zupełnie nieruchomej; robiącą wrażenie, iż nie myśli, nie słyszy, nie rozumie: jedynie z oczu utkwionych w jeden punkt wypływają łzy dość obfite i ciekące jakby bezwiednie. Taką była pani de Tourvel podczas moich przemówień; zaś gdy próbowałem ściągnąć na siebie jej uwagę jakąś pieszczotą, gestem nawet najniewinniejszym, miejsce pierwotnej martwoty zajęły natychmiast objawy przerażenia, spazmy, konwulsje, szloch i od czasu do czasu bezładne okrzyki.

Te napady powtórzyły się kilka razy i coraz to silniejsze; ostatni był nawet tak gwałtowny, że byłem już bliski zupełnego zniechęcenia i zaczynałem przez chwilę myśleć, iż odniosłem najzupełniej jałowe i bezpożyteczne zwycięstwo. Próbowałem się chwycić wszelkich przyjętych w tych wypadkach ogólników, w których liczbie znalazł się i ten frazes: „Więc to cię przyprawia o taką rozpacz, iż dałaś mi szczęście?”. Na to słowo, czarująca kobieta obróciła się ku mnie i twarz jej, jakkolwiek jeszcze nieco błędna, przybrała znowu swój niebiański wyraz. „Pańskie szczęście!” — rzekła. Domyślasz się mej odpowiedzi. „Więc jesteś szczęśliwy?”. Podwoiłem moje zapewnienia. „I szczęśliwy przeze mnie!”. Dorzuciłem jeszcze słów zachwyty i tkliwego gruchania. Podczas gdy mówiłem do niej, członki jej straciły dotychczasową sztywność, osunęła się miękko w głąb fotelu i nie broniąc mi ręki, którą ośmieliłem się ująć, rzekła: „Czuję, że ta myśl pociesza mnie i przynosi ulgę”.

Pojmujesz, że w ten sposób odnalazłszy wreszcie drogę, nie opuściłem jej już więcej; była to w istocie droga dobra i może jedyna. I tak, kiedy chciałem pokusić się o drugie zwycięstwo, spotkałem się zrazu z pewnym oporem (zaś to, na co patrzyłem przed chwilą, uczyniło mnie ogłędnym): ale, przywoławszy na pomoc tę samą myśl o *moim szczęściu*, odczułem wkrótce jej zbawienne skutki: „Masz słuszność — rzekła mi tkliwa istota — odtąd mogę znosić istnienie moje jedynie o tyle, o ile może ono się zdać dla twojego szczęścia. Poświęcam się jemu w zupełności: od tej chwili oddaję ci się i nie doświadczysz z mej strony ani odmowy, ani żalu”. Z tą prostotą, naiwną czy też wzniosłą, wydała mi swą

osobę i wdzięki i zdwoiła wartość mego szczęścia, dzielając je wraz ze mną. Upojenie było zupełne i obustronne; po raz pierwszy w życiu przetrwało ono u mnie dłużej niż chwila rozkoszy. Wysunąłem się z jej ramion jedynie po to, aby upaść do kolan, aby przysiąc wieczystą miłość, i muszę wyznać, w tej chwili wierzyłem w to, co mówiłem. Słowem, nawet kiedyśmy się rozstali, myśl o niej nie opuszczała mnie i trzeba mi było bardzo pracować nad sobą, aby się z niej oswobodzić.

Ach, czemuż nie ma cię tutaj, aby zrównoważyć urok mego zwycięstwa urokiem nagrody? Ale nie stracę nic na oczekiwaniu, nieprawdaż? Mam nadzieję, iż mogę uważać jako przyjęty ten piękny układ, jaki proponowałem ci w ostatnim liście? Widzisz, że dotrzymuję słowa i że, jak ci przyrzekłem, uporałem się z moimi sprawami na tyle, abym ci mógł poświęcić nieco czasu. Spiesz się tedy co rychlej odprawić twego nudnego Belle-roche'a i daj pokój słodkawemu Dancenemu, aby się zająć jedynie mną. Ale co ty tam robisz na tej wsi, że nie odpowiadasz mi nawet? Czy wiesz, że miałbym ochotę wyklócić się z tobą? Ale szczęście czyni wyrozumiałym. A przy tym nie zapominam, że stając na nowo w rzędzie twoich kornych wielbicieli, winien jestem poddać się z konieczności, markizo, twoim kaprysom i kaprysiom. Pamiętaj jednak, iż nowy kochanek nie chce nic stracić z dawnego przyjaciela. Do widzenia, jak niegdyś... *Tak, do widzenia, aniele mój: ślę ci najtkliwsze, najgorętsze pocałunki miłości.*

PS Czy wiesz, że Prévau, odsiedziawszy miesiąc więzienia, zmuszony był wystąpić z pułku? Cały Paryż powtarza sobie tę nowinę. Trzeba przyznać, że srogo został ukarany za winę, której nie popełnił, i że tryumf twój jest zupełny!

*Paryż, 29 października 17\*\**

## LIST CXXVI

*Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel*

Byłabym ci odpowiedziała wcześniej, moje miłe dziecko, gdyby utrudzenie ostatnim listem nie wróciło mi moich dolegliwości, co znowu pozbawiło mnie na cały szereg dni używania ramienia. Spieszno mi było podziękować ci za dobre wiadomości, jakich udzieliłaś mi o moim siostrzeńcu, i nie mniej spieszenie pragnęłam ci złożyć, co się Ciebie tyczy, serdeczne powinszowania. Trzeba w istocie uznać tutaj działanie Opatrzności, która poruszając serce jego, ocaliła zarazem Ciebie. Tak, droga ślicznotko, Bóg, który pragnął Cię tylko doświadczyć, przyszedł ci z pomocą w chwili, gdy siły twoje były już wyczerpane; i mimo twego nieśmiałego szemrania, winna Mu jesteś za to niemałą podziękę. Czuję to bardzo dobrze, iż milej by ci było, gdyby postanowienie to przyszło tobie pierwszej, zaś aby krok Valmonta był jedynie jego następstwem; zdaje mi się nawet, mówiąc po ludzku, że prawa naszej płci byłyby w ten sposób lepiej zachowane, a my tych praw, broń Boże, nie lubimy się wyrzekać! Ale czymże są te drobne względy wobec ważnego celu, który został osiągnięty? Czyż zdarza się, aby tonący, który ocalił się z rozbicia, uskarżał się na to, iż nie zostawiono mu wyboru środków ratunku?

Przekonasz się wkrótce, droga moja córko, iż cierpienia, których się obawiasz, pofolgują same przez się; a gdyby nawet miały trwać wiecznie i w całej sile, nie mniej będziesz czuła, że jeszcze łżejsze są one do zniesienia niż wyrzuty za zbrodnię i wzgarda dla samej siebie. Na próżno byłabym mówiła do Ciebie wcześniej z tak otwartą surowością; miłość to jest uczucie niezależne od nas, od którego roztropność może uchronić, ale którego nie zdołalaby zwalczyć i które, skoro raz się urodzi, umiera jedynie naturalną śmiercią albo też zdławione absolutnym brakiem nadziei. To właśnie, iż obecnie znajdujesz się w tym położeniu, daje mi odwagę i prawo powiedzenia ci otwarcie mego zdania. Okrucieństwem jest przerażać beznadziejnie chorego, któremu przydać się mogą jedynie słowa pociechy i środki uśmierające: ale obowiązkiem roztropności jest oświecać kogoś, kto wraca do zdrowia, co do niebezpieczeństw, na jakie był narażony, aby go natchnąć potrzebną rozwagą i posłuszeństwem dla wskazówek, jakie mogą mu być jeszcze pożyteczne.

Skoro mnie obrałaś za swego lekarza, jako taki zatem do Ciebie przemawiam i mówię ci, że drobne dolegliwości, jakich doświadczasz teraz, niczym są w porównaniu do strasz-

liwej choroby, z której masz oto pewność być uleczoną. Wreszcie, jako twoja przyjaciółka, jako przyjaciółka kobiety rozumnej i cnotliwej, pozwolę sobie dodać, że ta namiętność, która cię ujarzmiła, już tak nieszczęśliwa sama przez się, jeszcze groźniejszą była dla ciebie z przyczyny jej przedmiotu. Jeżeli mam wierzyć temu, co mi powiadają, mój siostrzeniec, którego, wyznaję, iż kocham może aż do słabości i który jednoczy w istocie wiele wartościowych przymiotów i powabów, nie jest ani zbyt bezpieczny dla kobiet, ani też bez winy względem nich i niemal tyleż rozkoszy sprawia mu uwodzić je, co gubić. Wierzę chętnie, iż zdołałabyś go odmienić: z pewnością nikt nie był tego godniejszy od ciebie; ale tyle innych ludziło się tym przekonaniem i wiara ich została zawiedziona, że wołę dla ciebie, iż nie jesteś zdana na taką pociechę. Zważ teraz, moje drogie dziecko, iż zamiast tylu niebezpieczeństw, na które byłabyś narażona, będziesz miała poza spokojem sumienia i własną spokojnością, zadowolenie, iż stałaś się główną przyczyną szczęśliwego nawrócenia Valmonta. Co do mnie, nie wątpię, iż to było w znacznej części dzieło twojego wytrwałego oporu i że chwila słabości z twojej strony byłaby utrwaliła mego siostrzeńca na zawsze na drodze złego. Miło mi jest w to uwierzyć i pragnę, abyś ty myślała tak samo; znajdziesz w tym pewną pociechę, ja zaś nową przyczynę, aby cię kochać tym więcej.

Oczekuję cię tutaj niebawem, moja miła córeczko, tak jak mi to oznajmiasz w twym liście. Przybądź, aby odnaleźć spokój i szczęście w tych samych miejscach, w których go utraciłaś: przybądź zwłaszcza cieszyć się wraz z twą tkliwą matką, iż tak szczęśliwie dotrzymałaś danego jej słowa, iż nie uczynisz nic, co by nie było godne jej i ciebie!

Z zamku \*\*\*, 30 października 17\*\*

## LIST CXXVII

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Jeżeli nie odpowiedziałam, wicehrabio, na twój list z 19-ego, to bynajmniej nie dla braku czasu, ale po prostu dlatego, że mnie zirytował i że wydał mi się pozbawiony zdrowego sensu. Sądziłam tedy, iż najlepiej uczynię, zostawiając ów list w zapomnieniu: ale skoro ty powracasz do niego, skoro zdajesz się obstawać przy pomysłach, jakie zawiera, a moje milczenie bierzesz za znak zgody, muszę ci powiedzieć jasno, co o tym mniemam.

Mogłam niekiedy mieć pretensję zastąpienia sama jedna całego seraju; ale nigdy mi nie przypadało do smaku stanowić jego część. Myślałam, że wiesz o tym. Przynajmniej teraz, kiedy już jesteś oświecony w tym względzie, będziesz mógł łatwo ocenić, jak bardzo twoja propozycja musiała mi się wydać śmieszna. Kto, ja? Ja miałabym poświęcić mój kaprys, i to w dodatku kaprys świeży jeszcze, aby zajmować się tobą? I to aby zajmować się jak? Czekać z kolei, i jako uległa niewolnica wspaniałej łaski waszej *wysokości*? Skoro, na przykład, zapragniesz się rozerwać na chwilę po tym *nieznanym uroku*, który *ubóstwiana, niebiańska* pani de Tourvel, jedyna spomiędzy wszystkich, dała ci poznać, lub kiedy będziesz się lękał skompromitować w oczach *pociągającej Cecylii* owo chlubne mniemanie, które tak rad byłbyś, aby zachowała o tobie: wówczas, zstępując do mnie, przyjdiesz tam szukać przyjemności mniej żywych, to prawda, ale za to nieobowiązujących; a twoje cenne chwile dobroci, jakkolwiek niezbyt obfite, wystarczą odtąd dla mojego szczęścia!

W istocie, bogaty jesteś w dobrą opinię o sobie samym: ale zdaje się, ja nie jestem dość uposażoną w skromność; gdyż na próżno się sobie przyglądam, nie mogę uznać, abym tak nisko już spadła. Może to jest wada u mnie; ale uprzedzam cię, że ja mam jeszcze i różne inne wady.

Mam zwłaszcza tę wadę, iż mniemam, że ów *uczniak, ów słodkawy Dancen*y, jedynie mną zajęty, poświęcający mi, bez szukania w tym chluby, pierwszą swą namiętność, zanim jeszcze została uwieńczona, i kochający mnie wiernie tak jak się kocha w jego wieku, mógłby, mimo swoich dwudziestu lat, pracować bardziej skutecznie od ciebie dla mego szczęścia i przyjemności. Pozwolę sobie nawet dodać, że gdyby mi przyszedł kaprys dodania mu pomocnika, to i tak nie byłbyś nim ty, przynajmniej na tę chwilę.

I dla jakiej przyczyny, gotówes mnie zapytać? Ależ przede wszystkim mogłoby nie być w ogóle żadnej: ten sam kaprys, który stałby się w danym razie przyczyną twego wyróż-

nienia, mógłby tak samo spowodować twą niełaszkę. Pragnę jednakże z prostej grzeczności wytłumaczyć ci moje pobudki. Zdaje mi się, że musiałbyś uczynić dla mnie zbyt wiele poświęceń; a ja, zamiast mieć dla ciebie wdzięczność, której niechybnie byś po mnie oczekiwał, byłabym zdolna mniemać, iż jeszcze mi się więcej od ciebie należy! Widzisz dobrze, że wobec takich różnic w sposobie myślenia nie możemy zbliżyć się do siebie również w innym sposobie; zarazem lękam się, że potrzebowałabym dużo czasu, ale to bardzo dużo, zanim bym odmieniła moje zapatrywania. Skoro się już poprawię, przyrzekam uwiadomić cię o tym. Aż do tej pory, wierzaj mi, znajdź sobie inne kombinacje i zachowaj swoje pocałunki; wszak tyle masz dla nich lepszych miejsc do ulokowania!

„Do widzenia, jak dawniej”, powiadasz? Ale dawniej, o ile mi się zdaje, nieco więcej przywiązywałeś do mnie wagi; nie przeznaczając mnie wyłącznie do grywania ról kompar-sów, a przede wszystkim raczyłeś czekać, aż ja powiem *tak*, nim byłeś pewny mej zgody. Pozwól zatem, że ja, zamiast powiedzieć również: „do widzenia, jak dawniej”, powiem ci: *do widzenia, jak teraz*.

Uniżona sługa twoja, panie wicehrabio.

Z zamku\*\*\*, 31 października 17\*\*

## LIST CXXVIII

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde*

Wczoraj dopiero otrzymałam, pani, twą spóźnioną odpowiedź. Byłaby mnie zabiła na miejscu, gdyby moje istnienie znajdowało się jeszcze we mnie: ale kto inny jest jego właścicielem; a tym innym jest pan de Valmont. Widzisz pani, że nic nie ukrywam przed tobą. Jeżeli masz mnie uznać za niegodną nadal twej przyjaźni, to i tak mniej dla mnie straszne byłoby utracić ją niż podejść. Wszystko, co mogę ci powiedzieć, to to, że zmuszona przez pana de Valmont do wyboru pomiędzy jego śmiercią albo jego szczęściem, przechyliłam się ku temu ostatniemu. Nie chępię się tym, ani się nie oskarżam: mówię po prostu, jak jest.

Odczujesz pani tedy z łatwością, jakie wrażenie musiał na mnie uczynić twój list i surowe prawdy, jakie zawiera. Nie sądz mimo to, że zdołał obudzić we mnie jakiś żal lub też aby mógł kiedykolwiek mnie skłonić do zmiany moich uczuć i postępowania. Prawda, przechodzę chwile wprost straszne: ale kiedy serce najbardziej się rozdziera, kiedy obawiam się, iż nie zdołam już znieść mych udręczeń, powiadam sobie: „Valmont jest szczęśliwy”; i wszystko znika wobec tej myśli lub raczej ona wszystko zmienia w rozkosz samą.

Twojemu siostrzeńcowi zatem poświęciłam istnienie; dla niego się zgubiłam. Stał się jedynym celem moich myśli, uczuć, postępów. Jak długo moje życie będzie potrzebne dla jego szczęścia, będzie ono dla mnie miało wartość i nie pozwolę sobie uskarżać się na nie. Skoro któregoś dnia on zmieni się w tym względzie... nie usłyszysz z mej strony ani skargi, ani wyrzutu. Odważyłam się już ogarnąć wzrokiem tę nieszczęsną chwilę i wiem, co wówczas należy mi uczynić.

Widzisz pani zatem, jak próżną jest twoja obawa, iż kiedyś panu de Valmont spodoba się może mnie zgubić: nim przyjdzie mu ta ochota, wprzód musi przestać mnie kochać, a wówczas czymże będą dla mnie *czcze* potępienia świata, których nie będę słyszała?

Oto, pani, otworzyłam ci na wskroś moje serce. Wolę utracić twój szacunek przez szczerość niż stać się go niegodną przez zohydzenie się kłamstwem. Sądziłam, iż winna ci jestem to zwierzenie za twą dawną dobroć dla mnie. Nie dodaję ani słowa więcej, aby nie zbudzić w tobie, pani, podejrzania, iż odważam się liczyć jeszcze na twą przyjaźń, podczas gdy ja, przeciwnie, wymierzam sobie sprawiedliwość, przestając rościć sobie do niej prawa.

Pozostaję z całym szacunkiem, pani, twą bardzo powolną i uniżoną sługą.

Paryż, 1 listopada 17\*\*

## LIST CXXIX

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Powiedz mi, proszę, piękna przyjaciółko, skąd może pochodzi ów ton cierpki i szyderczy, jaki panuje w twym ostatnim liście? Gdzież jest ta zbrodnia, której snadź dopuściłem się bezwiednie i która wprawia cię w takie rozdrażnienie? Wyrzucasz mi, iż popełniłem to zuchwalstwo, aby liczyć na twoją zgodę, zanim ją od ciebie uzyskałem: ale zdawało mi się, iż to, co mogłoby uchodzić za zarozumiałość u każdego innego, między nami dwojgiem oznacza tylko zaufanie: a od kiedyż to uczucie nie godzi się z przyjaźnią lub miłością? Wiem doskonale, iż obyczaj nałożył w takich razach obowiązek pełnego czci powątpiewania: ale ty w zamian wiesz dobrze, że to jedynie czczy formalność, zaś, o ile mi się zdaje, miałem prawo przypuszczać, że w naszym wypadku, te drobiazgowe ostrożności są już zbyteczne. Zdaje mi się nawet, że takie postępowanie szczerze i proste, kiedy się opiera na dawnych węzłach, o wiele więcej jest warte od mdłej czulostkowości, która tak często odejmuje wszelki smak miłości.

Oto jedyna wina, do której się poczuwam, bo nie wyobrażam sobie, abys mogła myśleć poważnie, by istniała jakaś kobieta na świecie, którą bym mógł przełożyć nad ciebie; a jeszcze mniej, abym mógł cię ocenić tak lekceważąco, jak ty to niby przypuszczasz, markizo. Powiadasz, iż przyjrzałaś się sobie i nie znalazłaś, abys miała już upaść tak nisko. Bardzo wierzę; to dowodzi tylko, że twoje zwierciadło jest wierne. Ale czy nie mogłabyś stąd wyciągnąć wniosku o wiele prostszego i prawdziwszego, to jest, że z pewnością i ja tak nie myślałem o tobie?

Szukam na próżno, czym dałem powód do tej dzikiej myśli. Zdaje mi się jednakże, że ona wiąże się mniej lub więcej blisko z pochwałami, jakie pozwoliłem sobie oddawać innym kobietom. Wnoszę to przynajmniej z tego nacisku, z jakim podkreślasz przydomki *czarująca, niebiańska, pociągająca*, którymi posłużyłem się, mówiąc do ciebie bądź to o pani de Tourvel, bądź o małej Volanges. Ale czy nie wiesz, że takie słowa, raczej na los szczęścia nasuwające się pod pióro aniżeli wybierane z rozmysłu, nie tyle wyrażają cenę, jaką się przywiązuje do osoby, ile stan, w jakim się znajduje, kiedy się mówi o niej? A jeżeli w tej samej chwili, w której byłem tak żywo podniecony myślą o jednej lub drugiej, mimo to pragnienia moje, zwrócone do ciebie, wcale nie ponosiły uszczerbku, jeżeli dawałem ci wyraźne pierwszeństwo nad obydwoma, nie zdaje mi się, ażeby w tym był tak wielki powód do obrazu.

Nie trudniej mi się będzie usprawiedliwić z *nieznanego czaru*, którym również wydasz mi się nieco podrażniona: gdyż przede wszystkim z tego, że jest nieznaną, nie wynika wcale, aby miał być najsilniejszy. Ach, i któż by zdołał zatrzeć w mej pamięci te rozkoszne upojenia, które ty jedna umiesz nasycać ciągle nowym i coraz to żywszym powabem! Chciałem więc powiedzieć tylko, że urok, jakiego doznałem w tym wypadku, był z rodzaju, którego dotychczas nie doświadczałem; nie miałem jednak przez to zamiaru oznaczać jego stopnia; zarazem dodałem, co powtarzam i dzisiaj, że mimo wszystko potrafię ten urok przemóc i zwyciężyć. Przyłożę się do tego z tym większą gorliwością, skoro w tym nieznacznym wysiłku będę widział sposobność oddania tobie nowego hołdu.

Co do małej Cesi, zdaje mi się zbytecznym mówić o niej. Pamiętasz chyba, że to na twoją prośbę zająłem się tym dzieckiem i że czekam jedynie twojego pozwolenia, aby się jej pozbyć z głowy. Mogłem zwrócić przelotną uwagę na jej naiwność i świeżość; mogła mi się nawet wydać przez chwilę *pociągającą*, ponieważ mniej albo więcej człowiek podoba sobie zawsze w swym dziele: ale z tym wszystkim nie jest ona dość wyraźnie zarysowana w żadnym kierunku, aby mogła w jakikolwiek sposób przywiązać do siebie.

A teraz, piękna przyjaciółko, odwołuję się do twej sprawiedliwości, do twoich dawnych względów dla mnie; do długiej i wypróbowanej przyjaźni, do zupełnej ufności, które z biegiem czasu zacieśniły nasze więzy: czy zasłużyłem na ten przykry ton z twej strony? Ale jakże ci łatwo będzie wynagrodzić mnie zań, skoro tylko zechcesz! Powiedz jedno słowo, a zobaczysz, czy wszystkie czary, uroki, przywiązania zatrzymają mnie tutaj nie jeden dzień, ale jedną minutę. Polecę do twoich stóp i w twoje ramiona i dowiodę ci tysiąc razy i na tysiąc sposobów, że jesteś, że będziesz zawsze prawdziwą panią mego serca.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; oczekuję z niecierpliwością twej odpowiedzi.

*Paryż, 3 listopada 17\*\**

## LIST CXXX

*Pani de Rosemonde do prezydentowej de Tourvel*

I czemuż to, drogie moje dziecko, nie chcesz już być moją córką? Czemu dajesz mi do zrozumienia, iż masz zamiar poniechać wszelkiej między nami styczności? Czy aby mnie ukarać, iż nie odgadłam tego, co było przeciwne wszelkiemu prawdopodobieństwu? Czy podejrzewasz mnie, że ci zrobiłam przykrość umyślnie? Nie, znam zbyt dobrze twe serce, aby przypuszczać, iż ono tak myśli o moim.

O moja młoda przyjaciółko! Z boleścią mówię ci te słowa; ale o wiele za bardzo godna jesteś kochania, aby kiedykolwiek miłość mogła cię uczynić szczęśliwą. Ach, któraż kobieta naprawdę szlachetna i tkliwa znalazła co innego prócz samej niedoli w tym właśnie uczuciu, tak bogatym w obietnice szczęścia! Czyż mężczyźni umieją ocenić kobietę, którą posiadają?

Prawda, zdarzają się między nimi ludzie uczciwi w postępkach i stali w uczuciu: ale pomiędzy tymi nawet jakże niewiele umie się dostroić zgodnie do naszego serca! Nie sądzę, moje drogie dziecię, iżby ich miłość podobna była do naszej. Prawda, doświadczają tych samych upojęń; nieraz nawet wkładają w nie więcej porywu: ale nie znają tej czujnej tkliwości, tej delikatnej troski, które są w nas pobudką owych starań czułych i nieustannych, a których jedynym celem jest zawsze kochana istota. Mężczyzna poi się szczęściem, które odczuwa, zaś kobieta szczęściem, które daje. Ta różnica, tak zasadnicza, a tak mało brana w rachubę, wpływa jednak w bardzo wyraźny sposób na całość wzajemnego stosunku. Szczęściem jednej strony jest zaspakajając swoje pragnienia, drugiej przede wszystkim budzić je. Podobać się jest dla mężczyzny jedynie środkiem tryumfu, podczas gdy dla kobiety to jest tryumfem samo przez się. Zalotność sama, z której tak często robi się zarzut kobietom, nie jest niczym innym, jak tylko nadużyciem tego sposobu odczuwania i tym samym dowodzi jego rzeczywistości. Wreszcie ta wyłączność w pociągu zmysłów, która jest tak znamiennej dla miłości, u mężczyzny rozstrzyga jedynie o *stopniu* przyjemności, którą inny przedmiot uczyniłby może słabszą, ale by jej nie zniweczył; podczas gdy u kobiet jest to uczucie głębokie, które nie tylko unicestwia każde inne pragnienie, ale które, silniejsze od natury samej i wyzwolone spod jej władzy, każe im doświadczać jedynie odrazy i wstrętu tam nawet, gdzie — zdawałoby się — powinna by się rodzic rozkosz.

Mniemałam, drogie dziecko, że może z pożytkiem dla ciebie będzie przeciwstawić te rozważania owym złudnym wyobrażeniom o doskonałym szczęściu, którym miłość nigdy nie omieszka mamie naszej wyobraźni. Łagodzić twoje zgryzoty lub zmniejszyć ich liczbę — oto jedyne zadanie, jakie chcę, jakie mogę wypełnić w tej chwili. W cierpieniach bez lekarstwa rady mogą odnosić się jedynie co do sposobu zachowania się. O to cię proszę jedynie, abys pamiętała, iż ubolewać nad chorym, to nie znaczy potępiać go. I kimże my jesteśmy, abyśmy mieli potępiać jedni drugich? Zostawmy prawo sądenia Temu jedynie, który czyta w naszych sercach; śmiem nawet wierzyć, że w jego ojcowskich oczach mnogość cnót może okupić jedną chwilę zbłąkania.

Ale zaklinam cię, droga przyjaciółko, strzeż się przede wszystkim tych gwałtownych postanowień, które nie tyle są oznakami siły, jak raczej zupełnego ich upadku: nie zapomnij, że czyniąc kogo innego właścicielem twego istnienia — aby się posłużyć twoim wyrażeniem — nie mogłaś mimo to wyzuć twoich przyjaciół z cząstki, którą posiadali przedtem i o którą nie przestaną się upominać.

Do widzenia, droga córko, pomyśl niekiedy o twej tkliwej matce i bądź pewna, że będziesz zawsze i ponad wszystko przedmiotem jej najtkliwszych myśli.

*Z zamku \*\*\*, 4 listopada 17\*\**



## LIST CXXXI

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Odebrałam twój list, wicehrabio, i tym razem bardziej jestem zadowolona z ciebie niż poprzednio. Ale teraz pomówmy po przyjacielsku, a mam nadzieję przekonać cię, że zarówno dla ciebie jak i dla mnie ten obrót rzeczy, którego zdajesz się pragnąć byłby prawdziwym szaleństwem.

Czy nie zauważyłeś jeszcze, że przyjemność, która w istocie jest jedyną pobudką zbliżenia się dwóch płci, nie wystarcza jednak, aby zadzierzgnąć węzeł między nimi i że po chwili rozkoszy wywołuje niechybny przesyty połączonej z niesmakiem? To jest prawo natury, które jedynie miłość może zmienić; a czyliż można wzbudzić w sobie miłość na zawołanie? Potrzebę jej czuje się mimo to ciągle: i byłby to w istocie bardzo ciężki stan rzeczy, gdyby się nie spostrzeżono na szczęście, że wystarcza, jeżeli ona istnieje z jednej strony. Trudność zmniejszyła się przez to do połowy; i nawet bez wielkiej dla kogokolwiek szkody zazwyczaj dzieje się tak, iż jedna strona syci się szczęściem kochania, druga przyjemnością budzenia miłości. Ta druga rozkosz jest nieco mniej żywa, to prawda, ale przylączy się do niej przyjemność oszukiwania, co równoważy obie szale i wszystko jakoś się układa.

Ale powiedz mi, wicehrabio, kto z nas dwojga podejmie się okłamywać drugą stronę? Znasz historię o tych dwóch hultajach, którzy poznali się na sobie przy grze w karty: „Nie zrobimy tu nic — powiedzieli — zapłaćmy karty po połowie”. I wstali od partii. Idźmy, wierząc mi, za tym samym przykładem i nie traćmy ze sobą czasu, który możemy tak dobrze spożytkować gdzie indziej.

Aby ci udowodnić, że chodzi mi tutaj zarówno o twoje dobro, jak o moje własne, że nie działam pod wpływem urazy ani kaprysu, nie odmawiam ci wręcz umówionej między nami ceny: czuję doskonale, że na jeden wieczór wystarczemy sobie jeszcze; nie wątpię nawet, że potrafimy wypełnić go dość mile, aby patrzeć z żalem na to, iż ma on swój koniec. Ale nie zapominajmy, że ten żal właśnie niezbędny jest dla szczęścia i choćby najbardziej słodkim miało być nasze złudzenie, nie próbujmy wierzyć, że mogłoby ono być trwałym.

Widzisz więc, że i ja także dotrzymuję słowa, i to nawet nie formalizując się zgoła: bo pamiętasz wszakże, że powinnam była dostać jako dowód pierwszy list twojej skromnisi.

A teraz, wicehrabio, jedna prośba i to zarówno w twoim, jak w moim własnym interesie; a mianowicie abys zechciał odłożyć chwilę, której pragnę nie mniej może od ciebie, aż do mego powrotu do miasta. Z jednej strony, nie mielibyśmy tutaj potrzebnej swobody; z drugiej, narażałoby mnie to na pewne niebezpieczeństwo; bowiem trzeba by jeno odrobiny zazdrości, aby przywiązać do mnie na nowo tego oplakanego Belleroche'a, który, jak teraz, trzyma się już tylko na włosku. Dobywa już ostatniego tchu, aby mnie kochać; tak iż obecnie w pieszczoty, którymi go przekarmiam, wkładam tyleż złośliwości co wyrachowania. Widzisz tedy, że nie miałabym sposobności uczynić dla ciebie żadnego poświęcenia! Obustronna niewierność doda naszemu kaprysowi o wiele więcej uroku.

Czy ty wiesz, że niekiedy żałuję z tym wszystkim, iż jesteśmy skazani na szukanie takich środków! W czasie, kiedyśmy się kochali, bo zdaje mi się, że to była miłość, byłam szczęśliwa; a ty, wicehrabio!... Ale po cóż zaprzętać myśl szczęściem, które nie może powrócić? Nie, mów co chcesz, mój drogi, taki powrót jest niemożliwy. Przede wszystkim, wymagałabym ofiar, których z pewnością nie mógłbyś albo nie chciałbyś dla mnie uczynić, i których może nie jestem zresztą warta; a potem czyż ciebie zdoła kto trwale przywiązać do siebie?... Och, nie, nie, nie chcę nawet dopuszczać tej myśli; mimo przyjemności, jaką znajduję w tej chwili w pisaniu do ciebie, wolę raczej pożegnać się z tobą od razu.

Do widzenia, wicehrabio.

*Z zamku \*\*\*, 6 listopada 17\*\**

Miłość, Rozkosz, Kobieta,  
Mężczyzna

## LIST CXXXII

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde*

Wzruszona do głębi, pani, dobrocią twoją dla mnie, napawałabym się nią z całym oddaniem, gdyby nie powstrzymywała mnie poniekąd obawa sprofanowania tym samym twej łaski. W chwili gdy przyjaźń twoja jest mi tak cenną, czemuż muszę czuć równocześnie, że już przestałam jej być godną?

Toż samo mogę powiedzieć o twoich radach, pani: czuję ich całą wartość i nie jestem zdolna ich posłuchać. I jakżeżbym miała nie wierzyć w istnienie doskonałego szczęścia, skoro doznaję go w tej chwili? Tak, jeżeli mężczyźni są tacy, jak mi powiadasz, trzeba uciekać przed nimi, godni są jedynie wstrętu; ale jakże daleko wówczas Valmont stoi ponad nimi! Ileż on w swym uczuciu ma delikatności! O, moja przyjaciółko! Mówisz o podzieleniu moich zgryzot, ciesz się więc razem ze mną moim szczęściem. Kochasz swego siostrzeńca, mówisz, może z nadmierną słabością? Ach, gdybyś go znała jak ja! Ja kocham go bałwochwalczo: a i to jest o wiele mniej jeszcze, niż na to zasługuje. Zapewne, mógł dać się pociągnąć błędom świata, on sam to przyznaje; ale któż kiedy tak jak on znał wartość prawdziwej miłości? Cóż mogę ci powiedzieć więcej? Odczuwa ją tak, jak ją wzbudza.

Gotowa jesteś mniemać, że to jest jedna z owych zwodniczych chimer, *którymi miłość nie omieszka mieć naszej wyobraźni*: ale w takim razie czemuż miałby się on stać bardziej tkliwym, bardziej uważającym od chwili, gdy wszystko już uzyskał? Wyznaję, że przedtem budził we mnie wrażenie jakiegoś chłodu, jakiejś rozważi, tak iż często mimo woli nasuwały mi się na myśl owe fałszywe i okrutne pojęcia, jakie mi o nim wpojono. Ale od czasu, jak może się oddać bez hamulca porywom serca, zdaje się odgadywać wszystkie najszybsze pragnienia mej duszy. Kto wie, czy nie byliśmy zrodzeni jedno dla drugiego! Ach, jeśli to złudzenie, niechajże umrę, zanim ono przeminie.

Ale nie; chcę żyć, aby go kochać, aby go ubóstwiać. I czemuż miałby przestać mnie kochać? Jakaż inna kobieta mogłaby stać się przezeń szczęśliwszą ode mnie? Wszak czuję to sama po sobie, że szczęście, które się daje komuś drugiemu, jest najmocniejszym węzłem, jedynym, który wiąże prawdziwie. Tak, to rozkoszne uczucie uszlachetnia miłość, oczyszcza ją niejako i czyni ją naprawdę godną duszy tkliwej i szlachetnej jak dusza Valmonta.

Zegnam cię, droga, czcigodna, pobłażliwa przyjaciółko. Na próżno bym chciała pisać do ciebie dłużej: nadchodzi godzina, w której oczekuję jego i wszystka inna myśl znika mi z oczu. Daruj! Ale wszak ty chcesz mego szczęścia, a jest ono tak wielkie w tej chwili, że ledwie mnie całej starczy, by je odczuć.

*Paryż, 7 listopada 17\*\**

## LIST CXXXIII

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Jakież są, moja piękna przyjaciółko, te ofiary, których bym wedle ciebie nie uczynił, mimo iż nagrodą ich byłoby przypodobanie się tobie? I jakże ty mnie sądzisz od jakiegoś czasu, skoro nawet w chwili łaskawego dla mnie usposobienia powątpiewasz o moich uczuciach albo o mojej energii? Ofiary, których nie chciałbym albo nie mógłbym uczynić! Zatem uważasz może, iż jestem zakochany, ujarzmiony? Posądzasz mnie, iż wartość w moich oczach posiada nie samo zwycięstwo lecz osoba zwyciężonej? Nie! Dzięki niebu, nie upadłem jeszcze tak nisko i gotów jestem ci tego dowieść. Tak jest, dowiodę ci, choćby nawet pani de Tourvel miała paść ofiarą: wobec tego nie powinnaś chyba mieć wątpliwości.

Mogłem, jak sądzę, bez zhańbienia się poświęcić jakiś czas kobiecie, która w każdym razie posiada bodaj tę wartość, iż nie należy do przeciętnie spotykanego rodzaju. Kto

wie, czy fakt, iż przygoda ta wypadła na czas martwego sezonu, nie był przyczyną, iż poświęciłem się jej nieco więcej; i teraz jeszcze, kiedy życie w Paryżu na dobre jeszcze się nie zaczęło, nic dziwnego, że miłostka ta zajmuje mnie niemal w zupełności. Ale też pomyśl, że to zaledwie tydzień upływa, odkąd cieszę się owocem trzymiesięcznych zabiegów. Ileż razy dłużej trwałem w czymś, co było o wiele mniej warte i nie kosztowało mnie tyle!... a nigdy dlatego nie sądziłaś tak źle o mnie, markizo.

A przy tym, czy chcesz wiedzieć prawdziwą przyczynę mej wytrwałości? Więc ci powiem. Ta kobieta jest z natury nieśmiała, w pierwszych chwilach wątpiła nieustannie o swoim szczęściu i to wystarczało, aby utrzymywać ją w ciągłym niepokoju: tak iż obecnie dopiero zaczynam przekonywać się, dokąd idzie moja potęga w tym kierunku. Było dla mnie nader ciekawe zdać sobie sprawę z tego; zaś sposobność nie znachodzi się tak łatwo, jakby można mniemać.

Najpierw, dla wielu kobiet przyjemność to jest po prostu przyjemność i nic poza tym. Przy tych kobietach, mimo wszelkich pochlebnych tytułów, jakimi się nas zaszczycą, jesteśmy zawsze tylko wyrobnikami, prostymi wyrobnikami, których sprawność decyduje o całej ich wartości.

W drugiej klasie, być może najliczniejszej dzisiaj, rozgłos kochanka, zadowolenie, iż się go odebrało jakiejś rywalce, obawa postradania go z kolei na rzecz innej pochłaniają kobietę prawie w zupełności. W szczęściu, jakie jest jej udziałem, liczymy się za coś zapewne; ale na ogół zależy ono więcej od okoliczności niżeli od osoby. Czerpią je one przez nas, ale nie z nas.

Trzeba więc było znaleźć dla moich spostrzeżeń kobietę delikatną i czułą, która by mieściła całe życie swoje w miłości, zaś w miłości samej widziała jedynie swego kochanka; której wzruszenie miast kroczyć pospolitą drogą, jedynie z serca dostawałoby się do zmysłów. I tak widziałem ją na przykład (a nie mówię tu o pierwszym dniu), jak opuszczała objęcia rozkoszy cała we łzach, aby znów w chwilę później odnaleźć upojenie w jednym słowie, które odpowiedziało drgnieniu jej duszy. Wreszcie trzeba było, aby posiadała zarazem ową wrodzoną prostotę i szczerość, która jest u niej najzupełniej nieprzewyciężonym nałogiem, tak nawykła się jej poddawać, i która najmniejszego przejawu serca ukryć jej nie pozwala. Otóż zgodzisz się na to, markizo, takie kobiety są rzadkie; gdyby nie ta, sądzę, iż nigdy bym może nie spotkał tego typu.

Nie byłoby zatem nic dziwnego, gdyby mnie zatrzymała dłużej niżeli inna; zaś jeżeli studia, jakich chcę na niej dokonać, wymagają, abym uczynił ją szczęśliwą, zupełnie szczęśliwą, czemuż bym się od tego wzbraniał, zwłaszcza kiedy mi to nic nie szkodzi, przeciwnie! Ale z tego, że umysł jest czymś zajęty, czyż wynika, że serce jest w niewoli? Nie, z pewnością. Toteż mimo iż mam pełne prawo przywiązywać niejaką wartość do tej przygody, nie przeszkodzi mi to wcale gonić za innymi, lub nawet poświęcić ją dla jakiego przyjemniejszego spędzenia czasu.

Czuję się tak wolnym, że nie zaniedbałem nawet małej Volanges, na której przecież zależy mi dość mało. Matka powraca z nią do miasta za trzy dni; otóż już wczoraj zdołałem sobie zapewnić środki komunikacji: nieco pieniędzy wręczonych odźwiernemu, parę uprzejmości dla jego żony ubiły całą sprawę. Czy możesz pojąć, że Danceny nie umiał wpaść na ten sposób tak prosty? I mówią, że miłość czyni przemyślnym! Przeciwnie, oglupia tych, którymi owładnie. I ja nie miałbym się jej obronić! Ach, bądź spokojna! Już teraz, za niewiele dni zaczną osłabiać za pomocą takiego podziału wrażenie, może zbyt silne, jakiemu uległem; a jeżeli prosty podział nie wystarczy, postaram się jeszcze więcej się rozdrobnić.

Z tym wszystkim będę gotów zwrócić młodą pensjonarkę jej nieśmialemu kochankowi z chwilą, gdy ty uznasz to za stosowne. Zdaje mi się, że nie masz już przyczyn wstrzymać go od tego; ja zaś godzę się oddać tę znamienitą usługę poczciwemu Danceny'emu. Bodaj tyle należy mu się ode mnie za wszystko, co mu zawdzięczam. Obecnie przechodzi śmiertelne niepokoje, czy będzie przyjęty u pani de Volanges; uspakajam go jak mogę, zapewniając, że tym czy innym sposobem doprowadzę go do wrót raju od pierwszego dnia: tymczasem zaś ofiaruję się pośredniczyć w korespondencji, którą pragnie na nowo podjąć za przybyciem *swojej Cecylia*. Mam już sześć listów od niego i będę miał z pewnością jeszcze jeden lub dwa do tej nieszczęśliwej doby. Musi chłopak strasznie nic nie mieć do roboty!

Ale zostawmy tę parę dzieciaków i wróćmy do nas: niech mi będzie wolno zająć się wyłącznie nadzieją zawartą w twym ostatnim liście. Tak, z pewnością, ty potrafisz zmienić mnie we wzór stałości; nie przebaczyłbym ci, gdybyś miała o tym wątpić. Czyż ja zresztą kiedykolwiek okazałem się wobec ciebie niestałym? Nasze więzy zostały rozwiązane, ale nie zerwane, rzekome zerwanie było tylko omyłką wyobraźni: nasze uczucia, nasze istoty pozostały mimo wszystko złęczone. Podobny podróżnikowi, który wraca pełen rozczarowań, uznam jak on, że zostawiłem szczęście, aby biec za nadzieją, i powiem jak d'Harcourt:

Im więcej ziem zwiedziłem, tym droższą mi własna<sup>16</sup>.

Nie zwalczaj tedy już myśli, a raczej uczucia, które sprowadza cię do mnie; spróbowawszy w naszym pościgu, każde na własną rękę, wszystkich rodzajów rozkoszy, cieszymy się szczęśliwą świadomością, że żadna z nich nie da się przyrównać do tej, którą odnajdziemy znowu, stokroć słodsza jeszcze niż dawniej!

Do widzenia, uroczą przyjaciółko. Zgadzam się czekać twój powrotu: ale spiesz go, ile możesz i nie zapominaj, jak bardzo go pragnę.

*Paryż, 8 listopada 17\*\**

## LIST CXXXIV

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Doprawdy, wicehrabio, że jesteś jak dzieci, którym nie można nic powiedzieć i nic pokazać, żeby nie chciały zaraz za to chwytać! Ależ to była, ot, taka sobie myśl, która mi przeszła przez głowę! Zatrzymywać się nawet przy niej nie chcę, bo skoro ci tylko wspomnę o niej, ty zaraz tego nadużywasz, aby prowadzić mnie w tym kierunku, aby utrwać mi w tej myśli, podczas gdy ja chciałabym się raczej z niej wyzwolić. Czy to szlachetnie z twej strony kazać mi dźwigać samej całej ciężar rozsądku? Powtarzam ci znowu i sobie powtarzam jeszcze częściej, że układ, jaki mi proponujesz jest istotnie niemożliwy. Gdybyś ty nawet włożył weń całą dobrą wolę, jaką okazujesz w tej chwili, czy myślisz, że i ja nie mam także mojej dumy i że chciałabym przyjąć poświęcenia, które byś zrobił dla mnie kosztem własnego szczęścia?

Czyżbyś ty, wicehrabio, w istocie miał jakieś złudzenia co do uczuć, jakie cię wiążą do pani de Tourvel? Ależ to miłość albo też miłość w ogóle nie istniała nigdy: zaprzeczasz temu na sto sposobów, ale udowadniasz to na tysiąc. Cóż to znaczy, na przykład, to obieście, do jakiego uciekasz się względem samego siebie (ponieważ wobec mnie, przypuszczam, że jesteś szczery), a które każe ci rzekomą chęcią czynienia obserwacji tłumaczyć niepowściągniętą ochotę zatrzymania tej kobiety? Powiedziałby kto, że jeszcze nigdy nie uczyniłeś żadnej „szczęśliwą, zupełnie szczęśliwą”? Ach, jeżeli wątpisz o tym, bardzo masz słabą pamięć! Ale nie, to nie to. Po prostu serce twoje sprowadza na manowce twój umysł i każe mu się zadowalać byle jakimi racjami: ale ja, która mam tak wielki interes w tym, aby nie paść ofiarą omyłki, nie jestem tak łatwa do zaspokojenia.

Tak więc stwierdzając twą uprzejmość objawiającą się starannym usunięciem wszystkich słów, o których wyobrażałeś sobie, iż mi się nie podobały, spostrzegam jednak, że, może bezwiednie, nie mniej jednak zachowałeś te same pojęcia. Istotnie, nie ma już mowy o czarującej, niebiańskiej pani de Tourvel; ale jest *kobieta zdumiewająca, kobieta delikatna i czuła*, i to z odsądzeniem od tego wszystkich innych; *kobieta rzadka wreszcie i taka, że nie można by spotkać takiej drugiej*. Tak samo jest z tym czarem „nieznanym”, który nie jest *najbardziej silnym*. Niech i tak będzie: ale skoro nie znalazłeś go nigdzie aż dotąd, trzeba mocno wierzyć, iż nie znajdziesz go również w przyszłości: strata, którą byś poniósł, byłaby tedy nie do nagrodzenia. Albo to są, wicehrabio, oczywiste oznaki miłości, albo się trzeba wyrzec nadziei spotkania ich w ogóle na świecie.

<sup>16</sup>Im więcej (...) własna — Du Belloi, *Tragédie du Siège de Calais*. [przypis tłumacza]

Bądź pewien, że tym razem mówię bez żadnego podrażnienia. Przyrzekłam sobie, że już mu się nie dam unieść; zbyt dobrze poznałam, że mogłoby się stać dla mnie niebezpieczną zasadzką. Wierzaj mi, bądźmy tylko przyjaciółmi i poprzestańmy na tym. Oceń moją siłę woli, wicehrabio; niekiedy trzeba jej nawet do tego, aby nie powziąć postanowienia, które uważa się za zgubne.

Zatem już tylko po to, aby cię drogą przekonywania doprowadzić do zgody na moje poglądy, odpowiem na pytanie, jakie mi stawiasz odnośnie do ofiar, których bym wymagała, a których byś ty nie mógł uczynić. Posługując się z rozmysłem tym słowem *wymagała*, ponieważ jestem aż nadto pewna, że za chwilę znajdziesz mnie w istocie zbyt wymagającą: ale tym lepiej! Nie tylko nie pogniewam się za odmowę, ale podziękuję ci za nią. Ot, powiem ci wprost (z tobą nie będę przecież grała w ślepą babkę), że potrzebowałabym tego.

Wymagałabym tedy — patrz, co za okrucieństwo! — aby ta *rzadka*, ta *zdumiewająca* pani de Tourvel stała się jedynie kobietą zwyczajną, kobietą taką, jaką jest po prostu: bowiem nie trzeba się ludzić: ten czar, jakiemu ulega się niekiedy, istnieje tylko w nas samych: miłość to jedynie upiększa tyle przedmiot ukochania. Mimo całej niemożliwości mego żądania, uczyniłbyś może ten wysilek nad sobą, aby mi to przyrzec, przysiąc nawet, ale, wyznając, nie umiałabym wierzyć pustym słowom. Mogłabym być przekonaną jedynie całokształtem twojego postępowania.

To nie wszystko jeszcze: ja mam i swoje kaprysy. To wyrzeczenie się dla mnie malej Cesi, którą ofiarujesz mi z taką gotowością, wcale mi nie dogadza. Prosiłabym cię, przeciwnie, abyś ciągnął dalej tę uciążliwą służbę, aż do nowych rozkazów z mej strony. Tłumacz to sobie jak chcesz: czy to że lubię w ten sposób nadużywać mej władzy, czy też że w mojej wspaniałomyślności zadowalam się poświęceniem mi twoich uczuć, nie pragnąc odzierać cię z twoich przyjemności. Tak czy tak, żądałabym z twej strony absolutnego posłuszeństwa.

W zamian za to poczułabym się może wówczas do obowiązku podziękowania ci; kto wie? Może nawet pomyślałabym o nagrodzie. To pewna, na przykład, że skróciłabym czas mej nieobecności, która stałaby mi się nie do zniesienia. Ujrzałabym cię nareszcie, wicehrabio, i ujrzałabym... jak?... Ale ty może pamiętasz, że to już jedynie prosta gawędka, fantazjowanie na temat niemożliwego projektu; a nie lubiłabym zapominać o tym sama jedna...

Czy wiesz, że mój proces niepokoi mnie trochę? Chciałam nareszcie poznać do gruntu, jakie są moje szanse: panowie adwokaci cytują mi wprawdzie rozmaite prawa, a zwłaszcza rozmaite *autorytety*, jak oni to nazywają: ale nie mogę się dopatrzeć, aby tak bardzo słuszność była po mojej stronie. Zaczynam niemal żałować, iż odrzuciłam polubowne załatwienie sprawy. Nabieram otuchy, przypominając sobie, że pełnomocnik mój jest zręczny, adwokat wymowny, a klientka ładna. Jeżeli te trzy środki miałyby już nic nie znaczyć, trzeba by zmienić cały tok załatwiania spraw, a cóż by się stało wówczas z poważaniem dla tradycji!

Ten proces jest obecnie jedyną przeszkodą, która mnie tu zatrzymuje. Co do procesu Belleroche'a, ten już ukończony: sprawa przegrana z zasądzeniem na zwrot kosztów. Oddam mu całkowitą wolność za powrotem do miasta. Czynię to bolesne poświęcenie i pocieszam się nadzieją jego wdzięczności za ten szlachetny uczynek.

Do widzenia, wicehrabio, pisuj do mnie często: szczegóły twoich uciech wynagrodzą mi przynajmniej w części nudę, jakiej tu jestem pastwą.

Z zamku \*\*\*, 11 listopada 17\*\*

## LIST CXXXV

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde*

Próbuję pisać do pani, choć nie wiem jeszcze, czy będę mogła. Och, Boże, kiedy pomyślę, że ostatniego listu z nadmiaru szczęścia niepodobna mi było dokończyć! Dziś

Miłość

przygniała mnie bezmiar rozpacz: zostawia mi sił tylko na tyle, aby czuć moją niedolę; na wyrażenie jej mi ich już nie staje.

Valmont, Valmont mnie nie kocha, nigdy mnie nie kochał. Miłość tak nie umiera. Oszukuje mnie, zdradza mnie, znieważa. Wszystko, co może istnieć nieszczęść, upokorzeń, wszystkiego doznałam, i to z jego, jego ręki!

I nie sądz, pani, aby to było proste podejrzenie! Ach, jakże daleka byłam od takich podejrzeń! Nie jestem tak szczęśliwa, aby móc wątpić. Widziałam go: cóż mógłby mi powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? Ale co jemu na tym zależy! Nawet nie będzie próbował... Nieszczęśliwa! I cóż mu będą twoje łzy i wyrzuty? Czyż on tobą zajmuje się w tej chwili!

Prawdą jest zatem, że mnie poświęcił, wydał na pastwę nawet: i komu?... nędznej kreaturze... Ale co ja mówię? Ach, nie ja wszakże mam prawo nią pogardzać!

Ona zdradziła mnie obowiązków, ona mniej jest winną niż ja. Och, i jakże bolesną jest kara, skoro płynie z wyrzutów sumienia! Och, jak ja cierpię!

Odczytuję mój list i spostrzegam, że nie dowiesz się z niego o niczym; spróbuję zatem zdobyć się na zdanie ci sprawy z tego okrutnego wydarzenia. Było to wczoraj; pierwszy raz od czasu mego powrotu wybierałam się gdzieś na wieczór w towarzystwo. Valmont odwiedził mnie o piątej; był czuły i serdeczny jak nigdy. Dał mi poznać, że zamiar mój wyjścia wieczorem sprawia mu przykrość: domyślasz się, że natychmiast zmieniłam projekt i ofiarowałam się pozostać w domu. Jednakże w dwie godziny potem, zupełnie nagle, ton mowy i wyraz twarzy Valmonta zmieniły się dotkliwie. Nie wiem, czy mi się wymknęło coś takiego, co mu się mogło nie podobać; bądź co bądź, w chwilę potem oznajmił, iż przypomniał sobie jakąś sprawę, która mu każe mnie opuścić, i odszedł. Odchodząc, wyrzucił mi parę słów gorącego żalu, słów, które wydały mi się płynąć z serca i które wówczas uważałam za szczerze.

Zostawszy sama, uznałam wobec tego za właściwe nie uchylać się od moich zobowiązań. Ukończyłam tedy toaletę i wsiałam do powozu. Na nieszczęście, woźnica powiózł mnie koło Opery, gdzie znalazłam się niebawem wciśnięta w tłok przy wyjściu; wtem o cztery kroki przed sobą, w sznurze pojazdów ciągnącym się równolegle z naszym spostrzegłam powóz Valmonta. Serce zaczęło mi bić jak szalone, ale nie biło z obawy: jedyną myślą, jaka mnie zajmowała, było pragnienie, aby mój powóz zdołał się z nim zrównać. Zamiast tego, jego pojazd zmuszony był się cofnąć i znalazł się w równym rzędzie z moim. Wychyliłam się ku Valmontowi, ale jakież było moje zdumienie, gdy ujrzałam przy jego boku dziewczynę głośną ze swych licznych przygód! Cofnęłam się, jak możesz pani sobie wyobrazić, i to już było aż nadto, aby pograżyć moje serce; ale czy zdoła pani uwierzyć, iż ta dziewczyna, widocznie poinformowana w tej chwili przez Valmonta, nie opuściła ani na chwilę okna powozu, ani nie przestała mi się przyglądać i to wśród wybuchów śmiechu zwracających powszechną uwagę!

Odrętwiała i nieprzytomna niemal, kazałam się mimo to zawieść w gościnę, w której czekano mnie na wieczerzę; ale niepodobna mi było tam pozostać; czułam się bliska omdlenia i nie umiałam powstrzymać łez cisnących mi się do oczu.

Znalazłszy się u siebie, napisałam do pana de Valmont i posłałam list natychmiast; nie było go w domu. Pragnąc za jaką bądź cenę wyjść z tego stanu równającego się śmierci, wysłałam na nowo służącego z rozkazem czekania. Przed północą zjawił się, oznajmiając, iż woźnica, który wreszcie powrócił, powiedział mu, że jego pan nie będzie nocował w domu. Sądziłam, iż nie pozostaje mi nic do zrobienia, jak tylko zażądać dziś rano zwrotu moich listów i prosić p. de Valmont, aby więcej nie pojawiał się u mnie. Jakoż wydałam istotnie rozkazy w tej mierze; jestem pewna zresztą, iż były one zbyt skuteczne. Jest już blisko południa; jeszcze się nie pokazał i nie otrzymałam ani słowa wiadomości.

A teraz, droga przyjaciółko, nie dodaję już ani słowa: oto wiesz o wszystkim i znasz moje serce. Moją jedyną nadzieją jest, iż niedługo już będę nadużywać twej łaskawej przyjaźni.

*Paryż, 15 listopada 17\*\**

## LIST CXXXVI

*Prezydentowa de Tourvel do wicebrabiego de Valmont*

Po tym, co zaszło wczoraj, zapewne nie spodziewa się pan, bym go przyjmowała u siebie, a zresztą zapewne i niewiele panu na tym zależy! Bilet ten ma zatem na celu już nie tyle prosić pana, abys się więcej nie pojawiał, co żądać od niego zwrotu listów, które nigdy nie powinny były istnieć. Jeżeli mogły one pana zajmować przez chwilę jako dowody zaślepienia, które było twoim dziełem, muszą być panu obojętne teraz, kiedy to zaślepienie się rozwiało i kiedy wyrażają jedynie uczucie, które pan zniszczyłeś.

Rozumiem i przyznaję, że błędem z mej strony było pokładać w panu zaufanie, którego tyle innych przede mną już padło ofiarą; co do tego obwiniam jedynie siebie samą: ale sądziłam przynajmniej, iż nie zasłużyłam na to, aby być wydaną przez pana na wzgardę i pośmiewisko. Mniemałam, iż poświęcając panu wszystko i zrzekając się dla niego praw do szacunku innych i mego własnego, mogłam się mimo to spodziewać, iż nie będę sądzona przez pana surowiej niż przez głos publiczny, który czyni jeszcze zawsze ogromną różnicę między kobietą słabą a kobietą rozwiązłą. Nie mówię już panu o zbrodni, jakiej dopuściłeś się względem mojej miłości: pańskie serce nie zrozumiałoby mego. Żegnaj pana.

*Paryż, 15 listopada 17\*\**

## LIST CXXXVII

*Wicebrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

W tej chwili dopiero, pani, oddano mi twój list; zadrzałem, czytając go, i zaledwie pozostaje mi dość siły, aby nań odpowiedzieć. Jakżeż straszne mniemanie posiadasz pani o mnie! Och, z pewnością zawiniłem, i to tak, że nie przebaczę tego sobie w życiu, chociażbyś ty nawet okazała mi całą pobłażliwość. Ale te winy, które ty mi wyrzucasz, jakże daleko były od mojej duszy! Kto, ja? Ciebie upokarzać! Ciebie poniżać! Ja, który cię považam tyle, ile cię kocham; który poznałem, co to дума, dopiero od chwili, w której mnie ty uznałaś godnym siebie! Pozory cię uwiodły; wyznaję, iż mogły świadczyć na mą niekorzyść: ale czyż serce twoje nie stanęło przeciw nim w mej obronie? Czyż nie zbuntowało się na samą myśl, że mógłbym się go stać niegodnym? I ty mimo wszystko uwierzyłaś w to? Nie tylko przypuszczałaś, iż jestem zdolny dopuścić się takiego ohydnego szaleństwa, ale nie wahałaś się nawet szukać jego przyczyn w dobroci twojej dla mnie! Ach, jeżeli miłość twoja tak cię poniża we własnych oczach, i ja chyba muszę być w twym mniemaniu czymś bardzo nikczemnym?

Dławiony tą bolesną myślą, tracę czas na daremne żale, zamiast usprawiedliwić się co prędzej. Ach, inny wzgląd wstrzymuje mnie jeszcze! Trzebaż mi zatem będzie przypominać sobie uczynki, które pragnąłbym unicestwić; ścigać twą uwagę i moją własną na chwilę zapomnienia, którą chciałbym okupić resztą mojego życia i której pamięć zostanie na zawsze przedmiotem mego upokorzenia i rozpaczki? Ach, jeżeli oskarżając się przed tobą, muszę obudzić gniew twój, pani, nie będzie ci trzeba przynajmniej daleko szukać pomsty; wystarczy ci wydać mnie na łup mej zgrzyoty.

Z tym wszystkim, któż by uwierzył? Pierwszą przyczyną tego wypadku stał się ów wszechpotężny czar, jakiego doznaję w twoim pobliżu. On to kazał mi zapomnieć zbyt długo o pewnej sprawie ważnej i niecierpiącej zwłoki. Rozstałem się z tobą za późno i nie zastałem już osoby, której szukałem. Spodziewałem się złapać ją jeszcze w Operze, ale i to na próżno. Otóż spotkałem tam Emilię, którą znałem niegdyś, w czasie, w którym nie znałem jeszcze, pani, ani ciebie, ani miłości. Nie miała powozu i prosiła mnie, abym ją odwiózł do domu, ot, parę minut drogi. Nie przywiązując do tego żadnej wagi, przystałem. Wówczas właśnie spostrzegłem ciebie; i uczulem natychmiast, że pozór ten uczyni mnie winnym w twych oczach.

Obawa dotknięcia cię czymkolwiek lub sprawienia ci przykrości jest we mnie tak po-  
tężna, iż nie mogła nie odbić się na mojej twarzy, co wkrótce Emilia spostrzegła. Prosiłem  
tę dziewczynę, aby przynajmniej nie pokazywała się w oknie; ten wzgląd delikatności ob-  
rócił się przeciwko mnie. Przyzwyczajona, jak wszystkie podobne kreatury, ufać swojej  
władzy, opierającej się zawsze na nadużywaniu, Emilia ani myślała się wyrzec tak wspaniałej  
sposobności. Im bardziej rosło w jej oczach moje zakłopotanie, tym więcej ona  
wystawiała się na pokaz; jej wybuchy wesołości, które ty, pani, ku mojej rozpaczy, mo-  
głaś choć chwilę odnosić do siebie, miały na celu jedynie pomnożenie mojej przykrości,  
przykrości, płynącej właśnie z mego szacunku i przywiązania do ciebie.

Aż dotąd, bez wątpienia, byłem bardziej nieszczęśliwym niż winnym; zbrodnia, o któ-  
rej piszesz, nie może obciążać mego sumienia po prostu dlatego, że nie istniała. Ale na  
próżno chcesz pani przemilczeć *przewiny miłości*; ja nie zachowam o nich tegoż samego  
milczenia; zbyt ważne pobudki każą mi wyznać wszystko. Tak, muszę ci wyznać, mi-  
mo całego wstydu, w jakim trwam od czasu tego chwilowego a niepojętego szaleństwa;  
mimo najgłębszej boleści, o jaką mnie przyprawia to wspomnienie.

Przejęty poczuciem mych błędów, zgodziłbym się ponieść karę za nią lub też oczeki-  
wać, aż kiedyś moja wierna tkliwość i mój żal wyjedna mi przebaczenie. Ale jak zamilczeć,  
skoro sumienie moje względem ciebie każe mi odsłonić całą prawdę?

Nie sądz, iż chcę szukać wykrętu, aby usprawiedliwić lub złagodzić mą winę; przy-  
znaję, iż byłem występny. Ale nie uznaję wcale, nie uznaję nigdy, aby ten haniebny  
upadek mógł w oczach twoich, pani, stanowić zbrodnię przeciw miłości. Ach, i cóż może  
być wspólnego pomiędzy odruchem zmysłów, pomiędzy chwilą zapomnienia, po której  
następuje rychło żal i zawstydzenie, a tym uczuciem czystym, które może zrodzić się je-  
dynie w duszy szlachetnej, wspierać się jedynie na czci i szacunku, a którego owocem jest  
prawdziwe szczęście! Och, nie poniżaj w ten sposób miłości! Nie chciej przede wszyst-  
kim poniżyć samej siebie, oceniając z tego samego punktu widzenia dwie rzeczy, które nie  
mają, nie mogą mieć z sobą nic wspólnego! Zostaw kobietom upadłym i znikczemniałym  
obawę współzawodnictwa, w którym mimo woli dopatrują się zawsze niebezpieczeństwa  
dla swej władzy; zostaw im męczarnie zazdrości równie dotkliwej jak upokarzającej. Ale  
ty! Odwróć oczy od tych przedmiotów, które splamiłyby twoje spojrzenia; sama czysta  
jak bóstwo, ukarż jak ono obrazę, nie chowając jej wszakże w sercu.

Ale na jakież cierpienie mogłabyś mnie skazać, które by było dla mnie dotkliwsze  
od tego, co odczuwam? Które by mogło iść w porównaniu z żalem, iż obraziłem ciebie,  
z rozpaczą, iż widzę cię zmartwioną, z myślą przygnębiającą, iż stałem się mniej godnym  
ciebie? Ty miałabyś obmyślać karę dla mnie! A ja, ja u ciebie szukam pocieszenia, nie,  
iżbym zasłużył na nie; ale dlatego, że go potrzebuję i że mogę je znaleźć jedynie u ciebie.

Jeżeli zapominając naraz o mojej i twojej miłości i nie przywiązując już wagi do mego  
szczęścia, pragniesz, przeciwnie, wydać mnie na pastwę wieczystej boleści, masz prawo po  
temu, uderzaj; ale jeżeli wiedziona pobłażliwością lub głosem serca wspominasz jeszcze  
uczucia tak tkliwe, które jednoczyły nasze istoty, upojenia duszy ciągle tak nowe i coraz  
to żywsze, owe dni tak słodkie, tak szczęśliwe, któreśmy sobie dali nawzajem, wszystkie  
te skarby miłości, które ona tylko stworzyć jest zdolna: ach, jeżeli sobie przypominasz,  
wówczas może zapragniesz raczej wskrzesić je na nowo niż zniweczyć na zawsze. Cóż  
powiem ci wreszcie? Straciłem wszystko i straciłem z własnej winy; ale mogę wszystko  
odzyskać z łaski twojej wspaniałomyślności. Twoją jest rzeczą rozstrzygać obecnie. Dodam  
jeszcze jedno słowo. Wczoraj jeszcze przysięgałaś mi, że mogę być pewnym mego szczęścia  
póty, póki będzie ono zależało od ciebie! Och, pani, czyli zechcesz mnie wydać dzisiaj na  
pastwę wieczystej rozpaczy?

*Paryż, 15 listopada 17\*\**

## LIST CXXXVIII

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*



Obstaję przy swoim, piękna przyjaciółko: nie, ja nie jestem zakochany; to zaś nie moja wina, jeżeli okoliczności zmuszają mnie do odgrywania tej roli. Zgódź się jedynie i powracaj; przekonasz się wkrótce własnymi oczami, jak bardzo mówię prawdę. Złożyłem dowody tego wczoraj, a wypadki dnia dzisiejszego nie mogą ich unicestwić.

Byłem tedy wczoraj u mojej świętoszki; nie miałem zresztą na ten dzień żadnych innych widoków, ponieważ mała Volanges mimo swojego stanu miała spędzić całą noc na baliku młodzieży u pani de V\*\*\*. W braku innego zatrudnienia zbudziła się zrazu we mnie ochota przeciągnięcia tego wieczoru; ale zaledwie mi to przyrzeczono, nawet kosztem małego poświęcenia, kiedy nagle zaczęła mnie prześladować myśl o tej rzekomej miłości, której ty tak uparcie chcesz się dopatrywać w moim postępowaniu. Otóż oładnęło mną jedno tylko pragnienie: to jest, aby za jednym zamachem upewnić siebie samego, a przekonać ciebie, że jest to z twojej strony, markizo, najczystsza w świecie potwarz.

Chwyciłem się tedy gwałtownego środka: pod dość blahym pozorem opuściłem nagle moją piękność mocno zdziwioną, a z pewnością jeszcze więcej zmartwioną tym obrotem. Ja natomiast poszedłem spokojnie odszukać Emilię w Operze; ta dziewczyna może ci zaświadczyć, że aż do poranka, to jest do chwili, w której nastąpiło rozstanie, żaden najmniejszy wyrzut nie zamącił naszych przyjemności.

A jednak miałbym wcale ładny powód do niepokoju, gdyby moja zupełna obojętność nie chroniła mnie od podobnej troski: bowiem trzeba ci wiedzieć, znajdowałem się zaledwie o cztery kroki od Opery, usadowiony wygodnie z Emilią w powozie, kiedy pojazd pani de Tourvel zjechał się tuż z moim, zaś natłok powozów przy wyjściu przetrzymał nas blisko przez kwadrans obok siebie. Spotkaliśmy się po prostu nos w nos i nie było sposobu się nie widzieć.

Posłuchaj dalej, markizo: otóż przyszło mi na myśl opowiedzieć Emilii, że ma przed sobą ową bohaterkę mego listu. (Przypominasz sobie może jeszcze to szaleństwo, w którym ta sama Emilia służyła mi za pulpit<sup>17</sup>). Nie zapomniała tego: że zaś jest wielka śmieszka, nie miała spokoju, dopóki nie napatrzyła się do syta *tej cnotce*, jak mówiła, i to wśród wybuchów śmiechu nieprzyzwoitych w najwyższym stopniu i zwracających powszechną uwagę.

To jeszcze nie wszystko. Zazdrosna osóбка posłała do mnie tego samego wieczora. Nie było mnie w domu; posłała jeszcze raz z rozkazem czekania na mnie. Co do mnie, z chwilą kiedy namyśliłem się zostać u Emilii, odesłałem powóz, dając woźnicy jedynie zlecenie, aby po mnie zjechał nazajutrz rano; że zaś ten, wróciwszy do domu, zastał tam owego posłańca miłości, uważał za najprostsze powiedzieć mu, że nie powrócę na noc. Zgadujesz wrażenie tej nowiny i domyślasz się, że za powrotem zastałem formalną dymisję wystylizowaną z całą godnością wymaganą przez okoliczności!

A zatem cała przygoda, wbrew twojej o mnie opinii, mogła być, jak widzisz, skończona od dziś rana: a jeżeli nie jest, to nie dlatego, abym ja, jak gotowa jesteś przypuszczać, przywiązywał jakąś wagę do prowadzenia jej dalej: po prostu, z jednej strony nie uważałem za właściwe pozwolić się porzucać, z drugiej zaś chciałem zachować jako hołd dla ciebie sposobność tego poświęcenia z mej strony.

Na surowy bilecik odpowiedziałem zatem wielkim listem z tonu uczuciowego; rozgadałem się w obszernych usprawiedliwieniach, zaś miłości zostawiłem troskę o to, aby zostały wzięte za dobrą monetę. Już mi się to powiodło. Otrzymałem w tej chwili drugi list, zawsze jeszcze bardzo surowy i obstający przy owym wiekuistym zerwaniu, które mi zostało oznajmione, ale ton jest już zupełnie inny. Przede wszystkim nie chce mnie widzieć: to postanowienie powtórzone jest cztery razy w sposób najbardziej nieodwołalny. Wynioskowałem z tego, że powinienem stawić się u niej i to jak najrychlej. Posłałem już mego strzelca, aby się zajął szwajcarem, a za parę chwil pospieszę sam uzyskać podpis mojego ulaskawienia: bowiem w przewinach tego rodzaju istnieje tylko jedna formułka, która zawiera w sobie generalne przebaczenie, a tę da się zastosować jedynie w obecności oskarżonego.

Do widzenia, urocza przyjaciółko, biegnę zdobywać ten wielki akt odpustu.

<sup>17</sup>Emilia służyła mi za pulpit — List XLII i XLVIII. [przypis tłumacza]

*Paryż, 15 listopada 17\*\**

## LIST CXXXIX

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde*

Jakżeż wyrzucam sobie, droga, dobra przyjaciółko, iż zbyt wcześnie pozwoliłam sobie mówić ci o moich przelotnych zgryzotach! Jestem przyczyną, że obecnie martwisz się z pewnością; strapienia twoje spowodowane przeze mnie trwają jeszcze, a ja, ja jestem szczęśliwa! Tak, wszystko zapomniane, wybaczone; powiedzmy lepiej, wszystko jest naprawione. Po bezmiarze bóleści i rozpacz, nastąpił spokój i upojenie. O, radości mego serca, jakżeż cię zdołam wyrazić! Valmont jest niewinny; nie można być występny, mając w sercu tyle miłości. Nie, on nie popełnił owych win ciężkich, obrażających, które wyrzucałam mu z taką goryczą; a jeżeli na jednym punkcie muszę zdobyć się na pobłażliwość, czyż ja z mej strony również nie miałam do naprawienia choćby mojej niesprawiedliwości?

Nie będę ci szczegółowo przytaczała faktów i pobudek, które go uniewinniają; być może nawet rozum nie oceniłby ich z właściwej strony: serce tylko jedno zdolne jest je odczuć. Gdybyś mimo to miała mnie obwiniać o słabość, mogę się powołać na własny twój sąd, pani. Dla mężczyzn, powiadasz sama, niewierność nie zawsze jest jeszcze zdradą.

Czuję, czuję wprawdzie, że to rozróżnienie, mimo iż w istocie uświęcone mniemaniem ogółu, niewątpliwie boleśnie uraża naszą delikatność; ale czyż mnie godzi się skarżyć, skoro on sam, Valmont tyle cierpi nad tym? Ach, gdybyś wiedziała, ile razy wyrzucił sobie przewinę, którą ja puściłam w niepamięć: a wszakże jak bardzo okupił ten drobny błąd nadmiarem swej miłości i mojego szczęścia!

Albo szczęście moje jest większe, albo też lepiej czuję jego cenę od chwili, gdy zdawało mi się, że straciłam je na zawsze: ale to mogę ci powiedzieć, że gdybym czuła w sobie siły zniesienia jeszcze zgryzot równie okrutnych jak te, których doznałam, nie uważałabym, iż zbyt drogo okupuję nimi nadmiar szczęścia, jakiego zakosztowałam później. Och, moja tkliwa matko, wylaj twą niebaczną córkę, iż cię przyprawiła o zmartwienie zbyt nim pośpiechem; wylaj ją, iż lekkomyślnie osądziła i spotwarzyła tego, który nie przestał ani na chwilę jej ubóstwiać: ale ganiąc jej nierozwagę, patrz na jej szczęście i pomnóż jej radość, dzieląc ją z nią razem.

*Paryż, 16 listopada 17\*\**

## LIST CXL

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Czym się to dzieje, śliczna przyjaciółko, że nie mam dotąd odpowiedzi od ciebie? Mój ostatni list przecież zdawał mi się zasługiwać na jakieś słówko; i oto już trzeci dzień czekam go na próżno. Gniewam się doprawdy; toteż aby cię ukarać, markizo, nie powiem ci już nic o moich wielkich sprawach.

Że pojednanie odbyło się w najwspanialszym sposobie; że w miejsce wymówek i niewiary pociągnęło za sobą jedynie nowy wylew czułości; że to obecnie ja przyjmuję łaskawie przeprosiny i skrucę, należne mej podejrzewanej niewinności: o tym wszystkim nie powiem ci ani trochę. W ogóle gdyby nie nieprzewidziany wypadek, jaki zaszedł ubiegłej nocy, wcale bym się do ciebie nie odezwał. Ale ponieważ to dotyczy twojej pupilki, ona zaś sama prawdopodobnie nie będzie w możności powiadomienia cię o tym, przynajmniej na razie, przeto ja podejmuję się tego zadania.

Okoliczności, których się domyślisz lub nie domyślisz, zmusiły mnie do przerwania na kilka dni bliższej styczności z panią de Tourvel; że zaś te okoliczności nie mogły mieć miejsca u małej Volanges, tym gorliwiej zwróciłem się w tamtą stronę. Dzięki uprzejmości odzwiernego nie miałem żadnych przeszkód w tym względzie: toteż prowadziliśmy, twoja

pupilka i ja, życie wygodne i uregulowane. Ale przyzwyczajenie jest matką nieopatrzności: jakoż wczoraj niepojęte roztargnienie stało się powodem przykrego wypadku.

Spozywaliśmy oboje, nie śpiący, ale pogrążeni w owej bezwładności, która następuje po chwilach rozkoszy, gdy naraz usłyszeliśmy, jak drzwi do pokoju otwierają się nagle. Chwytam za szpadę i postępuję w tym kierunku, ale nie widzę nikogo: mimo to drzwi były w istocie otwarte. Wziąwszy światło, wysunąłem się na zwiady i nie znalazłem żywej duszy. Wówczas przypomniałem sobie, że zaniedbaliśmy tego dnia zwykłych ostrożności: niewątpliwie drzwi, przywarte tylko lub źle zamknięte, otwarły się same z siebie.

Spieszę z powrotem, aby uspokoić moją trwożliwą towarzyszkę, ale nie znajduję jej już w łóżku; upadła albo też schroniła się pomiędzy łóżko a ścianę: dość, że leżała tam bez zmysłów i wstrząsana napadami dość gwałtownych konwulsji. Możesz sobie wyobrazić moje położenie! Udało mi się przenieść ją z powrotem do łóżka, a nawet przyprowadzić do przytomności; ale okazało się, iż uderzyła się upadając i niebawem zaczęła odczuwać tego skutki.

Boleści w krzyżach, gwałtowne kurcze, inne objawy jeszcze mniej dwuznaczne, wkrótce oświeciły mnie co do jej stanu: ale aby o nim pouczyć młodą pacjentkę, trzeba było wytłumaczyć jej wprzód stan, w jakim znajdowała się poprzednio, bo nie miała o tym żadnego pojęcia. Jeszcze chyba nigdy nie zachował nikt tyle niewinności, czyniąc z takim zapalem wszystko, co trzeba, aby się jej pozbawić! Och, co ta, to nie traci czasu na zastanawianie się nad czymkolwiek!

Podczas gdy mała rozwodziła się w daremnych rozpaczach, ja czułem, że trzeba powziąć jakieś postanowienie. Umówiłem się z nią tedy, że udam się natychmiast do lekarza i chirurga domowego i że uprzedzając ich, iż będą wezwani za chwilę, wyznam wszystko, zapewniwszy sobie tajemnicę; ona ze swej strony zadzwoni na pannę służącą: przyzna się lub nie przyzna do wszystkiego, jak sama zechce; ale pośle ją, aby szukała pomocy, przede wszystkim zaś zabroni bezwarunkowo budzić panią de Volanges: względ pelen delikatności i naturalny u córki, która lęka się zaniepokoić swą matkę.

Załatwiłem moje dwie wizyty i dwie spowiedzi najspieszniej jak mogłem, stamtąd zaś udałem się do domu, gdzie siedzę zamknięty dotychczas. Chirurg, którego znałem skądinąd, przyszedł w południe zdać mi sprawę ze stanu chorej. Nie omyliłem się w mojej diagnozie; ale on ma nadzieję, że jeżeli nie zajdzie jaki wypadek, nikt w domu się nie spostrzeże. Panna służąca jest w tajemnicy; lekarz zmyślił naprędce jakąś chorobę i cała sprawa ułożyła się jak tysiąc podobnych, chyba żeby w przyszłości było dla nas użytecznym, aby o tym mówiono.

Ale czy istnieje jeszcze jaki wspólny interes między mną a tobą? Twoje milczenie każe mi wątpić o tym; nie wierzyłbym w to nawet wcale, gdybym tak bardzo nie pragnął zachować jakiegóż pod tym względem nadziei.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; ściskam cię mimo całej urazy.

*Paryż, 21 listopada 17\*\**

## LIST CXLI

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Mój Boże, wicehrabio, jak ty mnie męczysz swoim uporem! Czemu wymawiasz mi moje milczenie? Czy sądzisz, że jeżeli milczę, to z braku argumentów dla mojej obrony? Ach, dałby Bóg, aby tak było! Ale nie, to tylko dlatego, że ciężko mi jest wytaczać je przeciw tobie.

Mów ze mną otwarcie; czy ty łudzisz sam siebie, czy też pragniesz mnie oszukać? Sprzeczność pomiędzy twymi słowami a uczynkami pozwala mi jedynie przypuszczać albo jedno, albo drugie: cóż tedy jest prawdą? Cóż ty chcesz, abym ja ci powiedziała, skoro sama nie wiem, co mam myśleć?

Widzę, że poczytujesz sobie za wielką zasługę twoją ostatnią scenę z prezydentową; ale w czymżeż ma ona przemawiać na korzyść twoich perswazji, a zbijać moje zarzuty? Toż ja ci nie mówiłam nigdy, że ty kochasz tę kobietę na tyle, aby jej nie oszukiwać, aby

nie chwytać po temu każdej sposobności, która ci się wyda łatwą lub przyjemną: nic mnie też nie dziwi, że przez rozpustę umysłową, której na próżno by ci ktoś odmawiał, zrobiłeś jeden raz z rozmysłu to, co zrobiłbyś tysiąc razy ot, tak, ze sposobności. Wszak to jest u was najpospolitszy bieg rzeczy.

Natomiast mówiłam, myślałam, myślę jeszcze obecnie, że ty mimo to kochasz swoją prezydentową; nie żadną miłością zbyt czystą, ani też zbyt tkliwą, ale, z tym wszystkim, miłością wystarczającą na to, aby w danej kobiecie znajdować powaby i przymioty, których ona nie posiada; miłością, która daje jej odrębne miejsce w świecie, wszystkie inne zaś stawia w drugim rzędzie.

Jeszcze i w twoim ostatnim liście, jeżeli mi nie mówisz wyłącznie o tej kobiecie, to dla tego, że nie chcesz mi nic mówić o *swoich wielkich sprawach*; wydają ci się one tak ważne, że milczenie, jakie zachowujesz w tym przedmiocie, zdaje ci się karą dla mnie. I oto po tych tysiącnych dowodach wybitnej przewagi, jaką posiada nad tobą inna kobieta, zapytujesz mnie spokojnie, czy jest jeszcze *jakiś wspólny interes pomiędzy mną a tobą!* Strzeż się, wicehrabio! Skoro raz ci odpowiem, moja odpowiedź będzie nieodwołalna; tym, iż nie chcę dać ci jej w tej chwili, tym samym może już mówię zbyt wiele. Toteż nie chcę bezwarunkowo dłużej zatrzymywać się przy tym.

Co najwyżej mogłabym ci opowiedzieć jedną powiastkę. Może nie będziesz miał czasu jej przeczytać lub też zastanowić się nad nią tak, aby ją dobrze zrozumieć? Twoja wola. W najgorszym razie powiastka pójdzie na marne i na tym koniec.

Jednemu z moich znajomych zdarzyło się, podobnie jak i tobie, zaciętrzewić w kobiecie, która przynosiła mu niewiele zaszczytu. Miał on w chwilach jasnowidzenia tyle rozsądku, iż czuł, że prędzej czy później związek ten wyjdzie mu na szkodę; ale mimo iż wstydził się własnej słabości, nie miał odwagi zerwać. Położenie jego było tym kłopotliwsze, ile że chełpił się przed przyjaciółmi, że jest najzupełniej wolny; wiedział zaś, iż w podobnych wypadkach tym większą śmiesznością okrywa się mężczyzna, im bardziej się od niej broni. W ten sposób trawił on życie, wpadając z jednej niedorzeczności w drugą i mówiąc sobie jako jedyną pociechę: „*To nie moja wina*”. Ten człowiek posiadał przyjaciółkę, która przez chwilę miała pokusę wydać go oczom świata w tym stanie ogłupienia i okryć w ten sposób śmiesznością bez ratunku: ale, czy to że wspaniałomyślność wzięła w niej górę nad złośliwością czy może wreszcie dla innego powodu, postanowiła jeszcze spróbować ostatniego środka, aby jak jej przyjaciel mieć prawo sobie powiedzieć: „*To nie moja wina*”. Przesłała mu zatem bez żadnych innych wskazówek taki oto list w mniemaniu, iż może się okazać skutecznym lekarstwem w chorobie.

\*

„Wszystko się przykrzy, mój aniele, takie jest prawo natury: to nie moja wina.

Jeżeli więc sprzykrzyła mi się dzisiaj miłostka, która zaprzętała mnie niemal wyłącznie od czterech śmiertelnych miesięcy, to nie moja wina.

Jeżeli miłość moja była równie wytrwała jak twoja cnota, a to jest z pewnością wiele powiedziane, nie ma w tym nic dziwnego, że jedna wyzionęła ducha w tym samym czasie co druga. To nie moja wina.

Wynika z tego, że od niejakiego czasu oszukiwałem cię: ale też, przyznaj, iż twoja nielitościwa czułość zmuszała mnie do tego! To nie moja wina.

Dzisiaj, kobieta, którą kocham do szaleństwa, wymaga, abym ciebie jej poświęcił. To nie moja wina.

Czuję dobrze, że daję ci oto piękną sposobność wykrzykiwania o zdradzie itd.; ale jeżeli natura obdarzyła mężczyzn jedynie stałością, podczas gdy kobietom użyczyła przymiotu naprzykrzania się, to nie moja wina.

Posłuchaj mnie, znajdź sobie innego miłego, tak jak ja biorę inną kochankę. Wierz mi, to dobra, bardzo dobra rada, a jeżeli ci się nie podoba, to nie moja wina.

Żegnaj cię, mój aniele, wziąłem cię z przyjemnością, opuszczam cię bez żalu: może jeszcze do ciebie wrócę. Tak toczy się świat. To nie moja wina”.

\*

Nie pora teraz opowiadać ci, wicehrabio, jaki skutek osiągnęła ta ostatnia próba rątku i co z tego wynikło, ale przyrzekam powiadomić cię o tym w najbliższym liście. Znajdziesz tam również moje *ultimatum* co do odnowienia traktatu, które mi proponujesz. Aż dotąd, do widzenia po prostu...

Ale, ale: dziękuję ci za szczegóły co do małej Volanges; zachowamy sobie ten artykuł do „Gazety Obmowy” aż do nazajutrz po jej ślubie. Tymczasem przesyłam ci wyrazy ubolewania z powodu utraty potomstwa. Dobranoc, wicehrabio.

Z zamku \*\*\*, 24 listopada 17\*\*

## LIST CXLII

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Na honor, piękna przyjaciółko, nie wiem, czy dobrze przeczytałem, czy dobrze zrozumiałem i twój list, i historyjkę, jaką mi opowiadasz, i mały wzorek sztuki pisania listów do niej dołączony. Tyle mogę ci powiedzieć, że ten ostatni wydał mi się oryginalny i efektowny: toteż przepisałem go po prostu i przelałem niebiańskiej prezydentowej. Spodziewałem się, że będę mógł odesłać ci dziś rano odpowiedź ukochanej; ale już jest blisko południe, a jeszcze nic nie mam. Doczekam do piątej godziny; a jeśli nie otrzymam wiadomości, pójdę sam ich zasięgnąć; bowiem w takich rzeczach jedynie pierwszy krok jest trudny.

A teraz, jak możesz się domyślać, bardzo mi pilno dowiedzieć się końca historii owego znajomego, tak gwałtownie podejrzanego o to, iż nie jest zdolny w potrzebie poświęcić kobietę. Czy się nie poprawił? I czy wspaniałomyślna przyjaciółka nie przywróciła go do swej łaski?

Nie mniej pragnę otrzymać twoje *ultimatum*, jak się wyrażasz o nim tak politycznie! Jestem ciekawy zwłaszcza wiedzieć, czy i w tym ostatnim postąpieniu dopatrzysz się jeszcze miłości. Och, z pewnością, że jest, i to dużo! Ale dla kogo? Mimo to, nie chcę się zbroić w żadne prawa i wszystko chcę zawdzięczać jedynie twojej dobroci.

Do widzenia, uroczą przyjaciółko; nie zamknę tego listu przed drugą godziną w nadziei, że będę mógł dołączyć doń upragnioną odpowiedź.

O godzinie drugiej po południu

Ciągle nic, spieszno mi bardzo, nie mam czasu dodać ani słowa: ale tym razem, czy jeszcze odrzucisz najtkliwsze uściski miłości?

Paryż, 27 listopada 17\*\*

## LIST CXLIII

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Rosemonde*

Rozdarła się zasłona, pani, na której namalowane były złudzenia mego serca. Złowroga prawda przyświeca mi i ukazuje jako nadzieję jedynie śmierć pewną i bliską: śmierć, której droga znaczy się pomiędzy hańbą a zgryzotą. Pójdę nią... ukocham moje mężczarnie, jeżeli zdołają skrócić me istnienie. Przesyłam ci list, który otrzymałam wczoraj; nie dodaję doń żadnej uwagi, wszystko się w nim mieści. Nie czas już na skargi, zostało tylko cierpienie. Nie współczucia mi teraz trzeba, ale siły.

Przyjmij, pani, jedyne pożegnanie, jakie uczynię, i wysłuchaj mej ostatniej prośby: to jest, abys mnie zostawiła memu losowi, zapomniiała mnie zupełnie i przestała liczyć do żyjących na ziemi. Jest granica w nieszczęściu, poza którą przyjaźń nawet pomnaża mękę, nie mogąc jej uleczyć. Skoro rana jest śmiertelna, każda pomoc staje się okrucieństwem. Wszelkie inne uczucie jest mi obcym poza uczuciem rozpaczki. Pociąga mnie jedynie owa głęboka noc, w której pragnę zagrzebać mą hańbę. Będę płakała w niej za moje winy,

jeżeli potrafię jeszcze płakać! Bo od wczoraj nie wylałam ani jednej łzy. Moje zdeptane serce już do nich nie jest zdolne.

Żegnam cię, pani. Nie odpowiadaj mi. Składam przysięgę na tym liście okrutnym, iż jest to ostatni, jaki w życiu odebrałam.

*Paryż, 27 listopada 17\*\**

## LIST CXLIV

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Wczoraj, uroczą przyjaciółko, o godzinie trzeciej popołudniu, zniecierpliwiony brakiem wszelkiej wiadomości, udałem się do opuszczonej bogdanki; powiedziano mi, że wyszła. Myślałem po prostu, że mnie nie chce przyjąć, co mnie ani zmartwiło, ani zdziwiło; oddaliłem się w nadziei, że mój krok zachęci kobietę tak grzeczną do zaszczycenia mnie przynajmniej słowem odpowiedzi. Zajrzałem do domu około dziewiątej wieczór: jeszcze nic nie było. Zdziwiony milczeniem, którego się nie spodziewałem, poleciłem memu strzelcowi, aby poszedł zasięgnąć języka i dowiedział się, czy uparta osoba umarła czy jest umierająca. Otóż za powrotem obwieścił mi, że pani de Tourvel w istocie wyszła o jedenastej rano w towarzystwie panny służącej; kazała się zawieść do klasztoru \*\*\*, zaś o siódmej wieczór odesłała powóz i ludzi, polecając, aby na nią nie czekano w domu. W istocie, to się nazywa załatwić rzecz po formie. Klasztor jest naturalnym schronieniem wdowy; jeśli tedy wytrwa w tak chwalebny postanowieniu, dołączę do wszystkich zobowiązań, jakie mam już dla niej, i wdzięczność za rozgłos, jakiego nabędzie cała przygoda. Wszak przepowiadałem ci niedawno, że mimo twych niepokojów zjawie się znów na scenie świata strojny w blaski nowych tryumfów!

To jej postanowienie pochlebia mojej miłości własnej, przyznaję: ale drażni mnie to, iż znalazła w sobie dość siły, aby się oderwać ode mnie tak stanowczo. Zatem będą pomiędzy nami inne przeszkody prócz tych, jakich ja sam jestem twórcą! Jak to! Gdybym chciał się zbliżyć do niej, mogłaby nie chcieć tego; co mówię? Nie pragnąc tego jako najwyższego szczęścia! Toż więc była jej miłość? Jak myślisz, moja piękna przyjaciółko, czy godzi mi się to ścierpieć? Czy nie lepiej byłoby ukazać tej kobiecie możliwość pojednania, którego pragnie się zawsze, dopóki się widzi bodaj ślad nadziei? Mógłbym spróbować tego kroku, ot tak, od niechcenia: tym byś się przecież w niczym nie mogła czuć obrażona. Przeciwnie, to byłoby tylko proste doświadczenie, które przeprowadzilibyśmy z wspólnego namysłu; a gdyby nawet się powiodło, byłby to tylko jeden środek więcej do ponowienia, gdybyś sobie tego życzyła, ofiary, która zdawała się znajdować łaskę w twych oczach. A teraz, piękna przyjaciółko, oczekuję przyrzeczonej nagrody i wszystkie moje chęci wiążą się do twego powrotu. Wracaj zatem prędko odnaleźć swego kochanka, swoje uciechy, swoje przyjaciółki i zwykły bieg naszego światka.

Sprawa małej Volanges, o której ci pisałem, poszła bardzo gładko. Wczoraj, nie mogąc w wym niepokoju wysiedzieć na miejscu, pośród rozlicznych wizyt znalazłem się i u pani de Volanges. Zastałem pupilkę już w salonie, jeszcze w stroiku chorej, ale już w pełnej rekonwalescencji, świeższą jeszcze i powabniejszą niż dawniej. Wy, kobiety, w podobnym wypadku przez miesiąc nie ruszałybyście się z szezlonga: na honor, niech żyją panny! Doprawdy, zbudziła we mnie ochotę sprawdzenia, czy w istocie jej stan zdrowia jest pod każdym względem zadowalający.

Muszę ci jeszcze powiedzieć, że ten wypadek dziewczęcia przyprawił niemal o szaleństwo czulego Danceny'ego. Z początku ze zmartwienia, dzisiaj znowu z radości. *Jego Cecylia* była chora! Pojmujesz, że można głowę stracić w takim nieszczęściu. Trzy razy na dobę przysyłał po wiadomości, a nie przeszedł ani jeden dzień, aby sam ich nie zasięgał; wreszcie piękną epistołą wystosowaną do mamy poprosił o pozwolenie złożenia jej powinszowań z powodu przyścia do zdrowia drogiego przedmiotu. Pani de Volanges przyzwoliła; tak iż zastałem młodego człowieka zasiedziało tam jak dawniej, jedynie troszkę bardziej ceremonialnego.

Od niego mam te szczegóły, ponieważ wyszliśmy razem i pociągnąłem go za język. Nie masz pojęcia o wrazeniu, jakie sprawiły na nim te odwiedziny. Radość, pragnienia, uniesienie, niepodobne wprost do oddania. Lubię wielkie efekty; toteż do reszty przypawiłem go o utratę głowy, upewniając, że w bardzo niedługim czasie dostarczę mu sposobności oglądania swego bóstwa jeszcze bardziej z bliska.

W istocie jestem zdecydowany mu ją oddać, skoro tylko się uporam z moim doświadczeniem. Pragnę poświęcić się tobie w zupełności; a przy tym czyżby było warto, aby twoja pupilka była i moją wychowanicą, gdyby miała oszukiwać jedynie męża? Arcydzieło to jest oszukiwać kochanka! A zwłaszcza pierwszego kochanka! Bo co do mnie, to nie może się pochłubić, bym kiedykolwiek do niej wymówił słowo *miłość*.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; wracaj więc co rychlej objąć swą władzę nade mną, przyjmując mój hołd i uszczęśliwić mnie zapłatą.

*Paryż, 28 listopada 17\*\**

## LIST CXLV

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Na serio, wicehrabio, porzuciłeś swoją prezydentową? Posłałeś jej list, który ułożyłam dla niej? Doprawdy, jesteś czarujący! Przeszedłeś moje oczekiwania. Wyznaję otwarcie, że ten tryumf pochlebia mi więcej niż wszystkie, jakich zaznałam dotychczas. Wyda ci się może, że ja stawiam bardzo wysoko tę kobietę, którą niegdyś ceniałam tak nisko; wcale nie: ależ bo ja nie nad nią odniosłam zwycięstwo; nad tobą, wicehrabio: to jest najzabawniejsze i to jest naprawdę rozkoszne.

Tak, ty kochałeś bardzo panią de Tourvel, a nawet kochasz ją jeszcze; kochasz ją jak szalenciec: ale dlatego, że ja zrobiłam sobie zabawkę, aby cię tym zawstydząć, poświęciłeś ją tak rycersko. Byłbyś ją raczej poświęcił tysiąc razy, niż byś miał ścierpieć jakiś żarcik z siebie! Co robi z człowiekiem próżność! Mędrzec ma słuszość, kiedy mówi, że to jest prawdziwa nieprzyjaciółka szczęścia.

Jakżebyś teraz wyglądał, gdybym ci była chciała wypłatać tylko figła? Ale ja nie umiem zwodzić, wiesz o tym dobrze; i gdybyś nawet miał z kolei doprowadzić mnie do rozpacz i do klasztoru, podejmuję to ryzyko i poddaję się memu zwycięzcy.

Mimo to, jeżeli kapituluję, to w istocie z czystej słabości: bowiem gdybym chciała, ileż jeszcze miałabym sposobności, aby się podrożyć! A może zasługiwałbyś na to? Podziwiam na przykład, jak chytrze albo jak naiwnie podsuwasz mi, abym ci pozwoliła pojednać się z prezydentową. Bardzo by ci dogadzało, nieprawdaż, zyskać sobie całą zasługę zerwania, nie tracąc równocześnie rozkoszy dalszego stosunku? W ten sposób niebiańska świętoszka mniemałaby, iż zawsze jest jedyną panią twego serca, podczas gdy ja napawałabym się dumą, że jestem zwycięską rywalką; byłybyśmy oszukane obydwie, ale ty byłbyś zadowolony, a o cóż chodzi więcej?

Szkoda, że przy takim talencie do projektów masz go tak mało do wykonywania; i że przez jeden nierozważny krok oddzieliłeś się sam nieprzewycięzoną przeszkodą od tego, czego tyle pragniesz.

Jak to! Ty pieściłeś myśl nawiązania w przyszłości na nowo tego stosunku i mogłeś posłać mój list! Uważałeś mnie zatem chyba za bardzo niezręczną! Och, wierzaj mi, wicehrabio, kiedy kobieta wymierza cios w serce drugiej, zawsze umie trafić w najczulsze miejsce i rana, jaką zadaje, jest nie do zgojenia. Wówczas gdy ja godziłam w nią lub raczej kierowałam twą ręką, nie zapomniałam, że ta kobieta była moją rywalką, że bodaj przez chwilę mogłeś być ją znajdować pożądaną ode mnie i że mnie mogłeś jej podporządkować. Jeżeli chybiłam w mej zemście, zgadzam się ponieść następstwa omyłki. Toteż pozwałam ci próbować wszystkich środków: zachęcam cię do tego nawet; przyrzekam ci, iż się nie pogniewam, jeżeli ci się powiedzie. Jestem tak spokojna, że nie chcę się tym nawet zajmować. Mówmy o czym innym.

Na przykład o zdrowiu małej Volanges. Udzieliś mi o nim stanowczych wiadomości za moim powrotem, nieprawdaż? Bardzo mnie to zajmuje. Później twoją rzeczą będzie

osądzić, czy będziesz wolał oddać dziewczkę miłemu, czy kusić się po raz drugi o stworzenie nowej gałęzi Valmontów pod nazwiskiem Gercourtów. Myśl ta wydała mi się dość zabawna i zostawiając ci wybór, proszę cię jednak, abys nie podejmował stanowczego postanowienia, dopóki o tym nie pomówimy ze sobą. Nie znaczy to, bym cię chciała skazywać na zbyt długie oczekiwanie, albowiem będę w Paryżu lada moment. Nie mogę ci stanowczo oznaczyć dnia; ale bądź pewien, że skoro tylko przybędę, pierwszy otrzymasz o tym wiadomość.

Z zamku, \*\*\* 29 listopada 17\*\*

## LIST CXLVI

*Markiza de Merteuil do kawalera Danceny*

Nareszcie wyruszam stąd, mój młody przyjacielu, i jutro wieczorem będę z powrotem w Paryżu. Przez parę pierwszych dni nie mam zamiaru przyjmować nikogo. Mimo to jeśli miałbyś jakieś pilne zwierzenie, godzę się wyłączyć pana z ogólnej reguły; ale jedynie pana: toteż proszę o zachowanie w tajemnicy mego przyjazdu. Nawet Valmonta o nim nie uwiadomiam.

Gdyby mi ktoś był powiedział niedawno, że wkrótce staniesz się posiadaczem mego wyłącznego zaufania, nie byłabym uwierzyła. Widać, twoja ufność pociągnęła moją. Gotowa jestem przypuszczać, że włożyłeś w to nieco przebiegłości, może nawet kokieterii. To by nie było dobrze z twojej strony! Ale dziś to nie jest niebezpieczne: wszakże masz teraz co innego do roboty. Skoro Heroína jest na scenie, komuż by przyszło do głowy zajmować się Powiernicą...

Nic dziwnego też, iż nie znalazłeś nawet czasu, aby mnie powiadomić o swoich nowych postępkach. Gdy twoja Cesia była nieobecna, dnia nie starczyło, aby wysłuchać twych czułych lamentów. Byłbyś je posyłał echem, gdyby nie było mnie pod ręką. Kiedy potem była cierpiąca, i wówczas jeszcze nawet zaszczyliłeś mnie zdaniem sprawy ze swych niepokojów: potrzebowałeś zwierzyć się komuś; ale teraz, kiedy przedmiot twych uczuć jest w Paryżu, kiedy się ma dobrze, a zwłaszcza kiedy go widzisz od czasu do czasu, starczy ci już za wszystko, a przyjaciele stali się niczym.

Nie potępiam cię za to, to wina twoich dwudziestu lat. Od Alcybiadesa aż do ciebie wiadomą jest rzeczą, że wszyscy młodzi ludzie znali przyjaźń jedynie w strapieniach! Szczęście rodzi w nich czasem potrzebę niedyskrecji, ale nigdy zaufania. Powiem tedy razem z Sokratesem: „Lubię, aby moi przyjaciele przychodzili do mnie wówczas, gdy są nieszczęśliwi”<sup>18</sup>: ale on, w swoim charakterze filozofa, obchodził się wybornie bez nich, gdy nie przychodzili. Pod tym względem nie jestem jeszcze tak roztropna jak on i odczuwam twoje milczenie całą słabością kobiety.

Do widzenia, kawalerze; serdecznie się cieszę na to, iż cię zobaczę: czy przyjdiesz?

Z zamku \*\*\*, 29 listopada 17\*\*

## LIST CXLVII

*Pani de Volanges do pani de Rosemonde*

Martwisz się zapewne nie mniej ode mnie, czcigodna przyjaciółko, dowiadując się o stanie pani de Tourvel; jest chora od wczoraj: choroba jej wystąpiła tak nagle i groźnie, że jestem istotnie zaniepokojona.

Gwałtowna gorączka, prawie ciągła nieprzytomność, nieugaszone pragnienie, oto wszystko, co można stwierdzić. Pielęgnowanie jej będzie o tyle trudniejsze, że z uporem wzbrania się przyjąć jakiegokolwiek lekarstwo: do tego stopnia, że trzeba było ją trzymać przemocą, aby jej krew puścić. Ty, która, jak ja, znałaś ją tak wątłą, nieśmiałą i łagodną, czy

<sup>18</sup> Powiem tedy razem z Sokratesem (...) — Marmontel, *Opowiastka moralna o Alcybiadesie*. [przypis tłumacza]



wyobrażasz sobie, że cztery osoby zaledwie mogą ją utrzymać i że, o ile tylko próbuje się ją nakłonić do czego, wpada w niepojęte objawy szału? Co do mnie, lękam się, że to jest coś więcej niż same następstwo gorączki: obawiam się wprost choroby umysłowej.

Obawy moje w tym kierunku pomnaża jeszcze wszystko to, co zaszło przedwczoraj. Około jedenastej rano przybyła w towarzystwie panny służącej do klasztoru \*\*\*. Ponieważ była wychowana w tym domu i miała zwyczaj odwiedzać go niekiedy, przyjęto ją jak zwykle; wydała się wszystkim spokojna i zdrowa. W dwie godziny potem zapytała, czy pokój, który zajmowała będąc pensjonarką, jest wolny; gdy zaś odpowiedziano twierdząco, prosiła, iż chce go zobaczyć. Następnie oznajmiła, że pragnie zamieszkać w tym pokoju, i dodała, iż opuści go dopiero umarłą: to było jej wyrażenie.

Zrazu nie wiadomo, co powiedzieć: ale gdy ustąpiła chwila pierwszego zdumienia, przedstawiono jej, iż jako osoba zamężna nie może zostać przyjęta bez szczególnego upoważnienia. Ten argument ani tysiąc innych nie miały żadnego wpływu; uparła się nie tylko nie opuścić klasztoru, ale nawet swojej izdebki. Wreszcie, po długiej walce, o siódmej godzinie wieczór zgodzono się, aby tam spędziła noc. Odesłano powóz i ludzi i odłożono do następnego dnia dalsze postanowienia.

Wszyscy się oddalili z wyjątkiem panny służącej, która, szczęściem, dla braku innego miejsca musiała spędzić noc w tym samym pokoju.

Wedle opowiadań tej dziewczyny, pani jej miała być dość spokojna aż do godziny jedenastej wieczór. Wówczas oznajmiła, iż chce się położyć: ale zanim ją rozebrano, zaczęła przechadzać się po pokoju, zdradzając wielkie podniecenie. Julia, która była świadkiem tego, co się działo w ciągu dnia, nie śmiała jej nic powiedzieć i czekała w milczeniu blisko przez godzinę. Wreszcie pani de Tourvel zawołała na nią dwukrotnie, raz po raz: zaledwie miała czas nadbiegnąć, pani upadła w jej ramiona, mówiąc: „Już nie mogę”. Pozwoliła się zaprowadzić do łóżka, ale nie chciała nic przyjąć ani też nie pozwoliła wzywać jakiej bądź pomocy.

Nazajutrz zaniepokojona przeorysza kazała posłać po mnie o godzinie siódmej rano... Jeszcze było ciemno. Przybiegłam bezzwłocznie. Kiedy mnie oznajmiono, pani de Tourvel na chwilę jak gdyby odzyskała przytomność i rzekła: „Ach, dobrze, niech wejdzie”. Kiedy się zbliżyłam, uściśnęła mnie żywo za rękę i rzekła: „Umieram, iżem ci nie uwierzyła”. Wkrótce później straciła na nowo przytomność.

Te słowa zwrócone do mnie i parę wyrazów, jakie wymknęły się w jej majaczeniach, budzą we mnie obawę, że ta straszna choroba ma może za źródło przyczyny jeszcze straszliwsze. Ale uszanujmy tajemnicę naszej przyjaciółki i poprzestańmy na ubolewaniu nad jej nieszczęściem.

Cały wczorajszy dzień był również niespokojny: po napadach następowały chwile le-targicznej obojętności, jedyne, w których ona sama i jej otoczenie zażywa nieco spoczynku.

Żegnam cię, czcigodna przyjaciółko, spieszę do chorej. Córka moja, która na szczęście ma się już prawie dobrze, załącza dla pani wyrazy uszanowania.

*Paryż, 29 listopada 17\*\**

## LIST CXLVIII

*Kawaler Danceney do markizy de Merteuil*

O ty jedyna! Ty ubóstwiana! Ty, która pierwsza dałaś mi poznać szczęście! Która upo-ilaś mnie nim do niepamięci! Czula przyjaciółko, kochanko tkliwa, czemuż wspomnienie twej boleści musi zamącać ten czar, jakiego doznaję? Ach, pani, uspokój się, przyjaźń błaga cię o to. O moja przyjaciółko! Bądź szczęśliwa, oto prośba miłości.

I cóż ty możesz sobie wyrzucać? Wierzaj mi, skrupuły prowadzą cię zbyt daleko. Twoja zgryzota, twoje żale do mnie, zarówno są bezpodstawne; czuję w sercu, że jedynym naszym uwodzicielem była miłość. Nie lękaj się więc dłużej oddać się uczuciu, jakie budzisz, pozwól się ogarnąć ogniom zrodzonym przez ciebie! Jak to, czyż dlatego, iż poznały całą prawdę zbyt późno, nasze serca miałyby przez to być mniej czyste? Przenigdy! Przeciwi-

nie, jedynie sztuka uwodzenia, działając zawsze z rozmysłem, zdolna jest opanować swoje postępy i środki i przewidywać z góry bieg wydarzeń. Ale miłość prawdziwa nie pozwala namyślać się i obliczać: najsilniej działa wówczas, kiedy zjawia się bez naszej świadomości: w cieniu milczenia oplata nas więzami, których zarówno jest nam niepodobna się ustrzec, jak je zerwać.

Tak i wczoraj jeszcze, mimo żywego wzruszenia, jakie sprawiała mi myśl o twoim powrocie, mimo radości, jakiej doznałem widząc ciebie, mniemałem mimo to, iż woła mnie i prowadzi jedynie spokojna przyjaźń: lub raczej, całkowicie oddany słodkim drganiom serca, zbyt mało zastanawiałam się nad ich źródłem. Tak samo jak ja, i ty, droga przyjaciółko, nieświadomie jeno odczuwałaś ten czar nieprzeparty; oboje poznaliśmy miłość, dopiero budząc się z upojenia, w jakim nas pogrążyła.

Ale to właśnie nas usprawiedliwia, a nie potępia. Nie, ty nie zdradziłaś przyjaźni, ani ja również nie nadużyłem twego zaufania. Nie znaliśmy naszych uczuć; bez woli i bez winy padliśmy ofiarą naszego złudzenia. Ach, nie skarżmy się na nie, myślimy jedynie o szczęściu, jakie nam ono zesłało. O ty, ukochana moja! Jakże nadzieja ta drogą jest memu sercu! Tak, odtąd, wolna od wszelkiej obawy, cała oddana miłości, będziesz podzielać moje pragnienia, moje zapęły, szaleństwa moich zmysłów, upojenia mej duszy; i każda chwila naszych szczęśliwych dni będzie się znaczyła nową rozkoszą.

Do widzenia, ty ubóstwiana. Zobaczę cię dziś wieczór, ale czy zastanę cię samą? Nie śmiem marzyć o tym. Och, ty pewno nie pragniesz tego tak bardzo jak ja.

*Paryż, 1 grudnia 17\*\**

## LIST CXLIX

*Pani de Volanges do pani de Rosemonde*

Spodziewałam się wczoraj przez cały dzień, czcigodna przyjaciółko, iż będę mogła udzielić ci dziś rano pomyślniejszych nowin: ale od wieczora nadzieja ta prysła. Wypadek, obojętny na pozór, lecz bardzo smutny w następstwach, uczynił stan chorej co najmniej równie rozpaczliwym jak poprzednio, jeżeli go nawet nie pogorszył.

Nie byłabym nic zrozumiała z tego nagłego przewrotu, gdybym nie była wysłuchiwała wczoraj zwierzeń naszej nieszczęśliwej przyjaciółki. Ponieważ nie ukrywała przede mną, że ty, pani, również jesteś powiadomiona o wszystkich jej niedolach, mogę przeto mówić bez zastrzeżeń.

Wczoraj rano, kiedy przybyłam do klasztoru, powiedziano mi, że chora śpi przeszło od trzech godzin; sen jej był tak spokojny i głęboki, że obawiałam się przez chwilę, czy to nie jest rodzaj letargu. W jakiś czas później obudziła się i sama rozsunęła zasłony łóżka. Spojrzała po nas wszystkich z wyrazem zdumienia, że zaś ja podniosłam się, aby podejść ku niej, poznała mnie, nazwała po imieniu i prosiła, abym się zbliżyła. Nie zostawiła mi czasu na żadne pytania i zapytała sama, gdzie jest, co my tu robimy, czy była chora i czemu nie jest u siebie.

Pozostała w ten sposób około pół godziny, w czasie której przemówiła tylko, aby mi podziękować. Następnie zachowała dość długo zupełne milczenie, które przerwała jedynie, aby powiedzieć: „Ach, tak, przypominam sobie, że przybyłam tutaj”. I w chwilę potem wykrzyknęła boleśnie: „Ach, moja przyjaciółko, znowu wracają moje cierpienia”. Ponieważ właśnie zbliżyłam się ku niej, pochwyciła mnie za rękę i przyciskając do niej czoło, mówiła dalej: „Wielki Boże, czyliż nie pozwolił mi umrzeć”. Jej wyraz bardziej jeszcze niż słowa poruszyły mnie do łez; spostrzegła to po moim głosie i rzekła: „Żałuj mnie! Ach, gdybyś znała...”. A potem, przerywając sobie: „Każ, niech nas zostawią same, powiem ci wszystko”.

Po owej bolesnej rozmowie nastąpił stan znacznego wyczerpania, jednakże aż do godziny piątej nasza przyjaciółka była dosyć spokojna: do tego stopnia, iż wszyscy odzyskaliśmy trochę nadziei. Na nieszczęście przyniesiono list do niej. Skoro go jej doręczono, odpowiedziała zrazu, iż nie życzy sobie przyjąć żadnego listu; na co nikt nie nalegał. Ale od tej chwili zdawała się bardzo niespokojna. Wkrótce potem zapytała, skąd pochodził

ten list? Z czyjego zlecenia był posłany? Nikt na to wszystko nie umiał dać odpowiedzi. Potem trwała jakiś czas w milczeniu; następnie zaczęła mówić: ale jej słowa bez związku przekonały nas wkrótce, że stan nieprzytomności znowu powraca.

Skoro uspokoiła się wreszcie, zażądała, aby jej oddano ów list. Zaledwie rzuciła nań oczami, wykrzyknęła: „Od niego! wielki Boże!”, a potem głosem silnym, choć zdławionym: „Zabierzcie go, zabierzcie go”. Kazała natychmiast zasunąć firanki łóżka i zabroniła komukolwiek się przybliżyć; ale zmuszone byliśmy to uczynić, gdyż napady szału pojawiły się znowu silniejsze niż kiedykolwiek, a dołączyły się do nich konwulsje istotnie przerażające. Te objawy nie ustały już cały wieczór, a ranny biuletyn powiadamia mnie, że noc była nie mniej burzliwa. Słowem stan jej, jak obecnie, pozostawia bardzo niewiele nadziei.

Przypuszczam, że ten nieszczęśliwy list jest od pana de Valmont; co ten człowiek może jeszcze śmieć pisać do niej? Wybacz, droga przyjaciółko, powstrzymuję się od wszystkich sądów; ale zbyt boleśnie jest patrzeć, jak nędznie ginie kobieta aż dotąd tak szczęśliwa i tak godna tego szczęścia.

*Paryż, 2 grudnia 17\*\**

## LIST CL<sup>19</sup>

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Zapewne, markizo, nie uważasz mnie za takiego dudka, aby przypuszczać, że dałem zamydlić sobie oczy co do tego sam na sam, na jakim zastałem cię dziś wieczór i co do *zadziwiającego przypadku*, który sprowadził Dancenego do ciebie!

Na nic się nie zdały twoje znamienite talenta w sztuce udawania: jeżeli chciałaś nimi osiągnąć cel, jaki sobie zamierzyłaś, trzeba było przedtem staranniej wyszkolić twego niedoświadczonego kochanka.

Skoro zaczniesz się zajmować wychowaniem, przyzwyczajaj swoich uczniów, aby nie czerwienili się i nie mieszały przy najłżejszym żarcie; aby się nie wypierali tak gwałtownie, potwierdzając tym najdotkliwiej wszelkie podejrzenia. Naucz ich dalej, aby umieli słuchać pochwał oddawanych kochance i nie czuli się obowiązani przyjmować tę grzeczność w swoim imieniu; a jeżeli im pozwolisz patrzeć na siebie w towarzystwie, niechaj umieją przynajmniej wprzód osłaniać to spojrzenie *posiadania*, tak łatwe do odgadnięcia, które miesza się tak niezręcznie ze spojrzeniem miłości. Wówczas będziesz mogła ich przedstawiać na swoich popisach publicznych bez obawy, aby ich zachowanie przyniosło ujmę doświadczonej nauczycielce; a ja sam, szczęśliwy, iż mogę przyczynić się do twego rozgłosu, przyrzekam ci sporządzić i ogłosić prospekt tej nowej uczelni.

Na razie jednak muszę ci wyrazić moje zdziwienie, iż to mnie właśnie umyśliłaś sobie traktować jako uczniaka.

Och, z jaką przyjemnością zemściłbym się za to na każdej innej kobiecie! Tak, dla ciebie tylko jednej godzę się przelożyć pojednanie nad odwet; a nie sądzę, że powstrzymuje mnie w tym najmniejsza wątpliwość, najmniejsza niepewność: wiem wszystko.

Jesteś w Paryżu od czterech dni; codziennie widywałaś się z Dancenym i tylko z nim jednym. Dzisiaj nawet drzwi twoje były jeszcze zamknięte; i jeżeli mimo to wszedłem, to jedynie dlatego, iż twojemu szwajcarowi nie stało tej pewności siebie, jaką ty posiadasz. Z tym wszystkim zapewniłaś mnie, iż pierwszy będę powiadomiony o twoim przybyciu: przybyciu, którego dnia nie mogłaś mi jeszcze oznaczyć, podczas gdy pisałaś do mnie w wilię wyjazdu. Czy zaprzeczysz tym faktom, czy spróbujesz się z nich wytłumaczyć? Jedno i drugie jest zarówno niemożliwe; i ja mimo to paktuję z tobą jeszcze? Poznaj

<sup>19</sup>List CL — w przekładzie Tadeusza „Boy’a” Żeleńskiego, którego wkład, jako tłumacza i popularyzatora w upowszechnienie najcenniejszych dzieł literatury francuskiej w Polsce pozostaje niezwykle cenny, zabrakło listów numerowanych w oryginale CL, CLX i CLXI oraz fragmentów innych listów, a także *Przedmowy redaktora* i *Przypisu nakładcy* kończącego utwór; z tego powodu numeracja różni się od pierwotnej. [przypis edytorski]

w tym swoją władzę: ale wierz mi, poprzestań na tej próbie i nie przeciągaj dłużej struny. Znamy się z sobą markizo, niech ci to słowo wystarczy.

Powiedziałas mi, że wychodzisz jutro na cały dzień? Doskonale, jeżeli wychodzisz w istocie; domyślasz się, że dowiem się o tym. Ale mam nadzieję, iż wrócisz wieczorem; że zaś pojednanie nasze dość jest trudne, nie będziemy mieli wcale zbyt wiele czasu na nie aż do poranka. Proszę więc o wiadomość i oznaczenie miejsca, gdzie się mogą odbyć nasze liczne i obustronne ekspiacje: u ciebie czy tam, u *nas*? A przede wszystkim koniec z Dancenym. Pomyśl, że od tej chwili to, co było jedynie kaprysem, stałoby się wyraźnym wyróżnieniem go moim kosztem i na moją niekorzyść. Nie czuję najmniejszej chęci znosić to upokorzenie i nie spodziewam się doznać go od ciebie.

Mam nadzieję, iż ofiara nie będzie dla ciebie zbyt ciężką. Ale gdyby cię to nawet miało coś kosztować, zdaje mi się, że ja dałem dosyć piękny przykład? Że urocza i kochająca kobieta, która istniała jedynie dla mnie, co w tej chwili umiera może z miłości i żalu, warta jest młodego uczniaka, któremu, mogę ci to przyznać, nie zbywa urody i wdzięku, ale który ostatecznie jest jeszcze smarkaczem.

Do widzenia, markizo; nie mówię ci nic o moich uczuciach dla ciebie. Wolę w tej chwili nie zastanawiać się zbyt nad nimi. Czekam twojej odpowiedzi. Pomnij, że im łatwiej ci jest zatrzeć w mej pamięci zniewagę, jaką mi wyrządziłaś, tym bardziej odmowa z twojej strony, prosta odwłoka nawet, wyrwałyby ją w mym sercu niezatartymi głoskami.

*Paryż, 3 grudnia 17\*\**

## LIST CLI

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Miejże choć trochę względów, wicehrabio, i oszczędzaj nieco więcej lękliwą kobietę! Zmiażdżyłeś mnie wprost groźbą, iż mogę ściągnąć na siebie twoje oburzenie, a cóż dopiero twoją zemstę! Tym bardziej że, jak wiesz, gdybyś ty dopuścił się względem mnie jakiejś niegodziwości, niepodobienstwem byłoby mi ją odpłacić. Mogłabym co najwyżej rozgłosić to i owo: ale i cóż stąd? Nie naruszyłoby to przecież w niczym ani świetności, ani bezpieczeństwa twojej egzystencji. W istocie, i czegoż miałbyś się obawiać? Że będziesz zmuszony wyjechać, o ile zostawia ci czas na to? Ale czyż nie można żyć za granicą tak samo jak tutaj? Wszystko razem wzięwszy, byleby dwór francuski pozostawił cię w spokoju na tym dworze, przy którym byś się umieścił, byłoby to jedynie dla ciebie zmianą pola twoich tryumfów. Po tej próbie przywrócenia ci zimnej krwi niniejszymi paroma uwagami, powracam do naszej sprawy.

Czy wiesz, wicehrabio, dlaczego ja nigdy nie chciałam wyjść powtórnie za mąż? Z pewnością nie dla braku korzystnych partii; jedynie aby nikt nie miał prawa wtrącać się do moich czynności. Nawet nie z obawy o moją swobodę, bo tę zawsze umiałabym sobie wywalczyć: ot, po prostu, chciałam oszukiwać jedynie dla przyjemności, a nie z musu. I oto ty mi piszesz list najbardziej *mężowski*, jaki można sobie wyobrazić. Prawisz mi o moich winach i twoim przebaczeniu! W jakiż sposób można uchybić temu, komu się nie jest nic winnym? Tego doprawdy nie umiem pojąć!

I o cóż idzie wreszcie? Zastałeś u mnie Dancenego i to ci się nie podobało? Doskonale! Ale cóż z tego za wnioski mogłeś wyciągnąć? Albo że to jest wynik przypadku, jak ci to mówiłam, albo też mojej woli, jak ci tego nie mówiłam. W razie pierwszej ewentualności list twój jest niesprawiedliwy; w razie drugiej śmieszny; warto było pisać doprawdy! Ale ty jesteś zazdrosny, a zazdrość nie rozumuje. Dobrze więc! Spróbuję rozumować za ciebie.

Albo tedy masz rywala, albo nie. Jeżeli go masz, trzeba zyskać moje względy, aby go zwyciężyć, jeżeli nie masz, trzeba również zyskać moje względy, aby się go ustrzec na przyszłość. Tak czy tak, droga zawsze jedna: zatem po cóż się dręczyć: i po cóż zwłaszcza mnie dręczyć! Czy już nie umiesz być miłszym? Czy nie jesteś już pewnym swej siły? Ależ, wicehrabio, niesprawiedliwy jesteś względem samego siebie. Ale nie, to nie to: rzecz cała w tym, że ja w twoich oczach nie jestem warta, abyś zadawał sobie tyle trudu. Nie tyle

pragniesz moich uczuć, ile chciałbyś nadużywać swej władzy nade mną. Niewdzięcznik z ciebie, doprawdy. Otóż i wpadłam w ton sentymentalny! Gdybym poszła jeszcze trochę dalej, skończyłoby się na czułości: ale nie, nie zasługujesz na to.

Nie zasługujesz również, abym się miała usprawiedliwiać. Aby cię ukarać za twoje posądzenia, zostawię cię przy nich: ani o tym, kiedy wróciłam, ani o motywie odwiedzin Danceny'ego nie powiem ani słowa. Zadałeś sobie niemało trudu, aby się wywiedzieć o wszystkim, nieprawdaż? No i cóż, dużoś na tym zyskał? Cieszę się, jeżeli znalazłeś w tym wiele przyjemności; moich nie zamąciłeś w niczym, to pewna.

Na twój list z pogroźkami mogę zatem odpowiedzieć tyle, że ani mnie nie ujął dla ciebie, ani nie przeraził, i że na razie czuję się niezmiernie odległą od tego, aby zaspokoić twoje pretensje.

Istotnie, przyjąć cię takim, jakim okazujesz się dzisiaj, to znaczyłoby dopuścić się względem ciebie prawdziwej niewierności. To by nie znaczyło powrócić do dawnego kochanka: to byłoby wziąć nowego, który ani w przybliżeniu nie może iść w porównanie z tamtym. Nie zapomniałam jeszcze na tyle o dawnym Valmoncie, aby móc go zdradzić w ten sposób. Valmont, którego kochałam, był pełen uroku; chętnie przyznaję nawet, iż w ogóle nie spotkałam miłszego odeń człowieka. Ach, proszę cię, wicehrabio, jeżeli go odnajdziesz, przyprowadź go do mnie; ten zawsze się spotka z najlepszym przyjęciem.

Upředź go jednak, że w żadnym wypadku nie mogłoby to być ani dziś, ani jutro. Jego sobowtór zaszkodził mu nieco w moich oczach: potrzeba mi czasu, aby ochłonąć z przykrego wrażenia; albo też może przyrzekłam Danceny'emu oba te dni? A twój list nauczył mnie, że ty nie żartujesz, skoro się uchybi słowu. Widzisz zatem, że trzeba czekać.

Ależ cóż ci to szkodzi? Wszakże tak łatwo możesz się zemścić nad rywalem. Nie uczyni twojej kochance nic gorszego niż ty jego własnej: a wreszcie, czyż jedna kobieta nie warta jest drugiej? To są twoje zasady. Tę nawet, która byłaby *kochająca i tkliwa*, która by *istniała jedynie dla ciebie, umierała z miłości i żalu*, i tę byś poświęcił dla kaprysu, dla obawy prostego żarciku; i ty chcesz, aby sobie robić z tobą ceremonie? Och, to by było niesprawiedliwie.

Do widzenia, wicehrabio; wracaj zatem i wracaj miły, jak dawniej. Wierz mi, ja niczego nie pragnę więcej, jak dopatrzeć się w tobie wszelkich uroków: z chwilą gdy to nastąpi, zobowiązuję się donieść ci o tym. Doprawdy, jestem za dobra.

*Paryż, 4 grudnia 17\*\**

## LIST CLII

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Odpowiadam natychmiast na list i postaram się być jasnym, co nie jest łatwym z panią, z chwilą gdy raz postanowiłaś sobie czegoś nie rozumieć.

Nie potrzeba długich rozpraw na to, aby stwierdzić, że wobec tego, iż każde z nas posiada w ręku wszelkie środki zgubienia drugiego, mamy w tym równy interes, aby się oszczędzać nawzajem. Toteż nie o to chodzi. Ale pomiędzy dwiema ostatecznościami jest jeszcze tysiąc innych: nie widzę zatem nic śmiesznego w tym, co ci powiedziałem i co ci jeszcze powtórzę, że jeszcze dzisiejszego dnia albo zostanę twoim kochankiem, albo twoim wrogiem.

Czuję doskonale, że taki wybór jest ci nie na rękę; że o wiele wolałabyś kręcić; wiem, że nigdy nie lubiłaś być postawiona w ten sposób pomiędzy *tak a nie*: ale ty musisz czuć nawzajem, że ja z mojej strony nie łatwo się godzę być wystrychniętym na dudka. Chętnie gotów jestem dać dobry przykład i oświadczam z przyjemnością, że wolę zgodę i pokój: ale jeżeli trzeba będzie je naruszyć, sądzę, że mam po temu prawo i środki.

Dodam więc, że najmniejszą trudność, z jaką spotkam się z twej strony, wezmę wprost za wypowiedzenie wojny: wszystkie piękne frazesy są zbyt czyste; dwa słowa wystarczą.

*Paryż, 4 grudnia 17\*\**

(odpowiedź markizy de Merteuil skreślona u dołu tegoż listu)

A zatem, wojna!

## LIST CLIII

*Pani de Volanges do pani de Rosemonde*

Biuletyny powiadają cię lepiej, niż ja bym to mogła uczynić, droga przyjaciółko, o smutnym stanie chorej. Pochłonięta całą pielęgnacją jej, nie odrywałabym się od tego obowiązku nawet dla pisania do ciebie, gdyby nie wydarzenie zaiste najmniej spodziewane. Oto dostałam list od pana de Valmont; podobało mu się obrać mnie za swoją powiernicę, a nawet pośredniczkę u pani de Tourvel, dla której dołączył również list przesłany mi razem z moim. Odesłałam mu go z powrotem, wraz z moją odpowiedzią. Posyłam pani list pisany do mnie; mniemam, iż osądzisz tak jak ja, że nie mogłam ani też nie powinna byłam uczynić tego, o co mnie prosi. Gdybym zresztą nawet chciała, nasza nieszczęśliwa przyjaciółka nie byłaby zdolna mnie zrozumieć. Bezprzytomność, majaczenie trwają ciągle. Ale co pani powie o tej rozpacz pan de Valmont? Czy tym razem jest szczerzy, czy też pragnie oszukać świat aż do końca<sup>20</sup>? Jeżeli rozpacz jego nie jest udana, może sobie powiedzieć, iż sam jest sprawcą swego nieszczęścia. Nie sądzę, aby był zbyt zadowolony z mojej odpowiedzi: ale wyznaję, iż wszystko, co mi jest wiadome o tej nieszczęsnej przygodzie, oburza mię coraz więcej przeciwko jej sprawcy.

Żegnaj cię, droga przyjaciółko: wracam do moich smutnych zadań, tym smutniejszych, iż pozbawionych jakiegokolwiek nadziei. Znasz pani uczucia, z jakimi pozostaję dla ciebie.

*Paryż, 5 grudnia 17\*\**

## LIST CLIV

*Wicehrabia de Valmont do kawalera Danceny*

Zachodziłem dwa razy do ciebie, drogi kawalerze: ale odkąd porzuciłeś rolę kochanka dla roli zdobywcy serc, rozumie się samo przez się, iż stałeś się niewidzialnym. Twój służący zapewniał mnie, że wrócisz do domu przed wieczorem: ale ja, który powiadomiony jestem o twoich zamiarach, odgadłem łatwo, iż wpadniesz jedynie na chwilę, aby przywdziać strój odpowiedni do sytuacji i natychmiast pogonisz na pole chwały i zwycięstw. Ślicznie to z twojej strony; mogę ci tylko przyklasnąć; ale może na dzisiaj wieczór zmienisz kierunek twej tryumfalnej pogoni. Znasz jedynie bardzo połowicznie swoje własne sprawy; trzeba cię obznajmić z nimi nieco wszechstronnie, a potem sam rozstrzygniesz.

Masz schadzki na dzisiejszą noc, nieprawdaż? Z kobietą uroczą, którą ubóstwiasz? Ach, bo któreż kobiety nie ubóstwiają się w twoim wieku, przynajmniej przez pierwszy tydzień! Wszystko ułożone; jesteś oczekiwany w małym domku *urządzonym wyłącznie dla ciebie* i liczysz minuty dzielące cię od chwili, w której tam pospieszysz. To wiemy obaj, jakkolwiek nie powiedziałeś mi ani słowa. A teraz oto czego nie wiesz i co trzeba, abym ci powiedział.

Od czasu powrotu do Paryża pracowałem nad sposobami zbliżenia cię do panny de Volanges: przyrzekłem ci to wszakże. Jeszcze ostatni raz, kiedy o tym z tobą mówiłem, mogłem sądzić z twoich uniesień, że czyniąc to, pracuję dla twego szczęścia. Nie mogłem sam doprowadzić do skutku tego trudnego przedsięwzięcia, ale przygotowałem teren, resztę powierzyłem gorliwości twojej ukochanej. Miłość natchnęła ją pomysłowością, której nie stało memu doświadczeniu; jakoż powiedziała mi dziś wieczorem, iż od dwóch dni wszystkie przeszkody znikły i szczęście twoje zależy jedynie od ciebie.

<sup>20</sup>Jest szczerzy, czy też pragnie oszukać świat aż do końca — ponieważ dalszy ciąg niniejszej korespondencji nie rozwiązuje tej wątpliwości, uważano za stosowne pominąć list p. de Valmont. [przypis autorski]

Od dwóch dni pieściła się myślą, iż sama będzie ci mogła oznajmić tę nowinę; byłaby cię przyjęła w nieobecności mamy: ale ty się nie pokazałeś! Nie taję ci, iż młoda osóbką wydała mi się nieco dotknięta tym brakiem zapalu z twojej strony. Wreszcie znalazła sposób porozumienia się ze mną i kazała mi przyrzec, iż oddam ci jak najspieszniej list, który oto dołączam. Założyłbym się, że chodzi tu o schadzkę na dzisiejszy wieczór: w każdym razie przyrzekłem na honor i przyjaźń, że otrzymasz czułą przesyłkę w ciągu dzisiejszego dnia, i nie mogę ani nie chcę uchybić memu słowu.

A teraz, młody człowieku, jakąż częśćką wybierzesz? Stojąc na rozdrożu pomiędzy miłością a miłością, pomiędzy przyjemnością a szczęściem, jakiż uczynisz wybór? Gdybym mówił do Danceny'ego sprzed trzech miesięcy, a nawet sprzed tygodnia, byłbym zarówno pewny jego serca jak postępów, ale Danceny dzisiejszy, rozrywany przez kobiety, goniący za przygodami i który się stał, jak zwyczajnie się dzieje, po trosze łotrzykiem, czy będzie umiał przełożyć młodą dziewczynę bardzo nieśmiałą, której wdzięk stanowi jedynie jej piękność, niewinność i miłość, nad powaby dojrzałej i wytrawnej kobiety? Co do mnie, drogi przyjacielu, zdaje mi się, że nawet wedle twoich nowych zasad, które, wyznaję, i ja po trosze podzielam, w tych okolicznościach skłoniłbym się jednak ku młodej kochance. Przede wszystkim będzie to jedna więcej; przy tym, gdy chodzi o pierwszy krok, niełatwo jest odzyskać sposobność, gdy ją się raz utraci. Tonąca cnota czepia się niekiedy gałęzi, a skoro raz się ocali, ma się już na baczności i nierychło daje się podejść.

Przeciwnie, z drugiej strony na cóż się narażasz? Nawet nie na zerwanie; co najwyżej na poróżnienie, któremu będziesz zawdzięczał nowe rozkosze pojednania. Jakaż inna droga pozostaje kobiecie, która się już oddała, jak droga pobłażania? Cóż zyskałaby na uporze? Utratę przyjemności bez zysku dla dobrej sławy.

Jeżeli, jak to przypuszczam, pospieszysz drogą miłości, która wydaje mi się zarazem drogą rozsądku, sądzę, że przezorniej będzie nie odwoływać dzisiejszej schadzki; pozwól po prostu czekać na siebie: gdybyś spróbował podać jakąś przyczynę, bardzo możliwe, iż starano by się ją sprawdzić. Jutro możesz obmyślić jakąś niezwalczoną przeszkodę, która cię rzekomo zatrzymała; mogłeś na przykład zasłać albo coś innego w tym rodzaju; wyrazisz ubolewanie i wszystko się naprawi.

Jakkolwiek zresztą wypadnie twoje postanowienie, proszę cię jedynie, abyś mnie uwiadomił o nim; że zaś mnie to nie dotyczy, tak czy tak będę uważał, iż dobrze uczyniłeś. Do widzenia, drogi przyjacielu.

Powiem ci jeszcze tylko, iż żaluję pani de Tourvel, rozłączenie z nią doprowadza mnie do rozpacz i połowę życia opłaciłbym szczęście poświęcenia jej drugiej połowy. Ach, wierzaj mi, nie masz na świecie nic nad miłość!

*Paryż, 5 grudnia 17\*\**

## LIST CLV

*Cecylia Volanges do kawalera Danceny*

*(dołączony do poprzedzającego)*

Czym się to dzieje, drogi przyjacielu, że tak rzadko cię widuję, mimo iż pragnę tego zawsze? Czyżbyś ty nie miał już na to takiej ochoty jak ja? Ach, teraz dopiero naprawdę czuję się smutna!... Bardziej smutna niż wtedy, kiedy byliśmy całkiem rozłączeni. Przedtem zgrzyoty moje pochodziły od innych; teraz od ciebie: a to o wiele bardziej boli.

Od kilku dni mamy prawie zupełnie nie ma w domu, wszak wiesz o tym; miałam nadzieję, że spróbujesz skorzystać z tych chwil większej swobody: ale ty ani się zatroszczysz o mnie: bardzo jestem nieszczęśliwa! Tyle razy mi mówiłeś, że to ja z nas dwojga mniej kocham! Ja wiedziałam, że jest przeciwnie, i oto mamy dowody. Wart byś był, abym ci nic nie powiedziała, com zrobiła dla ułatwienia widywania się, a z czym ogromnie dużo miałam kłopotu; ale zanadto pana kocham i zanadto mam ochotę go widzieć, abym mogła to zataić; a przy tym chcę się przekonać, czy pan mnie kocha naprawdę!

Zatem dokazałam tego, że odźwierny trzyma z nami: przyrzekł mi, że ile razy pan przyjdzie, pozwoli panu wejść, udając, że pana nie widzi. Możemy zupełnie mu zaufać; to bardzo pocziwy człowiek. Chodzi więc tylko o to, aby pana nikt nie spostrzegł w domu; a to bardzo łatwo, jeżeli pan przyjdzie dopiero późno wieczór. Panna służąca przyrzekła mi, że się nie obudzi; to także bardzo pocziwa dziewczyna! A teraz zobaczymy, czy pan przyjdzie.

Mój Boże, czemu mi serce bije tak mocno, gdy piszę do pana? Czy to znaczy jakie nieszczęście, czy też tak z nadziei zobaczenia ciebie? Wiem tylko, że jeszcze nigdy pana tak nie kochałam ani nie miałam takiej ochoty, żeby to panu powiedzieć. Niech pan przyjdzie, mój złoty, mój najdroższy panie: niech mogę ci powtórzyć sto razy, że cię kocham, że cię ubóstwiam, że nie będę nigdy kochała nikogo prócz ciebie.

Przyjdź, jeżeli nie chcesz, aby *twoja Cesia* była bardzo nieszczęśliwa.

Do widzenia, najdroższy, ściskam cię z całego serca.

*Paryż, 4 grudnia 17\*\**

## LIST CLVI

*Kawaler Danceny do wicehrabiego de Valmont*

Nie wątp, drogi wicehrabio, ani o moim sercu, ani o moich postanowieniach: jakżeżbym się zdołał oprzeć życzeniom Cecylii? Ach tak, czuję, że ją jedną kocham, ją jedną kochać będę zawsze! Jej prostota, jej tkliwość, mają dla mnie urok, któremu mogłem sprzeniewierzyć się na chwilę, lecz którego nic nie zatrze w mej pamięci. Zaplątany, mogę powiedzieć, niemal bezwiednie w inną przygodę, nieraz nawet wśród najslodszych uciech dręczyłem się wspomnieniem Cecylii; może nigdy serce moje nie wspominało jej tak tkliwie i szczerze, jak właśnie w chwili, gdy byłem jej niewiernym. Mimo to, drogi przyjacielu, oszczędzajmy jej wrażliwość, niech nie wie nic o moich winach: nie, aby ją oszukiwać, ale aby jej nie martwić. Szczęście Cecylii jest najgorętszym pragnieniem mej duszy: nigdy nie przebaczyłbym sobie błędu, który by ją kosztował bodaj jedną łzę.

Zasłużyłem, czuję to, na przycinki, jakimi mnie smagasz, mówiąc o moich *nowych zasadach*: ale możesz mi wierzyć, że nie one w tej chwili kierują moim postąpieniem i że nie dalej jak jutro gotów jestem to udowodnić. Pójdę oskarżyć się przed istotą, która stała się przyczyną mego zbłąkania i sama je podzieliła; powiem jej: „Czytaj w mym sercu: od-dycha dla ciebie najtkliwszą przyjaźnią; przyjaźń złączona z pożądaniem tak podobna jest do miłości!... Obojeśmy ulegli pomyłce; ale jeżeli byłem zdolny do popełnienia błędu, nie jestem zdolny do złej wiary”. Znam moją przyjaciółkę: jest zarówno zacna, jak rozumna; nie tylko mi przebaczy, ale uczyni więcej: pochwali moje postąpienie. Ona sama czyniła sobie nieraz wyrzuty, iż zdradziła przyjaźń; często skrupuły jej brały niemal górę nad miłością, ona wzmocni w mej duszy ten zbawienny głos sumienia, który ja starałem się lekkomyślnie przygłuszyć w jej sercu. Jej będę zawdzięczał, iż stanę się lepszym, tak jak tobie, iż będę szczęśliwym. O, przyjaciele moi, przyjmijcie moją wdzięczność! Myśl, iż wam zawdzięczać będę moje szczęście, powiększa jego cenę.

Do widzenia, wicehrabio. Mimo wybuchu mej radości myślę o twoich zgryzotach i biorę w nich najżywszy udział. Czemuż nie mogę ci być użytecznym! Pani de Tourvel pozostaje zatem nieubłagana? Mówiono mi również, że jest bardzo chora. Mój Boże, jakże mi ciebie żal!

Chciałbym móc dłużej rozmawiać z tobą; ale czas nagli: może Cecylia mnie już oczekuje.

*Paryż, 5 grudnia 17\*\**

## LIST CLVII

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*



(rano, po przebudzeniu się)

I cóż, markizo, jakże się czujesz po rozkoszach ubiegłej nocy? Czy nie jesteś nieco zmęczona? Przyznaj, że Danceny jest zachwycający! Cudów, doprawdy, dokazuje ten chłopak! Nie spodziewałaś się tego po nim, nieprawdaż? Szczerze uderzam się w pierś; taki rywal zasługiwał, aby mnie dla niego poświęcić. W istocie, pełen jest cennych przymiotów! Ale zwłaszcza co za miłość, co za stałość, jaka delikatność! Ach, jeżeli kiedykolwiek zdoła pokochać cię tak jak swoją Cecylię, nie będziesz miała przyczyny obawiać się rywalek. Dowiedział ci tego ubiegłej nocy. Może przy pomocy wyrafinowanej zalotności inna kobieta potrafi ci go odebrać na chwilę; młodemu chłopcu trudno jest zostać nieczułym na zbyt czynne dowody sympatii; ale jedno słowo ukochanej istoty wystarczy, jak widzisz, aby rozproszyć złudzenie; toteż trzeba ci się jedynie postarać, aby zostać tą ukochaną istotą, a będziesz zupełnie szczęśliwą.

Z pewnością ty, markizo, nie omylisz się co do tego; zanadto wiele masz znajomości przedmiotu, aby się można było o to obawiać. Mimo to przyjaźń, jaka nas łączy, równie szczerą z mojej strony, jak dobrze odwzajemniana z twojej, obudziła we mnie chęć uczynienia w twoim interesie dzisiejszej nocy tej małej próby. Tak; jest to dzieło mojej gorliwości; powiodło się najzupełniej; ale, proszę, żadnych podziękowań; nie warto mówić o tym; nie było nic łatwiejszego pod słońcem. Ot, po prostu, zgodziłem się podzielić z młodym człowiekiem względy jego kochanki: ostatecznie, on miał do nich tyleż praw co ja; a mnie zależało na tym tak niewiele! Sam dyktowałem list, który młoda osoba napisała; ale to jedynie, aby zyskać nieco czasu: mieliśmy nań o tyle lepszy użytek! Dołączyłem do tego listu kilka słów od siebie; och, prawie bez znaczenia; parę przyjacielskich uwag, aby pokierować decyzją nowego kochanka; ale, doprawdy, były zupełnie zbyteczne: trzeba mu przyznać, iż nie wahał się ani przez chwilę.

Zresztą on sam, w całej niewinności, wybiera się dziś do ciebie, aby wyznać wszystko; z pewnością ta opowieść sprawi ci wielką przyjemność: powie ci: *czytaj w moim sercu*; czyż to nie oplaca wszystkiego? Mam nadzieję, że czytając w nim to, czego on pragnie, wyczytasz tam również, że kochankowie tak młodzi mają swoje niebezpieczeństwa; i jeszcze to, że lepiej jest mnie mieć za przyjaciela niż za wroga.

Do widzenia, markizo, aż do najbliższej sposobności.

Paryż, 6 grudnia 17\*\*

## LIST CLVIII

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

(bilecik)

Nie lubię, gdy ktoś dołącza liche żarty do szpetnych postępów: nie leży to ani w moim zwyczaju, ani w moim smaku. Kiedy mam do kogoś urazę, nie szydę zeń; robię lepiej: mszczę się. Mimo całego zadowolenia, w jakim się zdajesz tonąć w tej chwili, nie zapomnij, że nie pierwszy raz oklaskujesz się zawczasu, i to sam jeden, w nadziei tryumfu, który wymyka ci się z rąk w chwili, gdy się nim już szczycisz. Do widzenia.

Paryż, 6 grudnia 17\*\*

## LIST CLIX

Kawaler Danceny do wicehrabiego de Valmont

Jestem powiadomiony, wicehrabio, o pańskim postępowaniu względem mnie. Nie poprzestając na tym, iż oszukałeś i zdrwiłeś ze mnie niegodnie, chęłpisz się jeszcze i czu-

jesz się z tego dumnym. Widziałem dowód twej zdrady, kreślony własną ręką. Wyznaję, iż serce moje zakrwawiło się i że doznałem niejakiego wstydu, iż tak bardzo przyczyniłem się sam do wstrętnego nadużycia, jakiego dopuściłeś się na mojej ufności. Mimo to nie zazdroszczę ci tej haniebnej przewagi: jestem jedynie ciekawy, czy we wszystkim potrafisz ją uzyskać nade mną. Przekonam się o tym, jeżeli, jak mam nadzieję, zechcesz się znaleźć jutro pomiędzy ósmą a dziewiątą rano przy bramie lasku Vincennes, we wsi Saint-Mandé. Będę się starał dostarczyć tam wszystkiego, co będzie potrzebne dla wyjaśnień, jakich pozostaje mi od pana zażądać.

*Kawaler Danceny*

*Paryż, 6 grudnia 17\*\*, wieczorem.*

## LIST CLX

*Pan Bertrand do pani de Rosemonde*

Z niezmiernym żalem przychodzi mi dopełnić smutnego obowiązku zwiastowania pani nowiny, która cię przyprawi o tak okrutną boleść.

Szanowny siostrzeniec pani... Mój Boże! trzebaż, abym musiał martwić tak czcigodną jak ty, pani, istotę! Szanowny siostrzeniec pani miał nieszczęście polec w pojedynku, jaki stoczył dziś rano z panem kawalerem Danceny. Nie znam zupełnie przyczyny zwady: ale sądząc z biletu, który znalazłem jeszcze w kieszeni pana wicehrabiego i który mam zaszczyt dołączyć, zdaje się, iż nie on był stroną wyzywającą. I trzebaż, aby to jemu właśnie niebo pozwoliło zginąć!

Byłem w mieszkaniu pana wicehrabiego w chwili samej, kiedy go przyniesiono. Niech pani sobie wyobrazi moje przerażenie, gdy ujrzałem siostrzeńca jej dźwiganego przez dwóch ludzi, całego zalanego krwią. Miał dwie rany od pchnięcia szpadą i już był bardzo osłabiony. Pan Danceny był także obecny i nawet płakał. Ach, to pewna, że godzi mu się płakać: ale to nieco za późno wylewać łzy, kiedy się sprawiło nieszczęście bez ratunku!

Co do mnie, nie mogłem zapanować nad moim wzburzeniem: i mimo że jestem tak skromną osobą, wyraziłem, co o tym mniemam. Ale tutaj pan wicehrabia okazał się istotnie wielkim. Kazał mi umilknąć; ujął za rękę człowieka, który był jego mordercą, nazwał go swoim przyjacielem, uściskał wobec nas wszystkich i rzekł: „Nakazuję wam, abyście mieli dla pana wszystkie względy, jakie należą dzielnemu i szlachetnemu człowiekowi”. Kazał mu jeszcze oddać przy mnie dużą pakę papierów, których zawartości nie znam, ale wiem, iż pan wicehrabia przywiązywał do nich dużą wagę. Następnie zażądał, aby ich zostawiono samych. Wśród tego kazałem natychmiast posłać po wszelką pomoc, tak doczesną jak duchowną; ale niestety zło było już bez ratunku. W niespełna pół godziny potem pan wicehrabia był bez przytomności. Zaledwie udzielono mu ostatniego namaszczenia, wyzionął ducha.

Mój Boże! Kiedy przy urodzeniu obejmowałem w ramiona tę szacowną nadzieję tak znamienitego domu, czyż mogłem być przewidywać, że w moich ramionach wyzionie ducha i że mnie przyjdzie ten zgon oplakiwać? Śmierć tak przedwczesna i tak nieszczęśliwa! Łzy płyną mi z oczu mimo mej woli. Racz mi wybaczyć pani, iż śmiem tak mieszać moją boleść z twoją własną: ale, w jakim bądź stanie, człowiek ma serce i tkliwość; toż byłbym bardzo niewdzięczny, gdybym nie oplakiwał całe życie pana, który okazywał mi tyle dobroci i zaszczycał mnie takim zaufaniem.

Jutro, po wyniesieniu ciała, każe położyć pieczęcie na wszystkim i może pani najzupełniej polegać na mojej wierności. Nie jest pani tajnym, że ten nieszczęśliwy wypadek kładzie koniec pełnomocnictwu i daje zupełną swobodę twoim, pani, rozporządzeniom. Jeżeli mogę być w czymś użytecznym, proszę o łaskawe przesłanie mi rozkazów: dołożę całej gorliwości, aby zostały ściśle wykonane.

Pozostaję z najgłębszym uszanowaniem pani bardzo pokornym etc.

*Paryż, 7 grudnia 17\*\**

## LIST CLXI

*Pani de Rosemonde do pana Bertrand*

Otrzymuję twój list w tej chwili, mój drogi Bertrandzie, i dowiaduję się z niego o okropnym wypadku, którego mój siostrzeniec stał się nieszczęśliwą ofiarą. Tak, oczywiście, mam dla ciebie zlecenia i jedynie dla nich mogę się zająć w tej chwili czym innym niż moją śmiertelną boleścią.

Bilet pana Dancenya, przysłany mi przez ciebie, jest dowodem bardzo przekonywującym, że to on wywołał pojedynek: toteż żądam, abyś natychmiast wniósł w tej sprawie skargę w mym imieniu. Przebacząc nieprzyjacielowi, siostrzeniec mój szedł za popędem wrodzonej szlachetności; ale ja, ja powinnam pomścić jednocześnie jego śmierć, ludzkość i religię. Mamy wszelkie prawo i obowiązek odwołać się do surowości praw przeciwko temu zabytkowi barbarzyństwa, który plugawi jeszcze nasze obyczaje; nie sądzę też, aby przykazanie, które nam zaleca wybaczenie krzywd, mogło się odnosić do tego zdarzenia. Oczekuję tedy, że wdrożysz postępowanie w tej sprawie z całym oddaniem i energią, do jakich wiem, że jesteś zdolny i które winien jesteś pamięci mego siostrzeńca.

Postarasz się przede wszystkim udać się do prezydenta de \*\*\* w moim imieniu i naradzisz się z nim w tym przedmiocie. Nie piszę do niego, gdyż pragnę co najspieszniej oddać się cała mej boleści. Przeprasz go za to i zaznajomisz z treścią tego listu.

Bywaj zdrow, drogi Bertrandzie; chwałę ci twoje dobre uczucia, dziękuję za nie i jestem oddana ci na całe życie.

*Z zamku \*\*\*, 8 grudnia 17\*\**

## LIST CLXII

*Pani de Volanges do pani de Rosemonde*

Wiem, że już powiadomiona jesteś, droga i godna przyjaciółko, o stracie, jaką poniosłaś; znałam twoje przywiązanie do pana de Valmont i podzielam bardzo szczerze zgryzotę, jakiej musisz doznawać. Ciężko mi, doprawdy, bardzo, iż muszę przyczyniać nowych żalów do tych, których doświadczasz w tej chwili: ale — niestety — już jedynie lży możesz ofiarować naszej nieszczęśliwej przyjaciółce.

Wiesz, że przeszło od dwóch dni była w stanie zupełnie bezprzytomnym; jeszcze wczoraj rano, kiedy przybył lekarz i kiedy zbliżyliśmy się do jej łóżka, nie poznała jego ani mnie i nie mogliśmy uzyskać od niej ani jednego słowa, ani najlżejszego znaku. I oto za ledwie powróciliśmy ku kominkowi, podczas kiedy lekarz zawiadamiał mnie o smutnym wypadku śmierci pana de Valmont, ta nieszczęsna kobieta odzyskała całą przytomność.

Powtarzające się kilkakrotnie słowo „Valmont” i „śmierć” obudziły jej czujność: odsunęła zasłony łóżka, wołając: „Jak to! co mówicie? Pan de Valmont nie żyje!”. Miałam nadzieję, iż uda mi się wmówić, iż się omyliła i zapewniałam ją zrazu, że źle nas zrozumiała; na próżno. Wymogła na lekarzu, aby powtórzył owo okrutne opowiadanie; a gdy jeszcze próbowałam ją odwieść od tej myśli, przywołała mnie i rzekła po cichu: „Po co mnie oszukiwać? Czyż on nie był już umarły dla mnie?”. Trzeba było zatem ustąpić.

Nasza nieszczęśliwa przyjaciółka słuchała zrazu z twarzą dość spokojną; ale wkrótce przerwała opowiadanie, mówiąc: „Dosyć, mam już dosyć”. Zażądała natychmiast, aby zasunąć firanki, a gdy lekarz chciał następnie zająć się staraniami swojego zawodu, nie pozwoliła bezwarunkowo, aby się do niej przybliżył.

Około czwartej przybył ojciec Anzelm i pozostał całą godzinę zamknięty sam z chorą. Skoro wróciliśmy, twarz jej była pełna spokoju i pogody. Reszta dnia spłynęła na wskazanych zwyczajem modłach, przerywanych jedynie częstymi omdleniami chorej. Wreszcie około godziny jedenastej wieczór wydało mi się, iż oddycha trudniej i więcej cierpi. Wy-

sunęłam rękę, aby ująć ją za ramię: miała jeszcze na tyle siły, aby wziąć moją rękę i położyć ją na swoim sercu. Nie uczułam już jego uderzeń i w istocie, nieszczęśliwa wyzionęła ducha w teże chwili.

Przypominam sobie, droga przyjaciółko, jak w czasie twej ostatniej podróży tutaj niespełna przed rokiem rozmawialiśmy wspólnie o kilku osobach, których szczęście wydawało się nam mniej lub więcej utrwalone. Wspomnialiśmy wówczas z upodobaniem los tej właśnie kobiety, której oplakujemy dziś równocześnie i zgon, i nieszczęścia! Tyle cnót, tyle chwalebnych przymiotów i powabów; usposobienie tak miłe i łatwe; mąż, którego kochała i który ją ubóstwiał; towarzystwo, w którym sobie podobała, a była jego rozkoszą; uroda, młodość, majątek; tyle najcenniejszych darów zniszczonych oto przez jedną nierozwagę! O Opatrzności! To pewna, iż trzeba uwielbiać twoje wyroki; ale jakżeż one są niezrozumiałe!

Opuszczam cię i spieszę do córki, która jest nieco cierpiąca. Dowiedziawszy się ode mnie dziś rano o śmierci tak niespodzianej dwojga znajomych osób, zasłabła nagle, tak iż kazałam ją położyć do łóżka. Mam nadzieję, że to lekkie niedomaganie nie będzie miało następstw.

Do widzenia, droga i godna przyjaciółko.

*Paryż, 9 grudnia 17\*\**

## LIST CLXIII

*Pan Bertrand do pani Rosemonde*

Pani, w następstwie rozkazów, jakie raczyłaś mi wydać, miałem zaszczyt udać się do pana prezydenta de \*\*\* i zapoznałem go z treścią pani listu. Zarazem oznajmiłem mu, że stosując się do twoich życzeń, nie uczynię nic bez jego wskazówki. Ten czcigodny dostojnik polecił mi zwrócić pani uwagę, że skarga, jaką masz zamiar wnieść przeciwko kawalerowi Danceny, naraziłaby zarówno pamięć jej szanownego siostrzeńca: dobra sława jego musiałaby być z konieczności dotknięta wyrokiem sądu, co byłoby z pewnością wielkim nieszczęściem. Jego zdanie jest, iż trzeba się wstrzymać od jakichkolwiek kroków; raczej, przeciwnie, dołożyć starań, aby ministerstwo publiczne nie powzięło wiadomości o tej nieszczęśliwej przygodzie, niestety aż nazbyt już głośnej.

Uwagi te wydały mi się pełne roztropności, toteż uznałem za właściwe oczekiwać nowych rozkazów z twej strony.

Pozostaję z szacunkiem pani najniższym etc.

*Paryż, 10 grudnia 17\*\**

## LIST CLXIV

*Anonim do kawalera Danceny*

Panie, mam zaszczyt uprzedzić pana, że w wysokich kołach sądowych dziś rano była mowa o sprawie, jaka zaszła w ostatnich dniach pomiędzy panem a panem wicehrabią de Valmont i należy się obawiać, aby ministerstwo publiczne nie wniosło skargi w tej mierze. Mniemałem, iż to ostrzeżenie może być panu użyteczne, bądź to abyś za pomocą wpływów, jakimi możesz rozporządzać, postarał się uprzedzić te przykre następstwa, bądź też, w razie gdyby się to nie powiodło, abyś mógł pomyśleć zawczasu o swoim bezpieczeństwie osobistym.

Jeżeliby pan pozwolił udzielić sobie rady, sądzę, iż dobrze uczyniłby pan, nie pokazując się przez jakiś czas publicznie. Jakkolwiek zwykle tego rodzaju sprawy spotykają się z pobłażaniem, należy się jednak prawom bodaj ta zewnętrzna oznaka szacunku.

Radzę to tym usilniej, ile że doszło do mojej wiadomości, iż niejaka pani de Rosemonde, krewna pana de Valmont, nosi się z zamiarem wniesienia skargi przeciw panu;

wówczas zaś władze publiczne nie mogłyby się uchylić od dochodzeń. Byłoby może wskazanym, aby pan mógł trafić przez kogoś do tej osoby.

Szczególne przyczyny nie pozwalają mi podpisać tego listu. Ale mam nadzieję, że nie wiedząc nawet od kogo pochodzi, potrafisz sprawiedliwie ocenić uczucia, jakie go dyktowały.

Mam zaszczyt etc.

## LIST CLXV

*Pani de Volanges do pani de Rosemonde*

Rozchodzą się tutaj, droga i godna przyjaciółko, nader zadziwiające i bardzo przykre wieści co do osoby pani de Merteuil. Oczywiście, daleka jestem od dawania im wiary i trzymałabym zakład, że są to tylko nikczemne potwarze: ale niestety, dobrze wiem, jak łatwo niegodziwości, nawet najmniej prawdopodobne, znajdują grunt dla siebie i jak trudno przychodzi zatrzeć wrażenie, jakie pozostawiają po sobie. Z tej przyczyny zaniepokojona jestem nieco tymi pogłoskami, mimo iż mniemam, że aż nadto łatwo będzie obrócić je w niwecz. Co do mnie, zaledwie wczoraj, i to bardzo późno, dowiedziałam się o tych okropnościach. Posłałam dziś do pani de Merteuil; oznajmiono mi, iż wyjechała na wieś, gdzie ma przepędzić dwa dni. Nie umiano mi objaśnić, do kogo się udała.

Otóż mam nadzieję, iż pani będzie mogła jeszcze przed jej powrotem udzielić mi wyjaśnień, które mogą być dla pani de Merteuil użyteczne: bowiem te wstrętne historie opierają się na okolicznościach towarzyszących śmierci pana de Valmont. Oto co głoszą, a raczej, ściślej mówiąc, co szepczą dopiero, ale co lada dzień niechybnie wybuchnie.

Mówią tedy, że sprzeczka, jaka zaszła między panem de Valmont a kawalerem Danceny jest dziełem pani de Merteuil, która oszukiwała na równi ich obu; że, jak zdarza się niemal zawsze, dwaj rywale zaczęli od zbrojnego spotkania, a dopiero potem przystąpili do wyjaśnień. Następstwem tych wyjaśnień miało być zupełne i szczere pojednanie; zaś aby kawalerowi Danceny dać poznać w pełnym świetle panią de Merteuil, jak również aby się całkowicie uniewinnić, pan de Valmont dołączył na poparcie swoich słów mnóstwo listów pochodzących z jego stałej z nią korespondencji, a w których to listach markiza opowiada o sobie samej, i to w stylu jak najbardziej swobodnym, skandaliczne wprost anegdoty.

Dodają, że Danceny w pierwszym oburzeniu pokazywał te listy każdemu, kto chciał je oglądać i że obecnie obiegują one cały Paryż. Wymieniają zwłaszcza dwa: jeden, w którym markiza rozwija całkowite dzieje swego życia i zasad, i który ma być szczytem ohydy; drugi, który oczyszcza zupełnie pana de Prévan<sup>21</sup>, stanowiąc jawny dowód, iż Prévan uległ jedynie wyraźnym zachętom pani de Merteuil i że bytność jego u niej była umówiona.

Na szczęście posiadam bardzo silne dowody na to, że te pogłoski są jedynie nikczemnym oszczerstwem. Przede wszystkim wiemy dobrze obie, że pan de Valmont z pewnością nie zajmował się panią de Merteuil, a mam wszelki powód mniemać, iż Danceny nie zajmował się nią również, toteż wydaje mi się rzeczą pewną, że nie mogła być ani przedmiotem, ani sprawczynią ich zwady. Tym bardziej nie rozumiem, jaki interes miałyby pani de Merteuil, którą pomawiają o porozumienie z panem de Prévan, w wywoływaniu sceny, która mogła być w każdym razie jedynie niemłą przez swój rozgłos, a mogła stać się bardzo niebezpieczną dla niej, czyniąc nieprzejednanego wroga z człowieka będącego panem jej tajemnicy i liczącego wielu stronników. Zaznaczyć trzeba, że od czasu tej przygody nie podniósł się ani jeden głos na korzyść Prévana i nawet z jego strony nie było żadnego protestu.

Te spostrzeżenia kazałyby mi podejrzewać, iż to on mógłby być twórcą pogłosek, jakie krążą dzisiaj. Byłyby one dziełem nienawiści i zemsty człowieka, który widząc się zgubionym, pragnie może w ten sposób sprowadzić korzystne dla siebie zamieszanie opinii. Ale z jakiegokolwiek strony pochodzą te ohydy, najpilniejszą rzeczą jest je unicestwić. Upadłyby same przez się, gdyby się okazało, jak to jest prawdopodobne, iż panowie de Valmont

<sup>21</sup>zwłaszcza dwa: jeden, w którym markiza rozwija całkowite dzieje swego życia i zasad (...) drugi, który oczyszcza zupełnie pana de Prévan — List LXXXI i LXXXV. [przypis tłumacza]

i Danceny nie mówili z sobą po owym nieszczęśliwym spotkaniu i że wieść o oddaniu jakichś papierów również jest zmyślona.

Wiedziona chęcią co rychlejszego sprawdzenia tych faktów, posłałam dziś rano do pana Danceny; nie ma go również w Paryżu. Służącemu memu oznajmiono, że wyjechał tej nocy na skutek ostrzeżenia, jakie otrzymał wczoraj. Miejsce jego pobytu jest tajemnicą. Widocznie obawia się następstw zajścia. Jedynie zatem przez ciebie, droga i godna przyjaciółko, spodziewam się uzyskać szczegóły, które mnie obchodzą i które mogą stać się tak potrzebne dla dobra pani de Merteuil. Ponawiam przeto prośbę, abyś mi pani zechciała możliwie najprędzej przesłać dotyczące wiadomości.

PS Zasląbnienie mojej córki nie miało żadnych następstw: załącza dla pani wyrazy poważania.

*Paryż, 11 grudnia 17\*\**

## LIST CLXVI

*Kawaler Danceny do pani de Rosemonde*

Pani, może krok, na jaki odważam się dzisiaj, wyda ci się dziwny, ale błagam panią, wysłuchaj mnie, zanim osądzisz i nie dopatruj się zuchwalstwa ani nierozwagi w tym, co wypływa z czci i zaufania. Nie taję przed sobą win, jakie na mnie ciążyą względem pani, i nie przebaczyłbym ich sobie w życiu, gdybym mógł myśleć przez chwilę, iż możebnym mi było ich uniknąć.

Obecnie, kiedy ją oplakuję fatalność, która stała się razem przyczyną twojej boleści i mego nieszczęścia, ludzie usiłują mnie zastraszyć, iż pani, cała oddana uczuciom zemsty, chcesz szukać sposobów zaspokojenia jej nawet w surowości prawa.

Pozwól mi pani przede wszystkim zauważyć, iż tutaj boleść sprowadza cię na manowce. Dobro moje pod tym względem ściśle jest związane z dobrem pamięci pana de Valmont, który musiałby być nieodzownie objęty wyrokiem uzyskanym przeciwko mnie przez panią. Sądziłbym zatem, pani, iż w staraniach, aby ten nieszczęśliwy wypadek został zagrzebany w niepamięci, powinien bym raczej liczyć z twej strony na pomoc niż na przeszkodę.

Ale to odwołanie się do współnictwa, dostępne zarówno dla niewinnego, jak i dla zbrodniarza, nie może wystarczyć mojemu sumieniu. Starając się panią oddalić jako stronę, wzywam cię, abyś raczyła być moim sędzią. Zbyt cenną jest rzeczą szacunek osób, które się samemu poważa, abym sobie pozwolił wydrzeć twój, pani, nie usiłując go bronić; a zdaje mi się, że mam środki po temu.

W istocie, jeżeli pani uznaje, że zemsta jest dozwolona, powiedzmy lepiej, że się ją sobie winno, jeżeli się doznało zdrady w miłości, w przyjaźni, a przede wszystkim w zaufaniu; jeżeli pani godzi się na to, wina moja zniknie w twych oczach. Nie polegaj na moich słowach; czytaj, jeżeli masz odwagę, korespondencję, jaką składam w twoje ręce. Otrzymałem te papiery, tak jak mam zaszczyt je pani przesłać, od samego pana de Valmont. Nic do nich nie dodałem, wyjąłem z nich jedynie dwa listy, które pozwoliłem sobie podać do publicznej wiadomości.

Jeden był potrzebny dla wspólnej zemsty pana de Valmont i mojej: obaj mieliśmy do niej zupełne prawo, a spełnienie jej wyraźnie mi nałożył jako obowiązek przyjaźni. Mniemałem prócz tego, że usługą dla społeczeństwa będzie zderzeć maskę z kobiety tak bardzo niebezpiecznej, jaką jest pani de Merteuil, która, jak pani może się przekonać, jest jedyną prawdziwą przyczyną wszystkiego, co zaszło.

Uczucie sprawiedliwości skłoniło mnie również do ogłoszenia drugiego listu, a to dla oczyszczenia pana de Prévan, którego nie znam prawie, ale który niczym nie zasłużył na dotkliwą karę, jakiej padł ofiarą, ani na straszliwszą jeszcze surowość ludzkiego sądu, pod którym jęczy od tego czasu, nie mogąc nic uczynić dla swego uniewinnienia.

Znajdziesz pani przeto jedynie kopie tych dwu listów, których oryginały uznałem za potrzebne zachować. Co się tyczy reszty, sądzę, iż nie mogę złożyć w pewniejsze ręce tego depozytu.

Pozostaję z najgłębszym szacunkiem i czcią etc.

*Paryż, 12 grudnia 17\*\**

## LIST CLXVII

*Pani de Volanges do pani de Rosemonde*

Stąpam, moja droga przyjaciółko, z niespodzianki w niespodziankę i ze zmartwienia w zmartwienie. Trzeba być matką, aby mieć pojęcie, co wycierpiałam wczoraj przez całe rano: a jeżeli moje najokrutniejsze niepokoje uśmierzyły się później, pozostaje mi zawsze jeszcze dość przyczyn do zgryzoty.

Wczoraj, około dziesiątej rano, zdziwiona, iż córka nie zjawia się u mnie, posłałam garderobianą, aby się dowiedziała, co może być przyczyną tego opóźnienia. Wróciła w chwilę potem bardzo przerażona i przeraziła mnie jeszcze więcej, oznajmiając, iż córki nie ma w pomieszkaniu; i że już rano panna służąca zauważyła jej nieobecność. Wyobraź sobie, co się ze mną działo! Zwołuję wszystkich ludzi, a zwłaszcza odźwiernego; przysięgają, że nie wiedzą o niczym i że nie mogą mi udzielić żadnych objaśnień w tym przedmiocie. Pospieszyłam natychmiast do pokoju córki. Nieład, jaki tam panował, przekonał mnie, iż widocznie opuściła go dopiero rano: ale zresztą nie znalazłam nic, co by mnie mogło oświecić.

Córka moja dowiedziała się dopiero wczoraj wszystkiego, co mówią o pani de Merteuil, a że bardzo jest do niej przywiązana, płakała bez przerwy przez cały wieczór. Ponieważ przypomniałam sobie, że nic nie wiedziała o jej wyjeździe, pierwszą moją myślą było, że może chciała odwiedzić swą przyjaciółkę i popełniła tę nierozwagę, iż udała się tam sama. Ale czas upływał, a jej nie było z powrotem i wszystkie moje obawy zbudziły się na nowo. W życiu moim tyle nie wycierpiałam.

Wreszcie, i to dopiero po godzinie drugiej, otrzymałam równocześnie list od córki i drugi od przełożonej klasztoru \*\*\*. List córki donosił tylko, iż obawiała się, abym się nie sprzeciwiła jej powołaniu do życia zakonnego i nie śmiała mi o tym mówić: przeprasza mnie, iż powzięła bez mojej wiedzy postanowienie, którego — dodaje — nie potępiłabym z pewnością, gdybym znała jej pobudki; prosi wszelako, abym o nic nie pytała.

Udałam się natychmiast do klasztoru; i pospieszywszy do przełożonej, zażądałam widzenia się z córką; przybyła dopiero po długich wzdarganiach, cała drżąca. Mówiłam z nią wobec zakonnicy i mówiłam z nią samą; jedynym wyznaniem, jakie wśród mnóstwa łez mogłam z niej wydobyć, było to, iż szczęśliwą może być tylko w klasztorze. Po namyśle, pozwoiliłam jej, aby pozostała, ale nie wchodząc jeszcze w grupę postulantek, jak to było jej życzeniem. Obawiam się, że może śmierć pani de Tourvel i pana de Valmont poruszyły zbyt mocno tę młodą główkę.

Kłopoty moje zdwiają jeszcze powrót, bardzo już bliski, pana de Gercourt; czy trzeba zerwać to tak upragnione małżeństwo? Bardzo mnie pani zobowiąże, donosząc mi, co uczyniłabyś na moim miejscu; nie umiem zdobyć się na żadne postanowienie.

Wyrzucam sobie nieustannie, iż pomnażam twe zgryzoty, mówiąc ci o własnych strapieniach; ale znam twoje serce, wiem, że pociecha używana innym jest dla ciebie największą osłodą.

Zegnam cię, droga i godna przyjaciółko; oczekuję odpowiedzi z całą niecierpliwością.

*Paryż, 14 grudnia 17\*\**

## LIST CLXVIII

*Pani de Rosemonde do kawalera Danceny*

Po tym, co mi pan dał poznać, pozostaje mi jedynie płakać i milczeć. Trzeba żałować, że się żyje jeszcze, kiedy się dowiaduje o podobnych potwornościach; trzeba rumienić się, że się jest kobietą, kiedy się widzi, iż jedna z nich była zdolną do podobnej ohydy.

Godzę się chętnie, o ile to mnie dotyczy, pogrzebać w milczeniu i niepamięci te smutne wypadki. Pragnę gorąco, aby nie sprowadziły na nas żadnych innych zgryzot oprócz tych nieodłącznych od nieszczęsnej przewagi, jaką odniosłeś nad moim siostrzeńcem. Mimo jego win, które zmuszona jestem uznać, czuję, że nie pocieszę się nigdy po jego stracie.

Może pan być pewny, iż wiernie i chętnie przechowam depozyt, jaki zechciałeś mi powierzyć; ale proszę pana o upoważnienie nieoddania go nikomu, nawet panu samemu, chyba że stałby się niezbędnym dla twego usprawiedliwienia.

Nie poprzestaję na tej prośbie, tak przekonana jestem o pańskiej delikatności i szlachetności: byłoby może właściwym, aby pan oddał również w moje ręce listy panny de Volanges, które prawdopodobnie pan zachował, a które z pewnością nie mają już dla niego wartości. Wiem, że ta młoda osoba zawiniła ciężko wobec pana; ale nie sądzę, abyś pan myślał karać ją za to: chociażby przez szacunek dla samego siebie, nie będziesz chciał okrywać hańbą istoty, którą tak kochałeś.

Nabędziesz pan nowych praw do mego szacunku, skłaniając się do zachowania tajemnicy, której rozgłoszenie tobie samemu przyniosłoby ujmę, a byłoby śmiertelnym ciosem dla serca matki, i tak skrzywdzonego przez ciebie. Wyznaję, iż pragnę oddać jej tę usługę; gdybym mogła się obawiać, że pan mi odmówi tej pociechy, prosiłabym, byś pomyślał wprzód, iż to jest jedyna, jaką mi pan pozostawił.

Mam zaszczyt być etc.

*Z zamku \*\*\*, 15 grudnia 17\*\**

## LIST CLXIX

*Pani de Rosemonde do pani de Volanges*

Gdybym była zmuszona, droga przyjaciółko, wzywać i oczekiwać z Paryża objaśnień, których ode mnie żądasz co do osoby pani de Merteuil, niepodobieństwem byłoby mi udzielić ci ich jeszcze; otrzymałam inne, zgoła nieoczekiwane wieści; a w nich mieści się już aż nazbyt wiele pewności, jak bardzo, o moja przyjaciółko, ta kobieta nadużyła twojej wiary.

Nazbyt wielkim wstrętem mnie przejmuje wchodzić w jakiegokolwiek szczegóły tego steku potworności; ale co bądź ludzie o tym mówią, bądź pewna, że to wszystko jest jeszcze błady cień istotnej prawdy. Spodziewam się, droga przyjaciółko, iż znasz mnie na tyle, aby mi wierzyć na słowo i nie wymagać żadnego dowodu. Niech ci wystarczy że te dowody istnieją i to liczne, i że posiadam je w rękach.

Wierzaj, iż nie bez największej przykrości proszę cię również, abyś nie zmuszała mnie do wyjaśniania pobudek rady, jakiej żądasz ode mnie odnośnie do losu panny de Volanges. Otóż radzę ci, nie sprzeciwiaj się jej pragnieniom. Z pewnością żadna przyczyna nie może uprawniać, aby zmuszać kogoś do obrania stanu zakonnego, jeśli dana osoba nie jest doń powołana; ale niekiedy jest to wielkim szczęściem, jeżeli powołanie takie się objawi. Wszak sama twoja córka upewnia, iż nie sprzeciwiłabyś się, gdybyś знаła jej pobudki. Ten, kto tchnie w nas nasze uczucia, lepiej niż nasz znikomy rozum wie, co każdemu jest potrzebne, a nieraz to, co wydaje się dziełem surowości, jest, przeciwnie, dziełem łaski.

Wiem dobrze, iż rada moja cię zmartwi; możesz być pewna tym samym, że nie udzielam ci jej bez głębokiego zastanowienia. Brzmi ona, abyś zostawiła pannę de Volanges w klasztorze, skoro taki powzięła wybór; abyś zachęcała raczej niż osłabiała zamiar, jaki sama powzięła i abyś, oczekując jego ziszczenia, nie wahała się zerwać ułożonego małżeństwa.

Po spełnieniu tych ciężkich obowiązków przyjaźni i w niemożności dołączenia do nich żadnego słowa pocieszenia, pozostaje mi prosić cię, droga przyjaciółko, o jedną łaskę: to jest, abyś mnie już nie zapytywała o nic, co miałyby związek z tymi smutnymi wypadka-



mi: zostawmy je w niepamięci, jaka im przystała, i nie szukając zbytecznych i bolesnych wyjaśnień, poddajmy się wyrokowi Opatrzności. Żegnaj cię, droga przyjaciółko.

*Z zamku \*\*\*, 15 grudnia 17\*\**

## LIST CLXX

*Pani de Volanges do pani de Rosemonde*

Och, moja przyjaciółko, jakąż przerażającą zasłoną okrywasz los mojej córki! I zdajesz się obawiać, abym nie próbowała jej uchylać! Cóż pod nią skrywa się jeszcze, co mogłoby okrutniej zgnębić serce matki, niż straszliwe podejrzenia, na których łup mnie wydajesz? Im więcej znam twą przyjaźń, twą pobłażliwość, tym bardziej staję się pastwą udręczeń: dwadzieścia razy od wczoraj chciałam wyjść z tej okrutnej niepewności i prosić cię o podzielenie się ze mną wszystkim, bez oszczędzań i bez niedomówień; i za każdym razem zadrżałam z obawy, wspominając o prośbie, jaką czynisz, aby cię o nic nie pytać. Wreszcie zdobyłam się na postanowienie, które zostawia mi jeszcze jakąś nadzieję. Spodziewam się po twojej przyjaźni, iż nie uchylisz się od tego, czego pragnę. Odpowiedz mi tylko, czy w przybliżeniu rozumiałam to, co się ukrywa pod twoim milczeniem; nie lękaj się zaznajomić mię ze wszystkim, co pobłażliwość macierzyńska może pokryć i co nie jest niemożliwe do naprawienia. Jeżeli moje nieszczęścia przekraczają tę miarę, wówczas zgadzam się, byś mnie powiadomiła o tym jedynie twoim milczeniem. Oto więc, co już wiedziałam i dokąd me obawy mogą się rozciągać:

Córka moja objawiała niejaką skłonność do kawalera Danceney; odkryłam nawet, iż rzeczy doszły aż do wzajemnej wymiany listów. Mniemałam, iż udało mi się zapobiec niebezpiecznym następstwom tego dzieciństwa: dziś, kiedy lękam się wszystkiego, zaczynam uważać za możliwe, iż moja czujność została oszukana i obawiam się, czy ta nieszczęśliwa, idąc za namową uwodziciela, nie przekroczyła ostatnich granic zapomnienia.

Przypominam sobie jeszcze kilka okoliczności, które mogą utwierdzić tę obawę. Doniosłam ci, że moja córka zaniemogła na wiadomość o nieszczęściu, jakie spotkało pana de Valmont; może przyczyną tej wrażliwości była jedynie myśl o niebezpieczeństwie, na jakie pan Danceney narażony był w tej walce. Kiedy później płakała tyle, dowiadując się wszystkiego, co mówią o pani de Merteuil, to, co uważałam za cierpienie przyjaźni, było może jedynie następstwem zazdrości lub żalu, iż kochanek jej okazał się niewiernym. Jej ostatni krok można by również, o ile mi się zdaje, wytłumaczyć tą samą pobudką. Nieraz mniemałam, iż jest się powołanym ku Bogu, przez to jedynie, iż się czuje zrażonym do ludzi.

Gdyby tak było w istocie, mniemałabym, mimo wszystko, iż obowiązkiem moim jest próbować wszystkich środków, by jej oszczędzić męczarni i niebezpieczeństw złudnego i przemijającego powołania. Jeżeli pan Danceney nie jest pozbawiony wszelkiego poczucia uczciwości, nie uchylili się od naprawienia winy, której jest jedynym sprawcą; mogę zresztą przypuszczać, że małżeństwo z moją córką przedstawia dlań dosyć korzyści, aby mógł się nim czuć zaszczycony, on i jego rodzina.

Oto, droga i godna przyjaciółko, jedyna nadzieja, jaka mi pozostaje; pośpiesz mnie w niej utwierdzić, jeżeli to możliwe. Pojmujesz, jak bardzo pragnę twojej odpowiedzi i jakim strasliwym ciosem będzie dla mnie twoje milczenie<sup>22</sup>.

Miałam już zapieczętować list, kiedy przyszedł do mnie w odwiedziny jeden ze znajomych i opowiedział straszliwe zajście, jakiego przedmiotem stała się przedwczoraj pani de Merteuil. Ponieważ nie widziałam nikogo w ciągu tych ostatnich dni, nic nie wiedziałam o tym zdarzeniu; oto jego przebieg, podany przez naocznego świadka.

Wracając ze wsi przedwczoraj, pani de Merteuil kazała się zawieść do Włoskiej Komedii, gdzie ma leżeć; była sama i musiało się jej wydać niezwykłym, iż nikt z mężczyzn nie zjawił się u niej w czasie przedstawienia. Przy wyjściu wstąpiła wedle zwyczaju do małego saloniku, który był już pełny ludzi; natychmiast wszczął się szmer, ale widocznie nie odnosiła go do siebie. Spostrzegła puste miejsce na jednej z ławeczek i podeszła, aby je

<sup>22</sup>strasliwym ciosem będzie dla mnie twoje milczenie — ten list został bez odpowiedzi. [przypis tłumacza]

zając, ale równocześnie wszystkie kobiety, które tam poprzednio siedziały, podniosły się jak umówione i zostawiły ją zupełnie samą. Ten jaskrawy objaw powszechnego oburzenia spotkał się z poklaskiem mężczyzn i wzbudził szemranie, które, jak mówią, doszło aż do okrzyków.

Aby nic nie zabrakło do jej upokorzenia, nieszczęście chciało, że pan de Prévau, który nigdzie nie pojawiał się od czasu swej przygody, wszedł w tej samej chwili do saloniku. Skoro tylko go spostrzeżono, wszyscy zebrani, mężczyźni i kobiety, otoczyli go wśród oklasków i znalazł się niejako zaniesiony przed panią de Merteuil przez publiczność, która otoczyła zwartym kołem ich oboje. Twierdzą, iż ta kobieta zachowała wejrzenie osoby, która nic nie widzi i nic nie słyszy i że nie zmieniła wyrazu twarzy! Ale sądzę, że to jest przesadzone. Ta upokarzająca scena trwała aż do chwili, w której oznajmiono powóz markizy; przy jej odjeździe skandaliczne okrzyki jeszcze się podwoiły. Pan de Prévau spotkał się tego samego wieczora z najserdeczniejszym przyjęciem wszystkich oficerów swego pułku i nie ma wątplenia, że niebawem zostaną mu przywrócone jego ranga i stanowisko.

Ta sama osoba, która udzieliła mi tych szczegółów, mówiła mi, że pani de Merteuil dostała następnej nocy bardzo silnej gorączki. Przypisywano to zrazu ciężkiemu wstrząśnieniu, jakie przeżyła, lecz od wczoraj wieczór wiadomo jest, że pojawiła się u niej ospa i to o bardzo złośliwym charakterze. W istocie, sądzę, że gdyby umarła, byłoby to dla niej prawdziwym szczęściem. Mówią jeszcze, że cała ta przygoda bardzo jej może zaszkodzić w procesie, który ma być w najbliższym czasie osądzony, a którego wynik podobno wiele zależał od przychylnego nastrojenia sędziów.

Do widzenia, droga i godna przyjaciółko. Widzę w tym wszystkim, iż winni ponieśli zasłużoną karę, ale nie widzę żadnego pocieszenia dla ich nieszczęśliwych ofiar.

*Paryż, 18 grudnia 17\*\**

## LIST CLXXI

*Kawaler Danceny do pani Rosemonde*

Ma pani słuszość i z pewnością nie odmówię pani nic z tego, co będzie zależec ode mnie i do czego raczysz przywiązywać jakąkolwiek wagę. Paczka, którą mam zaszczyt przesłać, zawiera wszystkie listy panny de Volanges. Jeżeli je przeczytasz, zadziwisz się pani zapewne, iż można połączyć tyle naiwności i tyle przewrotności razem. To przynajmniej najbardziej mnie uderzyło, gdym po raz ostatni odczytywał te listy.

Ale nade wszystko, czyż można się obronić uczuciu najwyższego oburzenia przeciw pani de Merteuil, skoro się przypomni, z jaką ona potworną rozkoszą dołożyła wszelkich starań, aby sprowadzić na złą drogę samą niewinność i prostotę?

Nie, nie ma już we mnie miłości. Nie pozostało nic z uczucia zdradzonego tak niedgodnie; i nie ono to każe mi się kusić o usprawiedliwienie panny de Volanges. Jednakże to serce tak proste, to usposobienie tak łatwe i miłe, czyż nie było zdolne zwrócić się ku dobremu, łatwiej jeszcze aniżeli się dało pociągnąć do złego? Któraż młoda osoba, wychodząc prosto z klasztoru, bez doświadczenia i niemal bez pojęć, wnosząc w świat, jak zawsze bywa, jedynie zupełną nieświadomość złego i dobrego, któraż młoda osoba, powiadam, byłaby się oparła tak zbrodniczym sztukom? Ach, aby być pobłażliwym, wystarczy zastanowić się, od ilu okoliczności niezależnych od nas zawisła przerażająca alternatywa uczciwości lub zepsucia! Słusznie mnie pani zatem osądziła, mniemając, iż winy panny de Volanges, które odczułem bardzo żywo, nie budzą we mnie jednak żadnego pragnienia zemsty. Dość już musiec przestać kochać! Zbyt wiele by mnie kosztowało nienawidzić.

Uczucie czci, jakim jestem przepelniony, każe mi prosić panią, jak o ostatnią łaskę, o powiadomienie mnie, czy uważasz, iż wypełniłem wszystkie obowiązki. Skoro zostanę raz uspokojony pod tym względem, powziąłem już postanowienie: udam się na Maltę; pojedę złożyć tam z rozkoszą śluby oddzielające mnie od świata, od którego, tak młody jeszcze, tak wiele już złego doznałem. Spróbuję również, pod obcym niebem, zgubić pamięć o tylu spiętrzonych ohydach, których wspomnienie mogłoby jedynie zasmucać i kazić moją duszę.

Pozostają z całym szacunkiem pani najpowolniejszym etc.

*Paryż, 26 grudnia 17\*\**

## LIST CLXXIV

*Pani de Volanges do pani de Rosemonde*

Los pani de Merteuil zdaje się wreszcie dokonany, moja droga i godna przyjaciółko; a jest on taki, że jej najwięksi nieprzyjaciele wąż się pomiędzy oburzeniem, na jakie zasługuje, a litością, jaką wzbudza. Miałam słuszność, mówiąc, że szczęściem byłoby dla niej może umrzeć od owej ospy. Wysła z niej, to prawda, ale straszliwie zniekształcona; przede wszystkim straciła jedno oko. Możesz się pani domyślać, iż jej nie widziałam: ale mówiono mi, że jest po prostu odrażająca.

Markiz de \*\*\*, który nie omija nigdy sposobności powiedzenia czegoś złośliwego, zauważył wczoraj, mówiąc o niej, że choroba ją przenicowała i że obecnie dusza jej mieści się na twarzy. Niestety, wszyscy uznali, że określenie to jest sprawiedliwe.

Inny wypadek dołączył się jeszcze do jej nieszczęść i błędów. Proces rozstrzygnięto przedwczoraj: przegrała go jednogłośnie. Koszta, straty i procenta, odszkodowanie używalności, wszystko przysądzone małoletnim: tak, iż niewielką część jej majątku, która nie była objęta procesem, pochłonęły, i to z górą, koszta.

Natychmiast, skoro tylko dowiedziała się o tej nowinie, mimo iż jeszcze chora, poczyniła przygotowania i wyjechała sama w nocy pocztą. Podobno nikt ze służby nie chciał jej towarzyszyć. Zdaje się, iż udała się w kierunku Holandii.

Ten wyjazd narobił więcej hałasu niż wszystko inne, a to dlatego, iż zabrała z sobą swoje diamenty, wartości bardzo znacznej, a które miały wejść w masę spadkową po jej mężu; również uwiozła srebra i klejnoty, słowem, wszystko, co mogła; tak iż zostawia blisko 50 000 funtów długów. Formalne bankructwo.

Rodzina ma się zebrać jutro, aby wejść w układy z wierzycielami. Mimo iż jestem jedynie jej bardzo daleką krewną, ofiarowałam się do współudziału; ale nie będę na tym zebraniu, ile że muszę być obecną przy obrzędzie jeszcze smutniejszym. Moja córka przywdziewa jutro habit postulantki. Mam nadzieję, iż nie zapominasz, moja droga przyjaciółko, iż jedyną pobudką zniewalającą mnie do tego poświęcenia, jest milczenie, jakie zachowałam po moim ostatnim liście.

Pan Danceney opuścił Paryż blisko przed dwoma tygodniami. Mówią, że udał się na Maltę i że ma zamiar tam pozostać. Byłby może jeszcze czas go powstrzymać?... Moja zacna przyjaciółko!... Zatem córka moja jest tak bardzo winna?... Wybaczysz z pewnością matce, iż z trudnością jedynie godzi się poddać tej straszliwej pewności.

Jakaż fatalność gromadzi się naokoło mnie od jakiegoś czasu i trafia mnie w najbardziej drogich mi przedmiotach! Moja córka, moja przyjaciółka!...

Któż mógłby nie zadrzeć, rozpamiętując nieszczęścia, jakie może spowodować jeden nieopatrzny związek! Iluż niedoli uniknęłoby się, rozmyślając o tym więcej! Któraż kobieta nie ratowałaby się ucieczką przed pierwszym zakusem uwodziciela? Któraż matka mogłaby bez drżenia patrzeć, jak obca osoba rozmawia z jej córką?

Żegnaj, droga i godna przyjaciółko; czuję w tej chwili, iż rozum nasz, tak wątły już, gdy chodzi o to, aby uprzedzić nasze nieszczęścia, tym bardziej jest niewystarczający, aby nas po nich pocieszyć.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/laclos-niebezpieczne-zwiazki-tom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Choderlos de Laclos, *Niebezpieczne związki*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wydanie drugie, przejrane przez tłumacza, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1922.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Paulina Oltusek.

ISBN 978-83-288-0485-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.